

**ANDRE NORTON**

# **GWIEZDNI WYGNAŃCY**

**PRZEŁOŻYŁA: DOROTA ŻYWNO**

**TYTUŁ ORYGINAŁU: EXILES OF THE STARS**

**SCAN-DAL**

## KRIP VORLUND

Czy mnie wzrok mylił, czy w pomieszczeniu unosiła się dziwna mgła? Na chwilę ukryłem twarz w dłoniach, zastanawiając się nie tylko nad tym, czy mogę wierzyć własnym oczom, ale i nad całą sytuacją. Ten opar mógł być widzialną emanacją uczucia, które potrafiła wyraźnie odebrać każda osoba o najmniejszych choćby zdolnościach telepatycznych. Cierpki smak, dotyk, zapach strachu. Nie naszego, lecz miasta, którego nerwowe tętno pulsowało wokół nas niczym oddech wielkiego, przerażonego zwierzęcia.

Czując je, miałem ochotę uciec z pokoju, z budynku, poza miejskie mury do takiego bezpieczeństwa, jakie mogła mi zaoferować „Lydis”. Pancierz statku Wolnych Kupców, mojego domu, odgrodziłyby mnie od tej atmosfery strachu, który szybko przeradzał się w panikę. Mimo to nie ruszałem się z miejsca, powstrzymując drżenie dłoni, które leżały na moich kolanach, obserwując osoby, z którymi przebywałem w pokoju, i słuchając klekoczącej mowy ludzi z Kartum na planecie Thoth.

Było ich czterech, w tym dwóch kapłanów. Obaj duchowni przekroczyli wiek średni i obaj mieli wysoką rangę, sądząc po przepychu ciemnofioletowych szat wierzchnich, których nie zdjęli, chociaż w pokoju było bardzo ciepło. Ciemną skórę ich twarzy, ogolonych głów i rąk, którymi gestykulowali, rozjaśniały wzory wymalowane ceremonialną żółtą farbą. Każdy paznokieć przykrywała metalowa pochewka w kształcie pazura, wysadzana drobnymi klejnotami, które skrzyły się i migotały, nawet w tym przyćmionym świetle. Mężczyźni przebierali palcami, rysując w powietrzu symbole, jak gdyby nie potrafili prowadzić poważnej rozmowy bez nieustannego wzywiania swego boga.

Ich towarzysze byli urzędnikami władcy Kartumu. tak mu bliskimi, jak zaręczali w mowie Thoth, jak włosy jego ceremonialnej królewskiej brody. Siedzieli przy stole na wprost naszego kapitana, Urbana Fossa, najwyraźniej nie mając nic przeciwko temu, żeby rozmowy prowadzili kapłani. Cały czas jednak trzymali broń pod ręką, jakby lada chwila spodziewali się zobaczyć otwierające się raptownie drzwi i atakujących nieprzyjaciół.

Z „Lydis” było nas trzech — kapitan Foss, magazynier Juhel Lidj i ja, Krip Vorlund, najniższy rangą w tym towarzystwie — Wolnych Kupców, urodzonych do życia w kosmosie i wolności gwiazdnych szlaków, jak wszyscy nasi pobratymcy. Od tak dawna jesteśmy wędrowcami, że być może stworzyliśmy nową ludzką rasę. Nie obchodziły nas planetarne intrygi, chyba że sami byliśmy w nie uwikłani, a to nie zdarzało się często. Doświadczenie,

ten srogi nauczyciel, kazało nam wystrzegać się polityki ludzi, którzy urodzili się na planetach.

Trzech — nie, było nas czworo. Spuściłem rękę i musnąłem palcami sztywną kitę sterczącej sierści. Nie musiałem spoglądać w dół, żeby wiedzieć, co — lub raczej kto — siedzi na tylnych łapach przy moim krześle, wyczuwając jeszcze silniej ode mnie ten niepokój, tę gęstniejącą atmosferę zagrożenia.

Z pozoru była to glassia z planety Yiktor, o czarnej sierści, z wyjątkiem nastroszonej kępki szorstkiej, szaro—białej szczeciny na czubku łba, smukłym ogonie długim jak całe jej ciało i wielkich łapach zakończonych wysuwanymi, ostrymi niczym sztylety pazurami. Pozory jednak myliły, gdyż w zwierzęcym ciele gościła dusza innej istoty. W rzeczywistości była to Maelen, niegdyś Księżycowa Śpiewaczka Thassów, która otrzymała tę postać, gdy konało jej ówczesne poranione ciało. Potem własny lud skazał ją na noszenie nowej skóry, ponieważ złamała jego prawa.

Yiktor, planeta o księżycu trzech pierścieni... Wydarzenia, które miały tam miejsce ponad planetarny rok temu. tak mocno utkwiły mi w pamięci, że nigdy nic mógłbym zapomnieć nawet najdrobniejszego szczegółu. To Maelen ocaliła mi życie, nawet jeśli nie uratowała mojego ciała, czyli tej powłoki, którą nosiłem po wylądowaniu na Yiktor. Od dawna było „martwe”, wyrzucone w przestrzeń kosmiczną, gdzie będzie wiecznie dryfować wśród gwiazd — chyba że któregoś dnia wpadnie w ogniste objęcia Słońca i spłonie.

Miałem później drugie ciało, takie, które biegało na czterech łapach, polowało i wyoło do księżyca Sotrath. W moim umyśle zostały po nim dziwne sny o świecie, który składał się wyłącznie z zapachów i dźwięków, jakich mój gatunek nie znał. Teraz nosiłem trzecią powłokę, podobną do pierwszej, choć zarazem inną. Również w niej można było wyczuć pozostałość po obcym, która powoli wkradała się do mojej świadomości, tak że czasami świat „Lydis” (który znałem od urodzenia) wydawał się jakiś dziwny, trochę zniekształcony. Naprawdę jednak byłem Kripem Vorlundem, bez względu na to, jaką postać przyjąłem (teraz była to skorupa Maquada z Thassów). To Maelen dokonała tej dwukrotnej przemiany i z tego powodu, pomimo swych dobrych, a nie złych intencji, chodziła teraz na czterech łapach, porośnięta futrem i w moim towarzystwie. Tego ostatniego zresztą bynajmniej nie żałowałem.

Najpierw byłem człowiekiem, potem barskiem, a teraz miałem powierzchowność Thassa; cząstki ich wszystkich mieszały się we mnie. Gładziłem sztywną kitę sierści Maelen, słuchając, patrząc i oddychając powietrzem, które przesycały nie tylko osobliwe zapachy typowe dla kartumskiego domu, ale i emocje jego mieszkańców. Zawsze miałem zdolność psychopolacji. Posiada ją wielu Kupców, nie jest więc rzadkością. Niemniej jednak

wiedziałem również, że w ciele Maquada zmysł ten wzmocnił się i wyostrzył. Dlatego właśnie znalazłem się o tej porze w tym towarzystwie — moi przełożeni oceniali moją przydatność jako telepaty do osądzania tych, z którymi musieliśmy mieć do czynienia.

Wiedziałem też, że również Maelen niewątpliwie używa swych jeszcze czulszych zmysłów, aby oceniać i dokonywać osądu. Nasz wspólny raport da Fossowi solidne podstawy do podjęcia decyzji. A decyzja ta musi zapaść już wkrótce.

„Lydis” wylądowała cztery dni temu z typowym ładunkiem pulmna, proszku sporządzanego z wodorostów, które rosły na Hawaice. W zwykłych okolicznościach sprzedano by go świątyniom do podsycania wonnych ognisk, które nieustannie w nich płonęły. Nie był to wprawdzie bajecznie opłacalny interes, przynosił jednak przyzwoity zysk. W zamian można było dostać (jeśli wkupiło się w łaski kapłanów) skarby Noda — przynajmniej drobną ich część. Te zaś z kolei miały ogromną wartość na każdej z wewnętrznych planet.

Thoth, Ptah, Anubis, Sekhmet, Set; pięć planet ogrzewanych przez słońce Amen—Re. Z tych pięciu Set znajdowała się zbyt blisko środkowej gwiazdy, aby mogło istnieć na niej życie, natomiast Anubis była mroźną, nie zasiedloną pustynią. Zostawały Toth. Ptah i Sekhmet. Wszystkie zbadano, dwie częściowo zasiedlono wiele pokoleń temu przez osadników terrańskiego pochodzenia. Tylko że ci ludzie nie byli tam pierwsi.

Nasz rodzaj późno wyruszył w kosmos; dowiedzieliśmy się o tym podczas naszej pierwszej galaktycznej podróży. Inne rasy i imperia powstały, upadły i zniknęły bez śladu na długo przedtem, zanim nasi przodkowie podnieśli głowy, żeby zadumać się nad naturą gwiazd. Gdziekolwiek idziemy, znajdujemy ślady obecności tamtych innych ras — chociaż wielu rzeczy nie wiemy i nie zdołamy się nigdy dowiedzieć. Nazywamy tych obcych „Pionierami”, wrzucając wszystkich do jednego worka. Coraz bardziej jednak sobie uświadamiamy, że w przeszłości istniało niejedno takie imperium o galaktycznym zasięgu, niejedna rasa podróżników. Wciąż jednak tak mało wiemy.

Układ Amen—Re okazał się prawdziwą kopalnią antycznych szczątków. Nadal jednak nie było wiadomo, czy kwitnąca tu niegdyś cywilizacja rozciągała się tylko na obszarze tego układu, czy leż może była kolonią nieznanego nam galaktycznego mocarstwa. Głównym powodem braku ściślejszych ustaleń był fakt, że tamtejsi kapłani bardzo wcześnie obwołali się strażnikami owych „skarbów”.

Każdy lud ma swoich bogów, moce, które nim władają. Nasz gatunek ma wewnętrzną potrzebę wierzenia w coś, co istnieje poza nami, coś doskonalszego. W niektórych cywilizacjach nastąpił prymitywny regres do rytuału składania ofiar — nawet z

współplemieńców czcicieli — i religii strachu i mroku. Wyznanie może też polegać na wierze w jakiegoś ducha i nie mieć jakichkolwiek oficjalnych obrzędów. Na wielu planetach bogowie są jednak silni, a będący ich głosem kapłani uchodzą za osoby nieomyłne i nie podlegają władzy doczesnej. Dlatego Kupcy stąpają delikatnie i ostrożnie na każdym świecie, gdzie istnieje wiele świątyń i potężny stan kapłański.

Układ Amen—Re skolonizowały statki z Vedy. Zapełniali je ludzie uciekający przed morderczą wojną religijną — prześladowani zbiegowie. Tak więc od samego początku władza spoczywała w rękach hierarchii kościelnej.

Na szczęście nie był on fanatycznie wrogo nastawiony wobec nieznanego. Na niektórych planetach pozostałości dawnych miejscowych cywilizacji niszczone jako dzieło szatana. Jednakże w przypadku Amen—Re pewien dalekowzroczny arcykapłan za dawnych czasów miał dość rozumu, żeby uświadomić sobie, że są to w istocie skarby, które mogą przynieść korzyści. Ogłosił, że wszystkie znaleziska są własnością boga i należy je trzymać w świątyni.

Kiedy Kupcy zaczęli przybywać na Thoth (kolonia na Ptah była zbyt mała, żeby zachęcić do wizyt), zaproponowano im na wymianę mniej cenne eksponaty. Z ich też powodu handlarze zaczęli uprawiać zdzierstwo, gdyż żaden miejscowy produkt Thoth nie był wart kosztów wywozu poza planetę.

Na wymianę oferowano drobiazgi, wręcz okruchy skarbów. Większość najlepszych eksponatów ozdabiała świątynie. Niemniej jednak i te okruchy wystarczały, żeby podróż opłacała się ludziom mojego pokroju, jeśli nawet nie wielkim kompaniom i korporacjom. Mieliśmy ściśle ograniczoną przestrzeń w ładowniach; żyliśmy na obrzeżach galaktycznego handlu, zbierając rzeczy zbyt małe, żeby mogły skusić większych przedsiębiorców.

Nawiązaliśmy więc z Thoth stałe stosunki handlowe. Czas na pokładzie statku nie płynie jednak tak jak na planetach. Pomiedzy jedną a drugą wizytą na każdym ze światów mogą zajść ogromne zmiany, w polityce lub nawet w przyrodzie. Kiedy więc „Lydis” wylądowała tym razem, zastała Thoth w stanie wrzenia, które mogło przerodzić się w chaos, jeśli nie nastąpiłaby jakaś radykalna zmiana. Rząd i religia nie istnieją w pustce. Tutaj jedno i drugie, od zawsze związane trwałym sojuszem, wspólnie znalazło się pod ostrzałem.

Pół roku wcześniej w górach na wschód od Kartumu pojawił się nowy prorok. Bywali już tacy wcześniej, lecz dotychczas świątyniom udawało się albo podważyć ich wiarygodność, albo bez większych kłopotów wchłonąć ich nauki. Tym razem kapłani musieli przejść do obrony, a ponieważ lata stabilnych rządów wprawiły ich w stan błogiej bez troski, niezręcznie uporali się z początkowymi trudnościami. Jak to czasami bywa, jeden błąd

pociągnął za sobą drugi, i w efekcie w chwili obecnej rząd w Kartumie znajdował się praktycznie w stanie oblężenia. Kiedy kościół znalazł się w opałach, władze świeckie zwierzyły szansę na uzyskanie niezależności. Stara i potężna szlachta wierna była świątyni. W końcu ich interesy były tak ze sobą powiązane, że nie mogła łatwo wycofać poparcia. Zawsze jednak znajdują się biedni, którzy chcieliby stać się bogaci — pomniejsza szlachta i członkowie starych rodów, którzy oburzali się na swój nikły stan posiadania. Niektórzy z nich poparli sprawę buntowników.

Iskrą, która wzniciła powstanie, było znalezienie stanowiska ze „skarbami”, gdzie panowała jakaś tajemnicza choroba, która szybko wybiła wszystkich związanych z odkryciem. Co więcej, zaraza się rozprzestrzeniła, siejąc śmierć również wśród ludzi, którzy w ogóle nie mieli do czynienia ze znaleziskiem. Wtedy fanatyczny prorok ze wzgórz zaczął głosić, że skarby są złe i trzeba je zniszczyć.

Nakłonił tłum do wysadzenia w powietrze zakażonego stanowiska, a następnie, pałając żądzą zniszczenia, nakazał zrobić to samo z miejscową świątynią, która służyła za magazyn znalezisk. Wtedy do akcji wkroczyły władze i wojsko też się zaraziło. Ocalali buntownicy uznali, że fakt ten dowiódł słuszności ich przekonań. Tak więc powstanie zataczało coraz szersze kręgi. znajdując zwolenników wśród ludzi, których największym marzeniem było zburzenie istniejącego porządku.

Jak to aż zbyt często bywa przy stabilnych rządach, władze nie zdawały sobie sprawy z powagi tego, czemu nadały miano lokalnych zamieszek. Wśród wyżej postawionych kapłanów i arystokracji znalazło się wielu takich, którzy ociągali się z podjęciem natychmiastowych kroków, pragnąc ułagodzić rebeliantów. Prawdę powiedziawszy, zbyt wiele mówiono i zbyt mało działano w najbardziej do tego nieodpowiednim momencie.

Teraz trwała regularna wojna domowa. O ile udało nam się ustalić, pozycja rządu była chwiejna. Właśnie to stało się przyczyną tego tajnego spotkania w domu jednego z przedstawicieli tutejszej drobnej szlachty. „Lydis” przybyła z ładunkiem, który miał teraz niewielką wartość lub był całkiem jej pozbawiony. Wprawdzie statek Wolnych Kupców może odbyć jedną nieopłacalną podróż, druga jest w stanie jednak wpędzić go w długi wobec Ligi.

Utrata statku jest dla ludzi mojego pokroju równoznaczna ze śmiercią. Nie znamy innego życia, egzystencja na planecie byłaby dla nas więzieniem. Nawet gdyby udało nam się zdobyć miejsce na pokładzie innego statku Kupców, musielibyśmy rozpoczynać wszystko od zera, bez wielkiej nadziei na odzyskanie wolności. Być może młodszy członek załogi, tacy jak ja, który byłem zaledwie pomocnikiem magazyniera, nie odczuliby tego tak boleśnie. My

jednak musieliśmy walczyć nawet o nasze marne stanowiska. Dla kapitana Fossa i pozostałych oficerów oznaczałoby to całkowitą klęskę.

Dlatego też nie odlecieliśmy, chociaż dowiedzieliśmy się o niepokojącym stanie rzeczy w przeciągu pół godziny od wylądowania. Dopóki istniała choćby najmniejsza nadzieja na pomyślne sfinalizowanie tego rejsu, zamierzaliśmy zostać, choć byliśmy pewni, że w tej chwili nie ma zbytu na pulmn. Foss i Lidj jak zwykle skontaktowali się ze świątynią. Zamiast jednak umówić nas na spotkanie z kapłanem odpowiedzialnym za zaopatrzenie, wezwano nas tutaj.

Kapłani byli pod tak wielką presją, że nie marnowali czasu na oficjalne powitania, lecz natychmiast przeszli do rzeczy. Wyglądało bowiem na to, że mimo wszystko mieliśmy coś na sprzedaż — bezpieczeństwo. Nie ludzi, którzy się z nami spotkali, nawet nie ich przełożonych, lecz najwspanialszych skarbów planety, które można załadować na pokład „Lydis” i wysłać na przechowanie w jakieś bezpieczne miejsce.

Świątynia założyła na Ptaħ własną, dobrze funkcjonującą placówkę, głównie z powodu pewnych minerałów, które tam wydobywano. Hierarchia kościelna miała również zwyczaj okresowo udawać się na Ptaħ, aby odpocząć z dala od zamętu Thoth. Do tego właśnie sanktuarium zamierzano wysłać najcenniejsze dobra świątyni, a „Lydis” miała je tam przewieźć.

Kiedy kapitan Foss spytał, dlaczego nie użyją własnych statków do transportu rudy (choć bynajmniej nie gardził szansą na zwrot kosztów wyprawy), odpowiedź padła szybko. Po pierwsze, transportowce, przeważnie pilotowane przez roboty, nie były przystosowane do zabierania na pokład załogi większej niż kilku techników. Ryzyko wysłania skarbu takim statkiem było zbyt wielkie, gdyż na skutek manipulacji przy przyrządach sterowniczych ładunek mógł przepaść na zawsze. Po drugie, „Lydis”, jako statek Wolnych Kupców, godna była zaufania. Kupcy cieszyli się bowiem dobrą sławą; wszyscy wiedzieli, że po podpisaniu kontraktu zawsze dotrzymywaliśmy słowa. Zerwanie umowy było czymś niewyobrażalnym. W bardzo nielicznych przypadkach, kiedy tak się stało. Liga sama wymierzyła taką karę, że woleliśmy o tym nie pamiętać.

Zatem, jak rzekli, jeśli zawrzemy z nimi kontrakt, będą pewni, że ładunek dotrze na miejsce. I to nie tylko ten jeden, gdyż będą mieli przynajmniej dwa, może nawet więcej. Jeśli rebelianci zbyt wcześnie nie obiegną miasta (co w tej chwili groziło), kapłani będą wysłać skarby, dopóki będzie to możliwe. Najlepsze okazy polecą jednak pierwszym rejsiem. Mieli nam zapłacić — co właśnie stanowiło przedmiot obecnego spotkania.

Nie twierdzą zresztą, że nie próbowali się wyklócać o cenę. Nie zostaje się jednak Kupcem, jeśli nie ma się smykałki do szacowania wartości własnych towarów albo usług. Tak więc przechytrzenie kogoś z nas w interesach było praktycznie niemożliwe. Poza tym, skoro mieliśmy monopol na ten rodzaj usługi, mogliśmy dyktować warunki.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni siły rządowe poniosły dwie poważne porażki. Wprawdzie wierne wojska nadal zażarcie broniły drogi do miasta, nic było jednak powodu przypuszczać, że będą w stanie czynić to jeszcze długo. Foss i Lidj zrobili więc dobry użytek ze swojej przewagi. Istniało także niebezpieczeństwo wybuchu powstania w Kartumie, ponieważ trzy inne miasta wpadły już w ręce działających od wewnątrz rebeliantów, którzy podburzali tłum do przemocy, aby skorzystać z rozruchów. Jeden z kapłanów powiedział, że wyglądało to tak, jakby ludzie zarażali się od siebie wzajemnie jakimś wściekłym szaleństwem.

— Kłopoty... — Maelen nie musiała mnie ostrzegać, gdyż czułem to samo. — Mrok zgęstniał, jak gdyby cienie wessały całe światło. Nie miałem pojęcia, czy kapłani mieli jakieś zdolności telepatyczne. Atmosfera paniki mogła być nawet dziełem jakiegoś utalentowanego wroga. Niemniej jednak nie odkryłem wyraźnych śladów, które wskazywałyby na takie oddziaływanie.

Drgnąłem; Lidj spojrział na mnie, odebrał moje nieme ostrzeżenie. Załoga „Lydis” odkryła, podobnie jak ja sam, że odkąd wróciłem na statek w ciele Thassy, moja moc telepatyczna znacznie wzrosła. On z kolei skinieniem głowy dał znak kapłanom.

— Umowa stoi. — Jego słowo jako magazyniera było decydujące, gdyż w takich kwestiach miał prawo uchylić nawet rozkaz kapitana. Handel był jego podstawowym i najważniejszym obowiązkiem.

Jeśli nawet kapłani odczuli ulgę, atmosfera napięcia w komnacie nie zelżała. Maelen przycisnęła się do mojego kolana, lecz nie nawiązała kontaktu myślowego. Dostrzegłem jednak, że pęczek sierści na jej głowie nie sterczał już sztywno. Przypomniałem sobie, że okłapanie tej kity jest u glassi oznaką złości lub strachu. Szybko użyłem psychopolacji, żeby zbadać atmosferę.

Bezpośrednie czytanie w myślach nie jest możliwe, jeśli nie życzą sobie tego obie strony, natomiast stosunkowo łatwo jest wychwycić emocje. Odkryłem coś (choć w odległości, której nie potrafiłem ocenić), co sprawiło, że sięgnąłem po ogłuszacz w tej samej chwili, gdy czub Maelen zdradził jej zatroskanie. Istniało jakieś zagrożenie, dużo bardziej zogniskowane niż atmosfera niepokoju w tym pomieszczeniu. Nie potrafiłem jednak ustalić, czy skierowane było przeciwko tym, którzy nas wezwali, czy załodze naszego statku.



Kapłani ze szlachtą wyszli pierwsi. Za drzwiami oczekiwała ich straż przyboczna — coś, czego my nie mieliśmy. Foss spojrzał na mnie.

— Tu dzieje się coś złego i nie mam na myśli tylko ogólnej sytuacji — stwierdził.

— Tam czekają kłopoty — skinąłem głową w kierunku drzwi i tego, co się za nimi znajdowało. — Większe od tych, których moglibyśmy się normalnie spodziewać.

Maelen wspięła się na mnie łapami i uniosła łeb tak wysoko, aż utkwiła złote ślepia w moich oczach. Usłyszałem wyraźnie jej myśl w swojej głowie.

— Pozwól mi iść przodem. Potrzebujemy zwiadowcy.

Nie chciałem się na to zgodzić. Była tu istotą obcą i rzucającą się w oczy, mogła nie tylko niepotrzebnie przyciągać uwagę, lecz w tej atmosferze skrajnego napięcia nawet sprowokować atak.

— Nieprawda — czytała w moich myślach. — Zapominasz, że jest noc. A mnie, odkąd żyję w tym ciele, noc sprzyja.

Otworzyłem więc drzwi, a ona wyslizgnęła się na zewnątrz. Korytarz miał słabe oświetlenie i byłem pełen podziwu dla tego, jak świetnie wykorzystwała ten półmrok, żeby się ukryć. Zanim się spostrzegłem, zniknęła mi z oczu. Foss i Lidj dołączyli do mnie. — Mam bardzo złe przeczucia — powiedział kapitan. — Im szybciej wystartujemy, tym lepiej. Ile czasu zajmie załadunek?

Lidj wzruszył ramionami. — To zależy od objętości ładunku. W każdym razie możemy się przygotować do jego zabrania. — Wypowiedział słowa kodu do komunikatora na nadgarstku, wydając rozkaz, aby pozbyć się pulmna i zrobić miejsce w ładowni. Kapłani musieli zgodzić się na jedno, mianowicie pozwolić, abyśmy po zakończeniu podróży wzięli sobie wynagrodzenie w postaci skarbów zgromadzonych w świątyni na Ptah. I pewna jego część miała się składać z przedmiotów, które sami wybierzemy. Zwykle Kupcy nie mieli takiej możliwości.

Wyszliśmy na ulicę. Dzięki ostrożności Fossa spotkanie odbyło się w domu blisko miejskich murów, więc nie musieliśmy zapuszczać się daleko w głąb Kartumu. Ja jednak wiedziałem, że nie odetchnę naprawdę swobodnie, dopóki podeszwy moich butów nie zadudnią o trap „Lydis”. Zmrok, który zapadał, kiedy przybyliśmy, ustąpił miejsca nocy. Wciąż jednak dał się słyszeć miejski gwar.

Wtedy...

— Uwaga! — przestroga Maelen zabrzmiała tak wyraźnie, jakby krzyknęła na głos. — Biegnijcie prędko do bramy!

Wysłała sygnał z taką siłą, że nawet Foss odebrał jej ostrzeżenie i nie musiałem przekazywać komunikatu. Ruszyliśmy biegiem do bramy, kapitan wyciągał naszą przepustkę.

Kiedy się do niej zbliżyliśmy, zauważyłem jakieś poruszenie. Bitwa. Ochryple okrzyki walczących zagłuszał huk miejscowej broni. Na szczęście nie była to planeta, na której posługiwano się laserami i miotaczami. Tutejsi ludzie uzbrojeni byli w broń miotającą lite pociski, która wydawała głośny huk. Nasze ogłuszacze nie zabijały, jedynie pozbawiały przytomności. Mogliśmy jednak zginąć od tego archaicznego oręża równie łatwo, jak od miotacza.

Foss przestroił swój ogłuszacz; Lidj i ja zrobiliśmy to samo, zmieniając wąski promień w szerokie pasmo. Od takich strzałów szybko wyczerpywało się zasilanie, ale w podobnych wypadkach nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy utorować sobie drogę.

— Na prawo... — Ta komenda Fossa właściwie nie była potrzebna Lidjowi. Magazynier wysunął się na flankę z jednej strony, a ja zająłem pozycję na drugiej.

Biegliśmy dalej ze świadomością, że musimy podejść bliżej, jeśli atak ma być skuteczny. Wtedy zauważyłem Maelen przyczajoną w bramie. Podbiegła do mnie, gotowa towarzyszyć nam podczas ostatecznej ucieczki.

— Teraz!

Wystrzeliliśmy jednocześnie, omiatając wiązkami całą walczącą grupę, przyjaciół i wrogów bez różnicy, jeśli w ogóle mieliśmy przyjaciół wśród tych bojowników. Ludzie zachwiali się i padli, a my rzuciliśmy się do ucieczki, przeskakując nieruchome ciała leżące w bramie. Same drzwi były jednak zamknięte i uderzaliśmy w nie nadaremnie.

— Dźwignia, w budce strażnika — wysapał Foss.

Maelen pomknęła przed siebie. Wprawdzie nie miała już ludzkich rąk, lecz nie należało lekceważyć zręczności łap glassi. Fakt, że umiała się nimi dobrze posłużyć zademonstrowała chwilę później, kiedy drzwi rozsunęły się przed nami.

Puściliśmy się biegiem, jakby za naszymi plecami ujadały piekielne sfory Nebu. W każdej chwili ktoś mógł wymierzyć do nas z tej broni miotającej pociski. Ja osobiście doznawałem dziwnego mrowienia między łopatkami, jakbym już przeczuwał taką ranę.

Pomimo to szczęście nas nie opuściło i dotarliśmy do trapu cali i zdrowi. Wszyscy czworo wbiegliśmy — Maelen najswobodniej — na pokład „Lydis”. Ledwie przekroczyliśmy próg wjazdu, usłyszeliśmy zgrzyt metalu i wiedzieliśmy, że to wartownicy zamykają wjazd.

Foss oparł się o ścianę przy trapie, ładując nową baterię do ogłuszacza. Było jasne, że od tej chwili musimy być przygotowani do obrony, jak gdybyśmy znajdowali się na wrogiej planecie.

Spojrzałem na Maelen.

— Ostrzegałaś nas przed walkami przy bramie?

— Niezupełnie. Jacyś ludzie chcieli was pojmać. Zamierzali nie dopuścić do wywiezienia skarbu. Przybyli jednak za późno. Podejrzewam też, że walka przy bramie pokrzyżowała im plany.

Foss nie słyszał Maelen, więc powtórzyłem mu jej słowa.

Twarz kapitana wyrażała teraz nieufność. — Jeśli mamy zabrać ten skarb, będą nam go musieli przysłać. Od tej chwili nikt z załogi nie zejdzie na powierzchnię planety!

## KRIP VORLUND

— Co teraz zrobimy? Na statku nic nam nie grozi. Jak długo jednak będziemy czekać?  
— Manus Hunold, nasz astrogator, włączył płytę widokową. Stłoczyliśmy się w kabinie sterowniczej, aby obserwować wydarzenia na zewnątrz; uważnie wpatrywaliśmy się w to, co na niej było widać.

Ludzie wybiegli na pole i otoczyli „Lydis”, chociaż wykazywali daleko idącą ostrożność wobec dysz jej rakiet i trzymali się w rozsądnej odległości od obszaru startowego między statecznikami. Nie należeli do oddziałów popierających rząd, które składały się w połowie z żołnierzy, a w połowie z policji, chociaż byli uzbrojeni i nawet utrzymywali coś na kształt dyscypliny. Mimo to nie mieściło mi się w głowie, jak mogli sądzić, że jakakolwiek walka jest możliwa, jeśli nie wyjdziemy na zewnątrz.

Zerwałem kontakt myślowy; na zewnątrz krążyło zbyt wiele fal gwałtownych emocji. Dostrojenie się do któregoś z punktów w tym morzu przemocy wyczerpałoby moje siły psychiczne nieomal do granic możliwości.

— Chyba nie są tak głupi, żeby wierzyć w powodzenie ataku... — wtrącił Pawlin Shallard, nasz inżynier. — Mają zbyt duże pojęcie o naszych zabezpieczeniach, żeby sądzić, że to możliwe.

— Nie — Lidj uniósł głowę i wpatrywał się w płytę widokową tak uważnie, jakby próbował wychwycić w tłumie jakąś szczególną twarz czy postać. Hunold ustawił ją na „krążenie”, jak w przypadku pierwszego lądowania na nieznanym planecie, więc widok się zmieniał, pozwalając nam stopniowo zobaczyć całe otoczenie statku. — Nie. nie zaatakują nas. Chcą czegoś innego. Chcą zatrzymać dostawę ładunku. To są jednak ludzie z miasta; nie sądziłem, że buntownicy przeniknęli w ich szeregi w takiej liczbie aż tak szybko... — Umilkł, posępnie śledząc wzrokiem stale zmieniający się obraz.

— Zaczekaj! — Foss nacisnął guzik „stop” i zatrzymał powolny obrót kamery.

Zobaczyliśmy bramę, którą tak niedawno uciekliśmy. Ciągnęły przez nią teraz szeregi doskonale uzbrojonych i umundurowanych żołnierzy — pierwszy znak zorganizowanego i zdecydowanego ataku na buntowników. Wojsko się rozproszyło, tworząc luźną osłonę dla jakiegoś wozu. Na nim zamontowana była długa, z wyglądu ciężka rura, którą mężczyźni podnosili i obracali dookoła, mierząc do tłumu znajdującego się między nimi a statkiem. Pierwszy rząd rebeliantów zaczął się odsuwać od linii strzału. Olbrzymia lufa zatoczyła jednak mały łuk, jakby ostrzegając przed spustoszeniem, jakie może zasiać w ich szeregach.

Ludzie uciekali z tłumu, który nas oblegał, najpierw pojedynczo i parami, potem całymi grupkami. Nie mieliśmy pojęcia o bardziej skomplikowanej broni na Thoth, ale najwyraźniej ta należała do rodzaju, do którego tubylcy żywili spory respekt. Motłoch nie dawał jednak całkiem za wygraną. Pomimo to szeregi lojalnych żołnierzy, stale wspierane posiłkami z miasta, bezustannie nacierały, a tłum posepnie ustępował im pola.

— Już czas! — Lidj podbiegł do drabiny statku. — Moim zdaniem, za chwilę przywiozą ładunek. Czy otworzymy luki, żeby go przyjąć?

W normalnych okolicznościach to on zarządzał załadunkiem statku. Jednak w sytuacji, gdy bezpieczeństwo „Lydis” mogło być zagrożone, decyzja automatycznie przechodziła w ręce Fossa.

— Osłaniajcie luki ogłuszaczami; otwórzcie najpierw górny właz. Dopóki nie zobaczymy, na ile dobrze sobie radzą... — odparł kapitan.

Chwilę później stanęliśmy w górnym luku. Drzwi były otwarte i miałem nieprzyjemne wrażenie nagości, kiedy czekałem na posterunku. Kalkulator umocowałem na nadgarstku, zamiast trzymać go w ręku, dzięki czemu mogłem swobodnie użyć broni. Tym razem nastawiłem ją na wąski promień. Griss Sharvan, drugi inżynier, przymusowo wyznaczony do służby wartowniczej, stał po drugiej stronie luku ładowni z miotaczem ustawionym na emitowanie wiązki wysokiej energii.

Broń odsunięto dalej, żeby nie zagrażała bramy miasta. Jej lufa wciąż się jednak obracała urywanym ruchem to w prawo, to w lewo. Na wprost nas, w naszym zawężonym teraz polu widzenia nie było już żadnego buntownika, jeśli nie liczyć kilku leżących nieruchomo ludzi, prawdopodobnie zastrzelonych przez żołnierzy.

Wrota otworzyły się na całą szerokość i wyjechały z nich pierwsze obładowane pojazdy transportowe. Thothianie używali samochodów, które spalały płynne paliwo. Nam wydawały się one powolne w porównaniu z napędzanymi energią słoneczną maszynami z planet wewnętrznych. Były jednak lepsze od zaprzężonych w zwierzęta pojazdów z prawdziwie prymitywnych światów. Trzy takie ciężarówki pełżyły przez pole w kierunku „Lydis”.

Każdy samochód prowadził kapłan w sutannie, ale z tyłu siedzieli czujni strażnicy w groteskowych, podobnych do misek hełmach i z bronią gotową do strzału. Między nimi — co spostrzeżliśmy, kiedy zbliżyła się pierwsza ciężarówka — jechali następni kapłani, kuląc się z pobladłymi twarzami za mizerną osłoną ścian pojazdu. Kiedy jednak pojazd stanął pod rozkołysanymi linami naszego dźwigu, wyprostowali się szybko i chwycili za leżące na

wierzchu paki i bele ładunku. Najwyraźniej mieli je wnieść na statek, podczas gdy żołnierze będą ich osłaniać.

Tak rozpoczął się załadunek „Lydis”. Kapłani byli chętnymi, ale nieporadnymi robotnikami. Zjechałem więc dźwigiem na dół, żeby im pomóc, starając się nic myśleć o tym, że z tłumu może paść celny strzał. W oddali bowiem już było słychać strzelaninę.

Do góry i na dół, wciągnąć liny dźwigu, w górę — na dół. Musieliśmy postępować bardzo ostrożnie, gdyż wprawdzie wszystko było dobrze opakowane, wiedzieliśmy jednak, że mamy do czynienia ze skarbami, których strata byłaby niepowetowana. Pierwsza ciężarówka po opróżnieniu odjechała na bok, lecz ludzie, którzy nią przybyli, zostali. Kapłani pomagali przy następnym ładunku, wartownicy rozproszyli się jak uprzednio żołnierze przed bramą. Nadal nadzorowałem załadunek, jednocześnie notując numer każdego przedmiotu wciąganego na górę, recytując go do mojego urządzenia zapisującego. Lidj przy luku towarowym wykonywał duplikat zapisu; po zakończeniu załadunku oba zostaną oficjalnie zabezpieczone w obecności przedstawicieli kapłanów.

Opróżniliśmy trzy ciężarówki. Zawartość czwartej składała się tylko z czterech pojemników, jednego bardzo dużego, trzech małych. Dałem znać, że dźwig potrzebuje podwójnej mocy, i nie byłem całkiem pewny, czy uda się wnieść największą skrzynię przez otwór luku. Ciężko było ją przepchnąć, ale ludziom na górze jakoś się to udało. Kiedy zniknęła mi z oczu, spytałem nadzorującego kapłana: — Macie coś jeszcze?

Mężczyzna pokręcił głową, wciąż obserwując miejsce, w którym przepadła ogromna skrzynia. Potem spojrział na mnie.

— To wszystko. Arcykapłan przyjdzie, żeby wziąć rachunek za przewóz ładunku.

— Kiedy? — spytałem. Wciąż nie używałem penetracji myśli. Istniało zbyt duże ryzyko, że przytłoczą mnie brutalne emocje szalejące na polu bitwy. Oczywiście „Lydis” była nie do zdobycia, lecz zdawałem sobie sprawę, że im prędzej opuścimy Thoth, tym lepiej.

— Kiedy będzie mógł. — Jego odpowiedź była wystarczająco wymijająca, aby mnie zirytować. Kapłan już się odwrócił, wydając jakiś rozkaz w miejscowym języku.

Wzruszyłem ramionami i podjechałem do wjazdu, przy którym pracował automat załadunkowy. Mój przełożony opierał się o ścianę, patrząc na ekran swojego urządzenia zapisującego. Kiedy podszedłem, nacisnął guzik „stop”, aby zamknąć listę.

— Nie wezmą rachunku — zameldowałem. — Twierdzą, że przyjdzie po niego arcykapłan.

Lidj odburknął coś tylko w odpowiedzi, więc poszedłem dopilnować zamykania ładowni. Dwa roboty transportowe wciąż trzymały w szczytach ogromną skrzynię, którą

wniesiono na końcu. Pomimo swej siły ledwo mogły ją ruszyć z miejsca. Patrzyłem, jak stawiają pudło pośrodku mniejszej ładowni na górze i zatrząskują uchwyty, aby nie przesunęło się w trakcie lotu. Było ostatecznie, więc mogłem zasunąć drzwi i założyć plombę chroniącą ładunek do chwili, gdy ponownie wylądujemy. Oczywiście później przyjdzie Lidj, żeby złożyć odcisk swojego kciuka obok mojego i dopóki obaj nie zdejmemy plomby, nic o mocy mniejszej od palnika bojowego nie wydostanie towaru z ładowni.

Po drodze na górę wstąpiłem do swojej kabiny. Maelen, jak zwykle podczas załadunku, leżała na swojej koi. Łeb zwieńczony kitą sierści wsparła na przednich łapach, które złożyła pod pyskiem, i wyciągnęła się wygodnie. Nie spała jednak. Jej złote oczy były otwarte. Po bliższym przyjrzeniu się rozpoznałem ten nieruchomy wzrok — była zajęta intensywną psychopolacją, więc jej nie przeszkadzałem. To, czemu się przysłuchiwała, było najwyraźniej niezmiernie interesujące.

Kiedy się cofałem, nie chcąc zakłócać jej spokoju, przerwała trans. Uniosła trochę głowę. Zaczekałem jednak, żeby pierwsza się odezwała.

— Ktoś przybywa, ale nie ten, którego się spodziewałeś. Myślałem o arcykapłanie, który miał przyjść po rachunek.

— On nie podziela poglądów tych, którzy wynajęli nas do pomocy — dodała. — Jest raczej ich przeciwnikiem...

— Buntownik?

— Nie. Nosi takie same szaty jak reszta kapłanów. Pragnie jednak czegoś innego. Jego zdaniem jest rzeczą niegodziwą, niemal złą, zabierać skarby ze świątyni, której służy. Wierzy, że jego bóg przez zemstę ześle nieszczęścia na wszystkich, którzy uczestniczą w zbrodni, za jaką ten czyn uważa. On nie jest jednym z tych, który odstąpiłby od swych zasad i przekonań, bo z innej strony powiał wiatr pomyślności. Przybywa rzucić klątwę swego boga, ponieważ tak pojmuje swój obowiązek. Służy on bowiem istocie, która zna więcej gniewu niż miłości i sprawiedliwości. Przybywa nas przekląć...

— Tylko przekląć, czy również walczyć? — spytałem.

— Sądzisz, że to pierwsze jest mniej groźne od drugiego? Pod pewnymi względami klątwa rzucona przez wierzącego potrafi być niebezpieczniejszą bronią.

Skłamałbym, mówiąc, że kpię sobie z tego. Każdy, kto przemierza szlaki nieba może powiedzieć, że nie ma rzeczy tak niezwykłej, żeby nie mogła się zdarzyć na którejś z planet. Znałem przypadki, że przekleństwa zabijały — lecz tylko wówczas, gdy przeklęty również wierzył. Kapłani, którzy wysłali swój majątek do naszych ładowni, mogli przypuszczalnie paść ofiarą takiego przekleństwa, uwierzyć w nie i umrzeć. Ale my, załoga „Lydis”, to

całkiem co innego. Nie jesteśmy ludźmi pozbawionymi wiary. Każdy czci jakieś bóstwo albo siłę wyższą. Maelen czciła boga zwanego Molaster, którego przykazaniom była posłuszna i któremu poświęciła swoje życie. Jednak pomysł, że mogło nam zaszkodzić bóstwo z Thoth, był dla mnie nie do przyjęcia.

— Możesz tego nie przyjmować — Maelen bez trudu nadążała za moimi myślami — możesz w to nie wierzyć, lecz każda klątwa jest ciężkim brzemieniem. Zło rodzi się ze zła, a mrok garnie się do cienia. Przekleństwo człowieka wierzącego ma swoją siłę. Ten mężczyzna szczerze wierzy i posiada moc. Wiara jest jego mocą!

— Ogłosisz alarm? — Mówiłem teraz poważnie, bo ostrzeżeń Maelen nie należało lekceważyć.

— Sama nie wiem. Gdybym była tą, którą byłem niegdyś... — Nagle zamknęła przede mną swój umysł. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby żałowała tego, co zostawiła na Yiktor, kiedy jej ciało odniosło śmiertelne obrażenia, a jej własny lud skazał ją na karę przebywania być może przez lata w tej postaci, jaką teraz nosiła. Jeśli zdarzały się jej czasami chwile tęsknoty lub depresji, ukrywała je w swoim sercu. Teraz tym jednym urwanym zdaniem zdradziła się z pragnieniem, aby odzyskać to, co miała jako Księżycowa Śpiewaczka Thassów, tak jak człowiek, który pełnym tęsknoty gestem sięga po utraconą broń.

Jej wiadomość trzeba było jak najszybciej przekazać kapitanowi, poszedłem więc do sterówki. Foss wpatrywał się w płytę, na której widać było szereg pustych ciężarówek wracających do Kartumu. Broń z lufą gotową do strzału nadal stała przed bramą, załoga otaczała ją czujnie, jakby spodziewała się dalszych kłopotów.

— Właz zamknięty, ładownia zabezpieczona — zameldowałem, chociaż była to czysta formalność. Lidj siedział lekko zgarbiony w fotelu astrogatora i żuł w zamyśleniu laseczkę wzmacniającego slo—go.

— Maelen mówi... — zacząłem, nie wiedząc nawet, czy zwracają na mnie uwagę. Dokończyłem jednak meldunek.

— Ciska przekleństwo — powtórzył Foss, kiedy skończyłem. — Ale dlaczego? Przecież podobno ratujemy ich skarby.

— Schizma w świątyni — rzekł Lidj w odpowiedzi na pierwsze pytanie kapitana. — Wygląda na to, że ten arcykapłan ma niejednego kłopot na głowie. Należałoby się raczej zastanowić, dlaczego nie wspomniano o tym przed podpisaniem kontraktu. — Przygryzł mocno pałeczkę.

Na płycie widokowej ukazała się nowa scena. Ciężarówki wjechały za bramę, aczkolwiek strażnicy nie zamierzali się wycofać. Przy drzwiach powstało jednak jakieś



zamieszanie. Nie były to posiłki dla wojska, raczej procesja, jakby dla uczczenia święta jakiegoś boga.

Widać było wyraźnie ciemną purpurę kapłańskich szat, którą ożywiały smugi jaskrawego szkarłatu lub plamy wściekle pomarańczowej żółci, jakby tu i tam strzelały płomienie. Niczego nie słyszeliśmy, ale widzieliśmy, że mężczyźni na skraju procesji nieśli wielkie bębny i bili w nie z zapalem.

— Mamy na pokładzie coś, co może stać się iskrą podpalającą lont — zauważył Lidj, nadal wpatrując się w ekran i żując slo—go. — Tron Qura.

Wbiłem w niego wzrok. Słyszysz się o legendach. Są tematem licznych beztroskich rozmów i przypuszczeń. Ale otrzeć się o jedną z nich, dotknąć jej, to całkiem co innego. Ta ostatnia, największa skrzynia, którą wciągnęliśmy na pokład, zawierała Tron Qura!

Kim byli pierwsi, prawdziwi właściciele skarbów z Thoth? Nikt nie znał ich imienia. Zadziwiające, że chociaż znalezione przedmioty były najwyraźniej wytworem bardzo wysoko rozwiniętej cywilizacji, nigdy nie odkryto pisma ani innego rodzaju zapisu. Nie znaleźliśmy imion królów, królowych, arystokratów ani kapłanów, którzy zostawili te dobra. Z konieczności więc odkrywcy nadawali znaleziskom własne nazwy.

Tron odkryto w całkiem pustej, zamurowanej komorze na końcu ślepego korytarza w jednym z wcześniej zlokalizowanych skarbców. Awanturnik dowodzący ekipą, która go odkryła, nie był rodowitym Thothianinem, lecz archeologiem (przynajmniej tak twierdził) z Phaphoru. Nazwał znalezisko na cześć bóstwa ze swojej ojczystej planety. Nie przyniosło mu to jednak szczęścia, wręcz przeciwnie. Nadanie przedmiotowi takiego imienia obraziło kapłanów. Poszukiwacz przygód zmarł nagle, a Tron szybko przeszedł na własność świątyni, chociaż wcześniej kapłani sprzedali prawa do prowadzenia wykopalisk. Odkrycia tego dokonano bowiem jeszcze w czasach poprzedzających wprowadzenie całkowitego monopolu kapłaństwa. Archeolog musiał wcześniej już podejrzewać, że za odkrycie Tronu zapłaci życiem, gdyż daremnie próbował zamurować boczny korytarz, być może w nadziei, że uda mu się przesznułować znalezisko. Tylko że z chwilą, gdy dokonano odkrycia, było już na to o wiele za późno.

Tron wykonano dla przedstawiciela rasy przypominającej; nas wyglądem zewnętrznym. Siedzenie sporządzone było z czerwonego metalu, zdumiewająco lekkiego jak na swoją wytrzymałość. Z obu stron otaczały go boki, których górne części służyły za poręcze. Wyginały się one ku górze na kształt łbów nieznanymi stworzeń, w całości pokrytych złotymi i lśniącymi, zielonymi łuskami, z oczami z mlecznobiałych kamieni. Jednak największym cudem było jego półkoliste, wysokie oparcie. Przypominało szeroki

wachlarz ze złotych i zielonych piór, które wykonano tak kunsztownie, że sprawiały wrażenie prawdziwych. Czubek każdego rozszerzał się, aby pomieścić niebiesko—zielony klejnot, których po przeliczeniu była cała setka.

Niemniej jednak prawdziwą osobliwością Tronu, oprócz misternego i kunsztownego wykonania, był fakt, że o ile ktokolwiek wiedział, te niebiesko—zielone kamienie oraz mlecznobiałe klejnoty zdobiące poręcze nie tylko nie pochodziły z Thoth, ale nie były znane nigdzie indziej. Również żaden inny przedmiot, jaki dotychczas znaleziono, nie był wysadzany podobnymi kamieniami.

Tron przeniesiono do świątyni w Kartumie, gdzie stanowił jedną z głównych jej atrakcji. Ponieważ na dokładniejsze badania pozwalano dopiero po nie kończących się debatach i pod ścisłym nadzorem, od tamtej pory niewiele się o nim dowiedziano, chociaż jego wizerunki można było znaleźć na każdej taśmie dotyczącej Thoth.

Procesja przy bramie ruszyła w stronę „Lydis”. Teraz zobaczyliśmy, że te jaskrawoczerwone i żółte plamy były szerokimi szalami lub chustami na ramionach ludzi pośrodku procesji, którzy rozciągniętym szykiem maszerowali za idącym na przedzie człowiekiem. Był to mężczyzna sporego wzrostu, zdecydowanie wyższy od wszystkich innych i tak wychudzony, że rysy jego twarzy miały trupią ostrość. Nie sposób było dostrzec w tym obliczu cienia łagodności, tylko głęboko wyżłobione bruzdy znamionujące fanatyzm. Poruszał wargami, jakby coś mówił, krzyczał albo modlił się przy dźwiękach bębnów.

Jego wzrok utkwiony był w „Lydis”. Zdałem sobie sprawę, że coś się poruszyło obok mnie; to Maelen zadzierała łeb, żeby spojrzeć w ekran. Nachyliłem się i podniosłem ją, żeby lepiej widziała. Jej ciało było masywniejsze, cięższe, niż się wydawało.

— To niebezpieczny człowiek, głęboko wierzący — poinformowała mnie. — Nie przypomina jednak naszych Starszych, chociaż mógłby, gdyby poznał nauki Molastera. Nie ma jednakże otwartego serca i umysłu, które są tego niezbędnym warunkiem. On widzi tylko jedną ścieżkę i gotów jest poświęcić wszystko, nawet życie, aby osiągnąć swój cel. Tacy ludzie są groźni...

Lidj obejrzał się przez ramię. — Masz rację, maleńka — musiał odebrać jej silny sygnał myślowy. Dla moich współtowarzyszy Maelen była oczywiście w pełni glassią. Tylko Griss Sharvan widział ją w ciele Thassy, ale nawet on najwyraźniej nie potrafił skojarzyć zwierzęcia z kobietą. Wszyscy wiedzieli, że Maelen nie jest w rzeczywistości tym, czym się wydaje, lecz nie potrafili stale o tym pamiętać.

Pochód kapłanów przybrał kształt klina, na którego czubku stał ich przywódca. Formacja przypominała grot włóczni wymierzonej w statek. Wciąż niczego nie słyszeliśmy,

choć zobaczyliśmy, że dobosze odkładają pałeczki. Wysoki kapłan poruszał wciąż wargami, a teraz także rękami. Nachylił się i wziął garść zdeptanej, piaszczystej gleby. Splunął na zawartość dłoni, chociaż nie patrzył na nią, lecz nieustannie na statek.

Zwilżywszy śliną ziemię, zaczął z niej toczyć w dłoniach kulkę. Co jakiś czas unosił bryłkę wyżej, najwyraźniej chuchał na nią i ugniatał.

— Rzuca klątwę — oznajmiła Maelen. — Prosi swego boga, aby przeklął tych, którzy zabierają z Thoth skarby świątyni, oraz wszystkich, którzy im w tym pomagają. Przysięga, że skarb wróci na swoje miejsce, a ci, którzy go wywożą, będą już wtedy martwi. Na jego powrót będzie czekać tu, gdzie teraz stoi.

Kapłan nie poruszał już wargami. Dwaj uczniowie wyszli naprzód i stanęli po jego bokach. Spod płaszczy wyjęli dwie maty i rozłożyli jedną na drugiej. Kiedy skończyli, kapłan, który ani razu nie rzucił okiem na nich, tylko wpatrywał się w „Lydis”, ukląkł na tej podściółce i złożył ręce na piersi. Więcej się nie poruszył, a jego uczniowie, dobosze i wszyscy pozostali cofnęli się kilka kroków.

Wtedy z bramy wyjechał mały pojazd, który ominął klęczącego kapłana bardzo szerokim łukiem. Zbliżył się do „Lydis”.

— Nasze pozwolenie na start. — Lidj wstał z fotela. — Pójdę po nie; im szybciej odlecimy, tym lepiej.

Włożył niedokończony kawałek slo—go z powrotem do opakowania, schował go do kieszeni i wyszedł z kabiny. Wkrótce mieliśmy wyruszyć, więc rozeszliśmy się na swoje posterunki, by zapiąć pasy. Pomogłem Maelen wejść na górną koję, zasnurowałem ochronną sieć, czego nie mogła zrobić sama, i położyłem się na swoim miejscu. Kiedy leżałem w oczekiwaniu na sygnał, myślałem o klęczącym kapłanie.

Jeśli nie przylecimy po następną partię ładunku, długo poczeka. A gdybyśmy wrócili? Czy nasz powrót nie udowodniłby tak niezbieżności omyślności kapłana, że nieszczęśnik nie tylko straciłby zwolenników, ale i sam zachwiał się w wierze?

— Wróćmy najpierw... — usłyszałem myśl Maelen. Myśli nie mają tak wymownej intonacji jak czasami głowy; Jednak coś mi mówiło... Czyżby naprawdę sądziła, że spotka nas jakieś nieszczęście?

— Szale Molastera nie przechylają się dla ludzi dobrej woli. Wszelkie zło w tej sprawie nie jest naszym dziełem. Mimo to nie podoba mi się...

Przerwał jej sygnał startu. Maelen zamknęła umysł tak, jak inni zamykają usta. Leżeliśmy, czekając na znajomą niewygodę, kiedy „Lydis” mknęła w niebo i dalej, tym

razem nie do gwiazd, lecz ku czwartej planecie układu, której blady sierp wisiał teraz na zachodnim niebie.

Ponieważ podczas tak krótkiej podróży nie wchodziliśmy w nadprzestrzeń, uwolniliśmy się z siatek natychmiast po osiągnięciu stałej prędkości. Znajdowaliśmy się obecnie w stanie nieważkości, który nigdy nie jest przyjemny, chociaż jesteśmy do niego przyzwyczajeni praktycznie od urodzenia. Maelen bardzo go nie lubiła i wolała spędzać ten czas w sieci startowej. Upewniłem się, że jest jej najwygodniej, jak było to możliwe w tych okolicznościach, i popłynąłem do kwatery Lidja.

Ku swojemu zdumieniu odkryłem, że mój przełożony nie jest sam. Wprawdzie mężczyzna leżący na pościeli magazyniera nie miał na sobie szaty i płaszcza, jednak jego wygolona głowa wyraźnie świadczyła o przynależności do stanu kapłańskiego. Nie byliśmy przygotowani na przyjęcie żadnego pasażera, przynajmniej nie powiadomiono mnie o tym. Tak rzadko się zdarzało, żeby na statku Wolnych Kupców przebywał ktoś spoza załogi, że szybko spojrzałem na Lidja, bezgłośnie domagając się wyjaśnienia. Kapłan leżał bezwładnie, wciąż przytrzymywany przez sieć startową, najwyraźniej całkowicie nieprzytomny.

Lidj gestem polecił mi wyjść z kabiny i podążył za mną. Zasunął ruchome drzwi kabiny.

— Pasażer...

— Miał rozkazy, które musieliśmy przyjąć — poinformował mnie magazynier. Widziałem, że nie był z tego zadowolony. — Nie tylko nas ostrzegł i powiedział, żebyśmy wystartowali jak najszybciej, ale przyniósł też list od arcykapłana, który upoważniał go do przypilnowania ładunku i zajęcia się nim po przybyciu do celu podróży. Nie mam pojęcia, jaki garnek wykupiał tam na dole, ale nasi thothiańscy praco dawcy chcieli, żebyśmy odlecieli najszybciej, jak możemy. Nie zaszkodzi dodatkowa para rąk na pokładzie, o ile ten człowiek nie zamierza lecieć dalej niż na Ptah.

## MAELEN

Leżałam na posłaniu, które wyznaczono mi na tym statku, i znów wiodłam swój mozolny bój. Nikt inny nie może w nim uczestniczyć, nawet ten cudzoziemiec, który w swoim czasie stoczył podobną walkę. Ja, która kiedyś byłam Maelen, Księżycową Śpiewaczką, i zbyt arogancko (o czym teraz już wiem) pyszniłam się swymi czynami i słowami, wyobrażałam sobie, że tylko ja mam do wyrównania rachunki z przeznaczeniem i że wszystko ułoży się zgodnie z moimi życzeniami.

My, Thassowie, musimy pamiętać o Szalach Molastera, na których zważone zostaną czyny naszych ciał, myśli naszych umysłów i pragnienia naszych serc!

Ponieważ moje okazały się zbyt lekkie, żyję teraz w innej postaci, w skórze mojej małej towarzyszkii Vors. Chętnie mi ją oddała, kiedy moje własne ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Nie wolno mi więc umniejszać ani zmarnować wielkiej ofiary, jaką poniosła. Dlatego postanowiłam dzielnie znosić nieustanne trudy, toczyć tę walkę nie raz, lecz wiele, wiele, wiele razy.

Jako Księżycowa Śpiewaczka, która musi się nauczyć zjednoczenia z innymi żywymi istotami, zgodziłam się biegać po górach Yiktor w postaci zwierzęcia, i tak spełniłam swój obowiązek. Czyniłam to jednak zawsze z dodającą otuchy świadomością, że moje ciało czeka na mój powrót, że to wygnanie jest tylko chwilowe. Teraz jednak...

Nadal byłam Maelen — sobą — MNA; mimo to istniała we mnie także esencja Vors. Wprawdzie kochałam ją i szanowałam za to, co dla mnie zrobiła, zarazem musiałam jednak walczyć z instynktami jej ciała, aby pozostać jak najdłużej tylko jego chwilowym mieszkańcem. Zawsze też wisiał nade mną posepny cień nowej obawy — że nie będzie już dla mnie wybawienia, że w miarę upływu lat będzie przybywać Vors, a ubywać Maelen.

Pragnęłam spytać mojego towarzysza, tego cudzoziemca Kripa Yorlunda, czy i jego nękał podobny strach, gdy żył w postaci barska. Nie mogłam się jednak przed nikim zdradzić, że dręczy mnie taki niepokój. Czy to milczenie zrodziło się z resztek mojej dawnej dumy i chęci zapanowania nad sytuacją, czy też był to konieczny hamulec, tego wszakże nie wiedziałam. Tak czy inaczej, musiałam grać swoją rolę najlepiej, jak potrafiłam. Mimo to lubiłam również te chwile, kiedy mogłam spełnić jakąś istotną rolę w życiu „Lydis”. gdyż wydawało mi się wtedy przez moment, że Maelen znów jest w pełni sobą. Podczas ostatnich godzin pobytu na Thoth mogłam więc zapomnieć o sobie i zająć się sprawami statku.

Teraz jednak leżałam beczynn timer i moje myśli były posępne, gdyż przypomniał mi się ten kapłan, który ceremonialnie nas przeklął. Jak mówiłam Kripowi, w czystej wierze takiego człowieka tkwi siła. Wprawdzie nie użył on różdżki ani laski, aby wskazać nas Mocom Głębokiego Mroku, rozkazał jednak znanym sobie potęgom, aby nas otoczyły. Poza tym nie byłam w stanie przeniknąć do jego umysłu; chroniła go przede mną bariera tak skuteczna, jak gdyby był jednym ze Starszych.

Leżę teraz na swoim posłaniu, mocno przypięta siatką (mimo długiego życia na pokładzie nie potrafiłam się przyzwycząić do stanu nieważkości) — leżę i używam psychopolacji.

Wśród załogi „Lydis” nie było zmian. Musnęłam tylko lekko powierzchnię ich myśli, ponieważ penetracja, jeśli nie zachodzi tego rozpaczliwa potrzeba, jest gwałtem, jakiego żadna żywa istota nie powinna się dopuszczać na drugiej. W czasie poszukiwań natrafiłam jednak na obcy umysł i...

Obróciłam głowę, chwyciłam zębami za linki, które mnie przytrzymały. Potem odzyskałam jasność myśli i wysłałam sygnał do Kripa. Natychmiast odpowiedział — widocznie wyczuł moje zatroskanie.

— Co się stało?

— Na pokładzie jest ktoś z Thoth. Ma wobec nas złe zamiary

Zapadła cisza, a potem wyraźnie usłyszałam jego odpowiedź.

— Mam go właśnie wyraźnie przed oczami. Jest nieprzytomny i znajduje się w takim stanie od chwili startu.

— Jego umysł jest przytomny i bardzo zajęty! Krip, ten człowiek jest potężniejszy od wszystkich, których spotkaliśmy na Thoth. Jest bardzo podobny do tego, który nas przeklął. Obserwuj go, obserwuj go uważnie!

Nawet wtedy nie zdawałam sobie sprawy z odmienności nieznanego ani z tego, jak bardzo powinniśmy się go obawiać. Jego również, podobnie jak tego, który nas przeklął, otaczała bariera, za którą ukrywał większość swoich myśli. Wprawdzie nie potrafiłam ich odczytać, wyczułam jednak zagrożenie.

— Bądź spokojna, będziemy go obserwować.

Nieznanomy jakby usłyszał naszą wymianę myśli. Może naprawdę słyszał, ponieważ emanacje jego umysłu szybko osłabły. Mogło to być również skutkiem osłabienia ciała. Miałam się jednak na baczności, jakbym rzeczywiście patrolowała czeluści „Lydis”.

Na statku nie ma nocy ani dnia, poranka ani wieczoru. Trudno mi się było do tego przyzwycząić, kiedy pierwszy raz weszłam na pokład. Ciasne kabiny i korytarze

przypominały więzienie komuś, kto nigdy nie znał domu innego niż wozy Thassów, kto z własnej woli zawsze żył poza murami zbudowanymi przez ludzi. Tu wiecznie czuć było gryzącą woń. Czasami też wydawało mi się, że nie zniosę już dłużej tego dudnienia silników, które przenosiły nas od gwiazdy do gwiazdy, i wtedy moją jedyną ucieczką była przeszłość i wspomnienia. Nie ma nocy ani dni poza tymi, jakie Kupcy sami sobie wyznaczają, ustalając okresy snu i czuwania.

Z chwilą, gdy statek wystartował i ruszył stosownym kursem, nie trzeba było wiele robić, aby go w takim stanie utrzymać. Krip dawno mi jednak pokazał, że załozde nie brakowało zajęć. Niektórzy zajmowali się rękodziełem i wytwarzali drobiazgi, które ich bawiły, albo które mogli dołączyć do towarów na sprzedaż. Inni zajmowali umysł, ucząc się z taśm informacyjnych. Robili co mogli, aby statek również dla nich nie stał się więzieniem.

A Krip... cóż, może czuł się teraz podobnie jak ja, i ciało, które nosił, wywierało na niego wpływ. Ponieważ zewnętrznie był Thassem, wypytywał mnie o wspomnienia, chcąc dowiedzieć się wszystkiego, co mógł o mojej rasie. Dzieliłam się z nim wiedzą śmiało, pomijając jedynie sprawy, których nie wolno ujawnić żadnemu obcemu. Oboje więc uciekaliśmy w świat istniejący poza drżącymi ścianami kabiny.

Krip wrócił jakiś czas później, by odpocząć. Spytał, czy dowiedziałam się czegoś nowego o naszym pasażerze. Po moim ostrzeżeniu Lidj podał mu pewien lek przynoszący ulgę podczas startu, który powinien trzymać go w stanie uspienia przez większość podróży.

Nie, żadnych zmian, odpowiedziałam. Tak się przyzwyczaiłam do rytmu życia na statku, że ja również odczułam potrzebę odpoczynku.

Coś mnie raptem wyrwało ze snu, tak brutalnie, jakby na moim ciele zacisnęła się pętla z filanowego sznura i szarpnęła je w górę. Kiedy oprzytomniałam, stwierdziłam, że rzeczywiście szarpie się w sieci, którą byłam mocno przywiązana do łóżka.

Przez kilka chwil czułam się tak oszołomiona, że nie miałam pojęcia, co mnie zbudziło. Wtedy uświadomiłam sobie, że nie słyszę nieustannego dudnienia silnika, że jego płynny rytm został zakłócony. Chwilę później z komunikatora pokładowego nad moją głową wydobył się przenikliwy dźwięk — ostrzeżenie, że na „Lydis” stało się coś złego.

Krip sturlał się z dolnej koi. Ponieważ przebywaliśmy w stanie nieważkości, zbyt szybki ruch sprawił, że uderzył w przeciwległą ścianę z siłą wystarczającą, żeby nabić sobie siniaka. Usłyszałam jego stłumiony okrzyk, gdy chwycił szczebel drabinki na ścianie i wgramolił się na górne poślanie, gdzie leżałam. Przytrzymał się jedną ręką, a drugą poluzował moją siatkę.

Kiedy już zbudził nas pierwszy alarm, z komunikatora padły grzmiące słowa.

— Cały wolny personel, przypiąć się na czas orbitowania! Krip znieruchomiał, wciąż trzymając moją siatkę, a ja wbijałam wielkie szpony w posłanie, żeby nie odlecieć, nie mogąc zapanować nad swoimi ruchami. Potem Krip usłuchał rozkazów, przycisnął mnie i znów przypiął, po czym wrócił na swoje miejsce.

— Nie mogliśmy jeszcze dolecieć na Ptah! — Wciąż byłam rozdygotana po tym gwałtownym przebudzeniu.

— Nie, ale statek...

Nie musiał kończyć. Nawet ja, która nie byłam prawdziwą gwiazdną podróżniczką, potrafiłam wyczuć różnicę. Rytm silników został zakłócony.

Nie odważyłam się użyć penetracji myśli, aby nie przeszkodzić któremuś z ludzi, podczas gdy ich umysły zaprzętała troska o prawidłowe funkcjonowanie statku. Spróbowałam jednak psychopolacji. Być może to instynkt kazał mi skierować ją najpierw w stronę obcego pośród nas.

Nie mam pojęcia, czy krzyknęłam na głos. Krip jednak natychmiast mi odpowiedział. Kiedy wyczytał z moich myśli, czego się dowiedziałam, jego niepokój przerodził się niemalże w przerażenie.

Jestem — byłam — Księżycową Śpiewaczką. Używałam różdżki. Potrafiłam odczytywać wiązki myślowe. Dokonywałam zamiany ciał pod trzema pierścieniami Sotratha. Z łaski Molastera wiele dokonałam dzięki swemu talentowi. Jednakże to, z czym się teraz zetknęłam, było czymś nowym, obcym, mrocznym i tak niszczycielskim, że nie mogłam tego pojąć.

Z leżącego kapłana tryskał strumień czystej energii. Popłynęłam nim, zabierając ze sobą myśl Kripa, przez wnętrze „Lydis” do czegoś, co znajdowało się poniżej silników, które były jej życiem — do jakiegoś przedmiotu w ładowni.

Psychiczna moc wyzwoliła siłę tego tajnego obiektu, przemyślnie dostrojonego wyłącznie do myśli jednego człowieka. Teraz z ukrytego pakunku emanowała energia potężniejsza od jakiegokolwiek myśli, mordercza siła, która wpływała na serce „Lydis”, spowalniała pracę jej silników i czyniła je ospałymi. A po jakimś czasie spowoduje ich awarię.

Próbowałam zatamować tę falę potężnej siły, która płynęła z umysłu kapłana. Strumień energii był jednak tak niedostępny, jakby znajdował się wewnątrz Skały Tormory. Nie można go było odciąć ani odciągnąć od celu. Mimo to wyczułam, że gdyby udało się go zatrzymać, pakunek przestałby funkcjonować. Kiedy Krip dowiedział się o tym, wysłał do mnie impuls:



— Człowiek więc, jeśli nie jego myśl — powstrzymajmy człowieka!

Natychmiast zrozumiałam, że miał rację. Zaprzestałam zmagać się ze strumieniem energii i posłam z Kripem poszukać Lidja, który powinien znajdować się najbliżej nieznanego. Ostrzeżyliśmy magazyniera, nakłaniając go do zastosowania siły fizycznej.

Zadziało! Strumień zasilającej energii zamigotał, osłabł, znów się nasilił — potem zaiskrzył słabo i zgasł. Wibracje statku unormowały się na czas być może czterech uderzeń serca. Potem one również ucichły. Czułam wyteżoną wolę załogi „Lydis”, ich strach i pragnienie podtrzymania pracy silników.

Wtedy wróciło ciężenie. Byliśmy na orbicie, ale gdzie i...

Moje ciało glassi nie było stworzone do znoszenia takich obciążeń. Chociaż rozpaczliwie starałam się nie stracić przytomności, nie powiodło mi się.

Czułam w ustach mdłaco—słodki smak; z mojego pyska sączyła się jakaś ciecz. Ta cząstka mojej jaźni, która była Vors, przypominała sobie krew. Cała byłam obolała. Kiedy z wysiłkiem podniosłam powieki, przed oczami miałam tylko mgłę. Sufit kabiny jednak znajdował się zdecydowanie w górze, a mnie przyciskała do posłania grawitacja większa niż na Thoth.

Wylądowaliśmy. Czyżbyśmy wrócili na Thoth? Wątpiłam w to. Wbijając szpony w boki łóżka, zdołałam pomimo siatki podczołgać się do krawędzi i spojrzeć w dół, aby sprawdzić, co z moim współlokatorem.

Kiedy się podniosłam, spotkałam jego wzrok. W jego oczach nagle pojawił się wyraz zatroskania...

— Maelen! — krzyknął. — Jesteś ranna!

Spojrzałam na swoje ciało. Faktycznie byłam posiniaczona. Z nosa i z pyska ciekła mi krew, plamiąc futro. Obrażenia były jednak lekkie i tak też mu powiedziałam.

Wylądowaliśmy, lecz nie na Thoth ani Ptah, która była celem naszej podróży, lecz na Sekhmet. Dziwne nazwy. Krip dawno mi wyjaśnił, że pierwsi badacze kosmosu, którzy należeli do jego rasy, mieli zwyczaj nadawać słońcom i towarzyszącym im światom imiona bogów i bogiń prymitywnych ludów z własnej przeszłości. Jeśli planety nie miały rodzimych mieszkańców i konkurencyjnych nazw, przyjmowano miana nadane przez lerrańskich badaczy.

Nazwy planet systemu Amen—Re miały źródło w legendach. Krip pokazał mi symbole na obrzeżu mapy, którymi oznaczano każdą z nich. Pochodziły z bardzo zamierzchłej przeszłości. Set, planetę zbyt gorącą, by podtrzymać życie, oznaczał jakiś jaszczur; Thoth — ptak z długim dziobem. Symbol planety Ptah miał dość ludzki wygląd, ale

Sekhmet wyobrażał w tym towarzystwie łeb futrzastego stworzenia, które Krip znał i widział w swoim życiu, i które nazywał „kotem”.

Koty bez trudu przywykły do kosmicznych podróży i początkowo występowały powszechnie na statkach, choć teraz były nieliczne. Niewielką ich liczbę troskliwie hodowano w kupieckich bazach na asteroidach. Stwór przypisany Sekhmet miał kocią głowę, ale ciało kobiety. Krip nie wiedział, jakie siły uosabiała owa bogini. Ta wiedza uległa zapomnieniu. Planeta, której nadano jej imię, nie cieszyła się jednak dobrą sławą.

Miała większą grawitację niż Thoth albo Ptah i była tak nieprzyjazna, że chociaż próbowano ją zasiedlić, w końcu zaprzestano tych wysiłków. Raz na jakiś czas przylatywali tu poszukiwacze minerałów, jednak nie odkryli niczego, czego nie byłoby na Ptah i to w postaci dużo łatwiejszej do wydobycia. Gdzieś na tym kontynencie znajdowała się stacja przekąźnikowa Patrolu. Reszta jednak była królestwem ostrych wichrów, zachmurzonego nieba i dziwnych form życia, które tu zamieszkiwały.

Nie tylko wylądowaliśmy na tej psepnej planecie, co już dowodziło zręczności naszego pilota i mechanika, ale w pewnym sensie staliśmy się jej więźniami. Energia, która wpłynęła na nasze silniki, wyrządziła szkody niemożliwe do naprawienia bez zapasowych części i narzędzi, jakich nie mieliśmy na pokładzie „Lydis”.

Co do kapłana, niczego się od niego nie dowiedzieliśmy, ponieważ zmarł. Zaniepokojony naszym ostrzeżeniem Lidj szybko uderzył. Lecz to nie jego cios, który miał tylko ogłuszyć Thothianina, wyrządził mężczyźnie krzywdę; wyglądało raczej na to, że nagłe przerwanie aktu sabotażu spowodowało odrzut energii, która pozbawiła go życia. Nie znaliśmy więc powodu ataku, pomijając fakt, że jego celem musiało być uniemożliwienie nam lądowania na Ptah.

Jedynie, co mogliśmy teraz zrobić, to zadbać o własne bezpieczeństwo. Gdzieś wśród tych zębatych wzgórz (cała kraina składała się bowiem wyłącznie z ostrych szczytów i dolin tak głębokich i wąskich, jakby wyciął je w powierzchni planety miecz rozżłoszczonego olbrzyma) wznosiła się stacja przekąźnikowa Patrolu. Naszą jedyną nadzieją było dotarcie do niej i wezwanie pomocy.

Na „Lydis” znajdował się niewielki, dwuosobowy pojazd latający przeznaczony do eksploracji. Wydobyto go na zewnątrz i złożono. Podróż przez tak nierówny teren w poszukiwaniu stacji, która mogła znajdować się po drugiej stronie planety, była niebezpiecznym przedsięwzięciem. Wprawdzie cała załoga gotowa była zgłosić się na ochotnika, drużynę ratowników postanowiono jednak wybrać drogą losowania.

Tak też zrobiono i każdy wyciągnął los z miski, do której wsypano kostki z symbolami ich stopni. Los wskazał naszego astrologa Manusa Hunolda i drugiego inżyniera Grissa Sharvana.

Mężczyźni zapakowali plecaki, wypełniając je pobranym z magazynów zapasowym prowiantem i innymi niezbędnymi rzeczami. Ślizgacz natomiast został poddany dokładnej kontroli i dwa razy odbył próbny lot, zanim kapitan Foss nie nabrał pewności, że działa prawidłowo.

Jak wspominałam, była to złowieszcza planeta. Moje zdolności psychopolacyjne nie wskazywały jednak żadnego zagrożenia poza tym, jakie stwarzał surowy charakter powierzchni i mrok. A była to rzeczywiście posępna kraina.

Wiele jest jałowych pustkowi na Yiktor. Kraina wysokich wzgórz, najbliższy odpowiednik ziem rodzinnych, jaki mają Thassowie, w większości składa się z obszarów, które mieszkańcy nizin nazywają pustynią. Mimo to zawsze czuło się tam światło i swobodę.

Tutaj panował przygnębiający mrok. Skaliste ściany wysokich skarp były z czarnego lub bardzo ciemnoszarego kamienia. Skąpa roślinność wyglądała upiornie blado z powodu swej jasnoszarej barwy albo prawie nie odróżniała się od skał, w szczelinach których rośla. Były to ciemne kulki o tak niemłym wyglądzie, że ich dotknięcie wymagało wielkiego wysiłku woli.

Nawet piaszczyste wydmy na otwartej przestrzeni, gdzie tak mistrzowsko wylądował kapitan Foss, przypominały bardziej sterty popiołu z dawno wygasłego ogniska, tak miążkiego i delikatnego (z wyjątkiem miejsc, gdzie stopiły go nasze wsteczne rakiety), że nie znać było na nim śladów stóp. Jego tumany tańczyły na zimnym wicherze, który wył i świszczwał w szczelinach poszarpanych skał. Była to kraina nieprzyjazna naszemu rodzajowi i wyraźnie dawała znać o swej wrogości.

Właśnie z powodu tego wiatru najbardziej obawialiśmy się o ślizgacz. Jeśli podmuchy się nasilą, lekki pojazd nie zdoła polecieć nad niebezpiecznie skalistym terenem.

Po pewnych przeróbkach komunikator „Lydis” wychwycił niezwykle słaby ślad sygnału. Nasz łącznościowiec Sanson Korde nabrał pewności, że stacja znajduje się gdzieś na lądzie, na którym wylądowaliśmy. Był to bardzo nikły i wątpliwy uśmiech losu.

Na niewiele mogłam się przydać. Moje łapy nie nadawały się do pracy przy ślizgaczu. Wyznaczyłam sobie więc inne zadanie. Krążyłam wśród posępnych skał, szukając wszystkimi zmysłami mojego ciała i umysłu czegoś, co mogło tu żyć i mieć wobec nas złe zamiary.

Sekhmet nie była pozbawiona życia zwierzęcego. Żyły tu drobne, płochliwe owady, które ukrywały się w szczelinach między głazami. Żaden z nich jednak nie posiadał

świadomości ani zdolności myślenia. Po większych zwierzętach nie było śladu. Nie oznaczało to jednak, że nie mogły żyć gdzieś indziej, tylko że jeśli było to prawdą, znajdowały się poza zasięgiem moich zmysłów.

Wprawdzie nie wykryłam ani iskielki rozumnego życia, ale istniało tu coś, czego nie potrafiłam wyjaśnić. Czułam, jak kryje się tuż poza zasięgiem mojej świadomości. Było to wrażenie, jakiego doznawałam przedtem tylko w jednym miejscu, ale tam miałam powody się go spodziewać. Thassowie mają swoje tajne miejsca na wyżynnych obszarach planety Yiktor. Legenda głosi, że kiedyś byliśmy ludem osiadłym, tak jak dzisiaj mieszkańcy nizin. Zналиśmy granice miast i wiecznie nas otaczające solidne mury.

Wtedy nadszedł czas, kiedy powzięliśmy decyzję, która miała zmienić życie nie tylko tych, którzy ją podjęli, lecz także przyszłych pokoleń — aby porzucić dzieło rąk ludzkich na rzecz innych mocy, niewidzialnych i niezmiernych. Ci, którzy stanęli na tym rozdrożu ścieżek życia, wybrali drogę, która wyżej stawiała umysł niż ciało. Stopniowo więc odczuwaliśmy coraz mniejszą potrzebę przebywania w jednym miejscu. Dobra materialne niewiele dla nas znaczyły. Jeśli mężczyzna albo kobieta mieli więcej niż potrzebowali, dzielili się majątkiem z tymi, którym się mniej szczęściło.

Staliśmy się wędrowcami, czuliśmy się swobodniej w dzikiej gęszy niż w krainach, do których byli przywiązani nasi przodkowie. Istniały jednak wciąż pewne przedwieczne święte miejsca, tak stare, że pamięć o ich pierwotnym przeznaczeniu dawno się zatarła nawet w najstarszych opowieściach. Tam właśnie szliśmy, kiedy zachodziła potrzeba, abyśmy się zebrali w celu skupienia mocy — żeby przywołać Starszego, albo przy podobnej okazji.

Miejsca te mają swoją własną, niepowtarzalną atmosferę. Ożywają, kiedy w nich przebywamy, witają nas duchowym ciepłem, które orzeźwia tak, jak łyk czystej wody człowieka, którego od dawna dręczyło pragnienie. Wrażenie przebywania w bliskości czegoś bardzo starego i celowego było więc dobrze mi znane.

Jednak tutaj... Dlaczego doznawałam tu podobnego uczucia — że znajduję się w pobliżu jakiejś bardzo starej rzeczy z ukrytym głęboko sensem, którego nie rozumiałam? Czułam się, jakby wręczono mi zapisany zwój, którego treści musiałam się nauczyć, lecz symbole na nim były tak obce, że nie budziły żadnych skojarzeń. To uczucie nawiedzało mnie, ilekroć obchodziłam nasze zaimprovizowane lądowisko. Nie potrafiłam jednak ustalić, skąd pochodziło, abym mogła zbadać je dokładniej i odkryć przyczynę niepokoju, jaki we mnie wzbudzało. Odnosiłam jedynie wrażenie, że jest częścią suchego, pełnego pyłu powietrza i przenikliwego wichru, który świszczwał między skałami.

Nie ja jedna byłam zatroskana, lecz umysły moich towarzyszy zaprzętał całkiem inny problem. Wiedzieli, że kapłan uruchomił urządzenie, które spowodowało katastrofę. Potem znaleziono sam mechanizm i to w zdumiewającym miejscu. Trop bowiem zaprowadził ich do Tronu Qura. Z początku sądzili, że obiekt ich poszukiwań znajduje się wewnątrz skrzyni. Było jednak inaczej. Po wyjęciu Tronu z opakowania niczego nie znaleźli. Wtedy dokładnie, cal po calu, zaczęli badać sam mebel, używając w tym celu najlepszego czujnika. W taki sposób Lidj odkrył wnękę w wysokim oparciu Tronu. Naciśnięcie dwóch klejnotów zwolniło sprężynę. W środku leżało pudełko z matowego metalu.

Odczyt poziomu promieniowania sprawił, że przed wydobyciem go z ciasnej skrytki magazynier nałożył ochronne rękawice. Potem umieścił skrzynkę w ekranowanym pojemniku, który następnie wyniesiono ze statku i schowano między głazami, gdzie emitowana przez nią energia nie mogła wyrządzić żadnej szkody. Ci kupcy nieustannie podróżowali i dobrze znali wiele planet, jednak konstrukcja pudełka i charakter energii, jaką wykorzystywało, były dla nich tajemnicą.

Zgadziali się jednakże co do jednego — nie pochodziło z Thoth, gdyż tamtejsza technologia była niewątpliwie zbyt prymitywna do produkcji podobnych urządzeń.

— Chyba, że w trakcie nieustannych poszukiwań skarbów ci kapłani natknęli się na tajemnice, których nie zamierzają ujawniać tak szybko jak pozostałych znalezisk — stwierdził kapitan Foss. — Nie ulega wątpliwości, że wnęki w Tronie nie wykonano niedawno; musiała być jego częścią od samego początku. Może to pudełko też jest pozostałością z tamtych czasów? Mamy trupa i niebezpieczny sekret. Mamy broń, którą posłużono się w najodpowiedniejszym momencie podróży, aby zmusić nas do lądowania na Sekhmet. Wszystko to razem tworzy całość, która mi się nie podoba.

— Ale dlaczego... Nasz statek mógł przecież utknąć bezradnie w kosmosie... — wtrącił Shallard, nasz inżynier. —

Tylko uśmiech losu sprawił, że zdołaliśmy cało wylądować na tej planecie.

Foss popatrzył na skały i wędrujące wydmy miążskiego piasku.

— Ciekawe... właśnie nad tym się zastanawiam — powiedział powoli. Potem zwrócił się do dwóch mężczyzn, którzy mieli udać się na poszukiwanie stacji.

— Zaczynam wierzyć, że im szybciej się skontaktujemy z władzami, tym lepiej. Bądźcie gotowi do startu, kiedy tylko ucichnie wiatr.

## MAELEN

Tak więc odlecieli ślizgaczem. Na jego pokładzie znajdowało się urządzenie, dzięki któremu pozostawali w kontakcie z „Lydis”, chociaż meldowali jedynie o przelocie nad krajobrazem podobnym do tego, który my też widzieliśmy. Mimo to Foss utrzymywał z nimi łączność przez komunikator statku. Tak łatwo było dostrzec jego niepokój, jakby wykrzykiwał swoje myśli na głos.

Nie ulegało wątpliwości, że padliśmy ofiarą sabotażu. Jednak jego powód pozostawał niejasny. Gdyby zatrzymano nas przed odlotem z Thoth, wszystko byłoby proste. Mogli to uczynić rebelianci albo ten fanatyczny kapłan. Katastrofa miała jednak miejsce w połowie lotu.

Czyżby ktoś chciał, żebyśmy wylądowali na Sekhmet? Kapitan w to wątpił — zbyt wiele zależałoby tu od przypadku. Sądził raczej, że na skutek ataku „Lydis” miała utknąć bezradnie w kosmosie. Reszta załogi zgadzała się z nim. Na powierzchni planety mieliśmy przynajmniej jakieś widoki na przetrwanie; mogliśmy przecież nie dostać nawet takiej szansy. W każdym przypadku zagrożenie było poważne, więc zanim kapitan jeszcze wydał rozkazy Korde’owi, łącznościowiec sam rozkręcił płyty i zabrał się do badania płataniny kabli ukrytych za nimi. Istniała szansa, że z tych elementów udałoby się zbudować supernadajnik, przez który moglibyśmy wezwać pomoc, gdyby podróż śmigacza zakończyła się niepowodzeniem. Kupcy byli przyzwyczajeni do improwizowania w razie potrzeby.

Zbliżała się noc, chociaż za dnia na Sekhmet było niewiele widniej niż o zmierzchu, tak grube zwały chmur zwiślały nisko nad poszczerbionymi wzgórzami. Wraz z nadejściem mroku wzmógł się chłód. Zjeżyłam futro, nie celowo, lecz instynktownie.

Krip wezwał mnie na statek, ponieważ załoga zamierzała się zabarykadować w jego wnętrzu, tak jak pod murami Kartumu. Jeszcze raz zbadalam okolicę i nie wykryłam niczego groźnego. Niczego, na co mogłabym wskazać i powiedzieć: „To jest niebezpieczne”. Mimo to...

Kiedy zamknął się za mną właz, ciepło i światło „Lydis” dało mi poczucie bezpieczeństwa, wciąż jednak niepokoiło mnie tamto wrażenie — uczucie, że coś nas otacza... Tylko co?

Podczas wspinaczki po drabinie, która prowadziła do części mieszkalnej, pomagałam sobie pazurami. Kiedy jednak znalazłam się naprzeciw włazu do ładowni, gdzie stał Tron, zatrzymałam się i zawisłam na szczeblach. Odwróciłam głowę w stronę zamkniętych drzwi,

jakby ciągnęła mnie tam jakaś nieodparta siła. Tak potężne było to przyciąganie, że zeskoczyłam z drabiny na próg przy drzwiach, ocierając się barkiem o ich powierzchnię.

Pudełka, które spowodowało naszą katastrofę, już nie było; sama widziałam, jak wyrzucono je na zewnątrz. Z tego pomieszczenia promieniowała jednak atmosfera... powiedzmy „życia”, ponieważ lepiej nie potrafię tego opisać. Mogłam teraz przebywać w polu jakiegoś niewidzialnego sposobu komunikacji. Nie tylko usłyszałam mentalny alarm, ale wręcz przeszły mnie ciarki. Moje futro falowało jak od podmuchu silnego wiatru. Musiałam wysłać impuls myślowy, gdyż Krip szybko zawołał:

— Maelen! Co się stało?

Próbowałam odpowiedzieć, ale nie mogłam posłać żadnej konkretnej informacji. Jednakże już to, co powiedziałam, wystarczyło, żeby Krip, kapitan i Lidj przybiegli do mnie w pośpiechu.

— Pudełka przecież już nie ma — powiedział kapitan Foss. Ustąpił miejsca Lidjowi, który przepchnął się, żeby stworzyć zapieczętowaną ładownię. — Czy to możliwe, że jest jeszcze jedno?

Krip dotknął mojej głowy i przyglądał to dziwnie zjeżone futro. Jego twarz zdradzała, że nie tylko dręczy go strach przed tym, co może czyhać wewnątrz, ale i niepokój o mnie. Zdawał sobie sprawę, że nie wiem, co się znajduje za tymi drzwiami, i już sama moja niewiedza stanowiła dodatkowe źródło zagrożenia. Po raz pierwszy w życiu byłam tak roztrzęsiona.

Lidj otworzył drzwi; zapaliło się światło. Na wprost nas stał Tron Qura, wciąż jeszcze nie zapakowany. Zamknięto tylko schowek w jego oparciu. Kapitan popatrzył na mnie.

— No więc, co to jest?

Ja z kolei spojrzałam na Kripa. — Czujesz?

Staął naprzeciwko Tronu. Twarz miał pozbawioną wyrazu, ciemne oczy Thassy utkwione w jednym punkcie. Zobaczyłam, że oblizuje dolną wargę.

— Czuję coś... — był jednak bardzo zdezorientowany.

Dwaj pozostali kupcy zamienili spojrzenia. Było oczywiste, że nie odbierali tego co my. Krip zrobił krok naprzód, położył dłoń na siedzeniu Tronu.

Wyraziłam głośno swój protest warczeniem glassii. Było już jednak za późno. Jego ciałem wstrząsnął widoczny dreszcz; zatoczył się, jakby włożył rękę do ognia, zachwiał i wpadł na Lidja, który wyciągnął rękę w samą porę, żeby go uchronić od upadku na ziemię. Kapitan zwrócił się do mnie gniewnym tonem: — Co to jest? — spytał.

— Siła... — posłałam mu myśl. — Potężna siła. Nigdy przedtem się z taką nie zetknęłam.

Odsunął się gwałtownie od Tronu. Lidj, który wciąż trzymał Kripa, zrobił to samo.

— Dlaczego my też tego nie czujemy? — spytał kapitan, mierząc Tron tak nieufnym wzrokiem, jakby podejrzewał, że może mu strzelić w twarz strumieniem czystej energii.

— Sama nie wiem, może Thassowie są bardziej wyczuleni na jego emanacje. Tron wysyła jakąś energię, a tam — kiwnęłam głową, żeby pokazać ścianę statku — coś ją odbiera.

Kapitan ostrożnie przyglądał się sprzętowi. Potem powziął jedyną decyzję jaką mógł, będąc doświadczonym Wolnym Kupcem. Bezpieczeństwo „Lydis” było najważniejsze.

— Opróżnimy ładownię. Wyładujemy nie tylko Tron, ale i całą resztę. Przechowamy wszystko do czasu, gdy się dowiemy, co się za tym kryje.

Usłyszałam, jak Lidj raptownie wciągnął powietrze. — Złamanie kontraktu... — zaczął, cytując fragment kodeksu Wolnych Kupców.

— Żaden kontrakt nie wymaga transportowania niebezpiecznego ładunku, zwłaszcza jeśli zagrożenie nic zostało ujawnione przed podpisaniem umowy. „Lydis” już została zmuszona do lądowania z powodu tego czegoś — tego skarbu! Tylko szczęśliwym trafem nie dryfujemy przez niego w kosmosie jako wrak. Trzeba to wynieść na zewnątrz i to szybko!

Tak więc pomimo zmroku rozwieszono reflektory i jeszcze raz uruchomiono roboty. Tym razem zanosily do luków wszystkie te skrzynie, paki i bele, które tak starannie załadowały na Thoth. Kilka automatów opuszczono na ziemię, gdzie brnęły przez wydmy, składając ładunek pod osłoną zbocza góry. Na samym końcu umieszczono tam Tron Qura w całej jego połyskliwej krasie, ponieważ nikt nie czekał, żeby go ponownie zapakować.

— Załóżmy — Lidj odliczał eksponaty niesione przez roboty — że ktoś właśnie tego chce — żebyśmy je położyli tam, skąd można je łatwo zabrać?

— Rozmieścimy czujniki. Nikt się nie zbliży bez uruchomienia alarmu. Wtedy obronimy ładunek. — Kapitan zwrócił się do mnie: — Możesz stanąć na warcie?

Odkąd przyłączyłam się do załogi kilka miesięcy temu, niezwykle rzadko zdarzało się, żeby zwrócił się wprost do mnie z prośbą o jakąś przysługę, chociaż przyznawał, że mam zdolności, jakich nie posiadali jego ludzie. To, co mogłam, czyniłam chętnie, jeszcze zanim mnie poproszono. Teraz odnosiłam wrażenie, że zawahał się trochę, jakby uważał, że powinnam mieć prawo dobrowolnie zgłosić się do tego zadania.

Wyraziłam zgodę, chociaż nie miałam ochoty zbliżyć się za bardzo do sterty ładunku, zwłaszcza do błyszczącego Tronu. Założyli więc system alarmowy. Kiedy jednak chcieli wrócić na statek, po trapie zszedł Krip.



Wypadek w ładowni tak na niego podziałał, że musiał na jakiś czas pójść do swojej kabiny. Ubrany był teraz w strój przeznaczony do noszenia w warunkach zimnych planet, z kapturem naciągniętym na głowę i rękawicami na dłoniach. Miał też przy sobie broń, z którą rzadko go widywałam — miotacz.

— Co ty sobie wyobra... — zaczął kapitan, lecz Krip mu przerwał.

— Zostanę z Maelen. Może nie mam jej zdolności, ale i tak jestem jej bliższy niż reszta. Zostaję.

Początkowo wydawało się, że kapitan chce zaprotestować, lecz potem pokiwał głową. — Zgoda.

Kiedy odeszli i trap został wciągnięty, Krip poszedł po sypkim piasku, żeby obejrzeć Tron, chociaż odnotowałam z zadowoleniem, że trzymał się od niego z daleka.

— Co... i dlaczego?

— Rzeczywiście, co i dlaczego — odparłam. — Być może istnieje tyle odpowiedzi, ile mogę wysunąć pazurów. Może kapitan się myli i faktycznie mieliśmy tu wylądować, a nawet opróżnić ładownię. Tylko ten nieżyjący kapłan mógłby nam na to udzielić odpowiedzi.

Siadłam na zadzie, balansując niezdarnie, jak musi to czynić człowiek w ciele stworzonym do poruszania się na czterech nogach, kiedy ma ochotę wyprostować się jak istota chodząca na dwóch. Podmuchy zimnego wiatru smagały mnie po żebrach i grzbiecie, lecz futro chroniło przed chłodem.

Wzbite wichrem wielkie obłoki duszącego pyłu przesłaniały Tron Qura.

Zmrużyłam oczy dla osłony przed niesionym przez wiatr piaskiem i utkwiłam wzrok w krześle. Czyżby... czyżbym przez ułamek sekundy, oddzielony od prawdziwego czasu, naprawdę ujrzała to, co widziały moje oczy? A może mi się tylko zdawało?

Czyżby z kurzu oblepiającego niewidzialne, lecz materialne jądro powstała podobizna istoty siedzącej na tronie jak sędzia, który wydaje swą opinię o naszych sprawach?

Tylko przez chwilę tak mi się wydawało. Potem cień zniknął. Naniesiony wiatrem pył opadł, osiadając warstwą na czerwonym metalu. Krip chyba w ogóle tego nie zauważył.

Tej nocy nic się więcej nie wydarzyło. Nasze reflektory wciąż oświetlały tańczący w powietrzu kurz, z którego wiatr usypał małe kopczyki wokół skrzyń. Moje najczulsze zmysły nie odbierały żadnego echa wśród skał ani na pobliskich wzgórzach. Wszystko to mogłoby nam się przyśnić, gdybyśmy nie wiedzieli, że to prawda. Podejrzanie, że zostaliśmy zmuszeni do wyniesienia ładunku na otwartą przestrzeń, tak głęboko utkwiło w mojej świadomości, że byłam prawie przekonana o jego słuszności. Jeśli jednak omamiono nas po to, żeby zdobyć dostęp do skarbu, teraz nie uczyniono nic, żeby go zabrać.

Sekhmet nie miała księżyca, który przemierzałby jej pochmurne niebo. Poza kręgiem światła panowała całkowita ciemność. Wkrótce po zamknięciu włazu wiatr ucichł, piasek i pył opadł. Było bardzo cicho, zbyt cicho, gdyż nasiliło się uczucie, że na coś czekamy.

Mimo to żaden atak nie nastąpił, jeśli rzeczywiście gdzieś czyhało niebezpieczeństwo. Wczesnym rankiem jednak coś się stało i w pewien sposób cios ten okazał się dotkliwszy dla „Lydis” i naszej niewielkiej drużyny niż atak jakiegoś bezpostaciowego zła. Sprawa była bowiem konkretna, oczywista. Niespodziewanie urwał się kontakt ze ślizgaczem. Wszelkie próby nawiązania z nim łączności zakończyły się niepowodzeniem. Gdzieś wśród tych pustynnych wzgórz, gór i wąskich dolin statek i jego dwuosobowa załoga musieli być w opałach.

Na pokładzie „Lydis” znajdował się tylko jeden pojazd latający, więc nie było mowy o wysłaniu drugiego ślizgacza z ekipą ratunkową. Każda taka wyprawa musiałaby się odbyć drogą lądową, teren zaś był tak niegościnnie, że właściwie to uniemożliwiał. Mogliśmy teraz polegać tylko na zaimprovizowanym nadajniku statku. W celu uzyskania wystarczającej siły sygnału, żeby posłać komunikat poza planetę, Korde musiał się podłączyć do naszych silników. W dodatku okres oczekiwania na odpowiedź po takiej transmisji był denerwująco długi.

Zgodnie ze zwyczajem Kupców, pozostali członkowie załogi zebrali się, żeby porozmawiać o przyszłości, która rysowała się w ponurych barwach, i uzgodnić, co należy zrobić. Wolni Kupcy są przywiązani do swoich statków, nie posiadają ojczyzny z ziemi i skał, wody i powietrza, zżyci są więc ze sobą bardziej niż niejeden klan. Nie do pomyslenia było, aby mogli porzucić dwóch towarzyszy zaginionych gdzieś w nieznanym. Niemniej jednak poszukiwanie ich na piechotę było z góry skazane na niepowodzenie. Szarpiąc się tak w rozterce między dwiema koniecznościami, znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Shallard przyznał, że „Lydis” przypuszczalnie wystartuje z miejsca, w którym się obecnie znajdowała, wątpił jednak, czy zdoła bezpiecznie wylądować. Pomimo grzebania w silnikach nie ustalił jednoznacznie, co uszkodziło systemy zasilania, lecz najważniejsze obwody były przepalone.

I znów, zgodnie ze zwyczajem, każdy wysunął swoją propozycję. Jednak tylko jedna nadawała się do przyjęcia — koniecznie trzeba było uruchomić nadajnik o pozaplanetarnej mocy. Wtedy wtrącił się Lidj.

— Nie wolno zapomnieć, że mogliśmy zostać wciągnięci w pułapkę — ostrzegł nas. — No tak, wiem, że to bardzo mało prawdopodobne, że mieliśmy wylądować na Sekhmet. Z drugiej strony, ile przypadków obrabowania statku w kosmosie rzeczywiście odnotowano? Tego typu opowieści łatwiej znaleźć na taśmach fabularnych, których autorzy nie muszą się

liczyć z technicznymi trudnościami takiego manewru. Możemy chyba założyć, że sabotażu dokonano ze względu na ładunek. W porządku — kto chciałby go dostać? Buntownicy, ten fanatyczny kapłan? A może jakaś nieznana trzecia strona, która liczy na zagarnięcie łupu wartego więcej stellarów, niż moglibyśmy przeliczyć w ciągu roku — jeśli tylko zdoła go skraść i wywieźć!

Z chwilą opuszczenia układu sam fakt posiadania skarbu stworzyłby korzystną sytuację prawną. Tylko tutaj uznaje się roszczenia kapłanów. Słyszeliście o ekspedycji Abny i tej, której kierownikiem był dziesięć lat temu Harre Largo? Przybyli na miejsce, znaleźli skarb i odlecieli. Kapłani omal płuc sobie nie wypłuli, protestując przeciwko obu wyprawom, a jednak przedmioty pochodziły z legalnych odkryć, których dokonali wywożący je ludzie, a nie z kradzieży.

Istnieje także prawo ratunkowe. Zastanówcie się nad tym dobrze. Przypuśćmy, że „Lydis” rozbiła się na tej planecie. Skutkiem tego byłoby zerwanie kontraktu. Taki wypadek stworzyłby zgrabną furtkę, z której łatwo byłoby skorzystać. Każdy, kto znajdzie wrak statku na bezludnej planecie...

— Ten przepis miałby zastosowanie tylko wtedy, gdyby cała załoga zginęła — wtrącił kapitan Foss.

Nie musiał tego podkreślać. Chwilę później dodał: — Możemy chyba uznać, że był to sabotaż. Niewątpliwie logiczna jest też koncepcja trzeciej strony. To by wyjaśniało, co się stało ze ślizgaczem.

Jak już powiedział, wszystko do siebie pasowało. Jednak ja, być może dlatego, że myślałam jak Thassa, nie jak Kupiec, i nie polegałam na maszynach i ich działaniu, nie mogłam się w pełni zgodzić z takim wyjaśnieniem. To, co czułam w pobliżu Tronu Qura, to niepokojące wrażenie znajdowani pod obserwacją, nie miało źródła w codziennych doświadczeniach. W nieokreślony sposób wykazywało dziwne pokrewieństwo z Thassami. Byłam też pewna, że sprawa całkiem inny charakter od tych, którymi zajmują się Kupcy.

Nie dysponowałam jednak żadnymi dowodami, jedynie tym przecuciem, więc nie wygłosiłam swojej opinii. Załoga „Lydis” była przekonana, że znajduje się w stanie oblężenia i powinna czekać, póki nieznany nieprzyjaciel nie zdradzi swoich zamiarów. Poprzez głosowanie postanowiła wszystkie wysiłki skupić na wzywaniu ratunku.

Jednak tylko dwóch członków załogi mogło udzielić fachowej pomocy, jakiej potrzebował Korde. Dla pozostałych kapitan Foss miał inne zadanie. Uznał, że piętrzący się na widoku ładunek należy jak najszybciej ukryć. Roboty transportowe ponownie wyjechały z ładowni, a tymczasem Krip i ja oddaliliśmy się od statku, żeby poszukać dobrej kryjówki.

Teren był bardzo niegościnnie i stwarzał wiele możliwości. Nam jednak zależało na miejscu, które najlepiej spełniałoby wymagania kapitana, a więc na schowku, który można byłoby zamknąć po ukryciu w nim skarbów. Badaliśmy każdą wąską szczelinę, oglądaliśmy uważnie każdy obiecujący otwór, który mógł prowadzić do jaskini lub innej pieczary.

Nie wyczuwałam już żadnego prądu, który biegłby między Tronem i jakimś miejscem poza doliną. W świetle wczesnego ranka ten sprzęt, pokryty warstwą kurzu, która przyćmiewała jego blask, wydawał się tylko martwym przedmiotem. Można by pomyśleć, że to wyobraźnia stworzyła wydarzenia zeszłej nocy, tak jednak nie było. Czyżby energia promieniująca z Tronu była jakimś sygnałem, który powiadomił innych o naszym przybyciu?

Jeśli to prawda, to po nabraniu pewności mogli wyłączyć to, co czyniło z naszego ładunku magnes. Używałam więc podczas marszu swego zmysłu psychopolacji najlepiej jak umiałam, chociaż brak mi było tego, czego najbardziej potrzebowałam, aby prawidłowo odczytywać wiązki myślowe z tak dużej odległości — mojej utraconej różdżki mocy oraz okazji, aby całkowicie się skupić i odciąć psychicznie od otoczenia.

W końcu dotarliśmy do wzniesienia wyższego od pozostałych, które otaczały miejsce lądowania. Słońce świeciło jaśniej, posępne chmury nie były tak ciężkie. Na zboczu góry...

To było jakieś złudzenie optyczne, pogłębione przez ciekłą warstewkę piasku, który wypełniał krzywizny, szczeliny i zagłębienia... Stałam na tylnych łapach, wyginając krótką szyję i tęskniąc za lepszym polem widzenia.

Kurz i światło ujawniły nagle sens linii na skale. Dostrzegłam pewien wzór, zdecydowanie zbyt regularny, żeby mógł powstać wyłącznie na skutek erozji i smagania niesionym przez wiatr piaskiem.

— Krip!

Odebrawszy mój impuls, idący przodem mężczyzna zawrócił.

— Ta ściana... — Zwróciłam jego uwagę na coś, co mi się wydawało tym wyraźniejsze, im dłużej mu się przyglądałam — na ten wzór, tak zatarty przez upływ czasu, że początkowo ledwo widoczny.

— Co z tą ścianą? — Rzucił na nią okiem, lecz jego twarz wyrażała tylko zdumienie.

— Ten rysunek. — Do tego czasu stał się tak widoczny, że nie mogłam pojąć, dlaczego on go nie zauważa. — Patrz... — Tracąc cierpliwość, pokazałam go łapą najlepiej jak umiałam, wysuwając pazury, jakbym mogła sięgnąć tak wysoko i dotknąć samych kresek.

— Tutaj i tutaj... i tutaj — Wodziłam łapą wzdłuż linii w tę i z powrotem. Oczywiście, istniały przerwy, lecz ogólny zarys był wystarczająco ostry, żeby bez trudu zobaczyć całość.

Krip zmrużył oczy, posłusznie śledząc wzrokiem moje gesty. Nagle na jego twarzy pojawił się wyraz podniecenia.

— Tak! — Uniósł rękę i dłonią w rękawicy sam przeciągnął po rysach. — Jest zbyt regularny, aby mógł być dziełem natury. Pomimo to... — Teraz wyczułam w jego myślach cień niepokoju, jakby z tym rysunkiem coś było nie w porządku.

Dopiero kiedy przyjrzałam się rysunkowi nie z bliska, lecz odsunawszy się, żeby objąć całość wzrokiem, stwierdziłam, że to, co w pierwszej chwili wychwyciły moje oczy, nie było abstrakcyjnym wzorem. W rzeczywistości na ścianie urwiska wryto twarz, albo raczej może maskę. I nie była to twarz istoty ludzkiej ani żadnego zwierzęcia, jakie znałam. Kripowi błysnęła jednak tylko jedna myśl: — KOT! Z chwilą, gdy to powiedział, rzeczywiście dostrzegłam pewne podobieństwo między tym wizerunkiem a małym symbolem na starej mapie układu Amen-Re. Istniały jednak także różnice. Tamta głowa była okrąglejsza, znacznie bardziej przywodziła na myśl żywe zwierzę. Ten rysunek był wyraźnie symboliczny i miał kształt trójkąta, którego najostriejszy wierzchołek wskazywał podnóże skały.

W obszarze bliższym szerokiemu końcowi znajdowały się dwie głębokie szczeliny, które biegiły ukośnie na kształt oczu. Głębokie i bardzo ciemne jamy sprawiały niepokojące wrażenie wydrążonych w czaszce. Niżej widniał zarys na wpół otwartego pyska, natomiast ciąg kresek tworzył stojące uszy. Maskę narysowano mało realistycznie, jednak odkąd zwrócono moją uwagę na fakt, że jej pierwowzorem był koci łeb, sama już potrafiłam to dostrzec.

Kiedy widziałam kota na mapie, czułam tylko zaciekawienie, pragnienie ujrzenia jednego z tych zwierząt na własne oczy. Ale ta istota wzbudzała zupełnie inne odczucia.

Teraz ciekawił mnie otwór w jej paszczy. Postanowiłam go zbadać. Wprawdzie był tak mały, że każda istota o ludzkich rozmiarach musiałaby przed wejściem nisko się schylić, ja jednak mogłam to zrobić bez wysiłku. Weszłam do środka, pchana żądzą wiedzy, gdyż tyle pracy włożono w wykonanie tego rytu, że byłam pewna, iż miał jakiś sens.

Zagłębienie było płytkie, długości zaledwie półtora mojego ciała glassi. Uniósłam jedną łapę i próbowałam coś przed sobą wymacać, gdyż było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. W ten sposób dotknęłam gładkiej powierzchni. Moje wysunięte pazury zahaczyły jednak o jakieś wyżłobienia, które badałam tak długo, aż upewniłam się, że są to szczeliny między starannie wpasowanymi blokami.

Kiedy doniosłam o tym Kripowi, domyślałam się już, co prawdopodobnie odkryliśmy przez przypadek. Wprawdzie nic nie było wiadomo o tym, aby na Sekhmet znajdowały się

jakieś skarby (a może nigdy dobrze jej nie przeszukano), mogliśmy mimo to natrafić właśnie na taką skrytkę. Mieliśmy jednak zbyt mało czasu, żeby się o tym przekonać.

Próbowałam wcisnąć czubki pazurów między kamienie, żeby sprawdzić, czy dadzą się poluzować, ale okazało się, że nie jest to możliwe. Kiedy wyczołgałam się na zewnątrz. Krip odłonił nadajnik na nadgarstku i zameldował o naszym odkryciu. Kapitan wykazał pewne zainteresowanie, jednakże polecił nam wrócić do pierwotnego zadania i znaleźć miejsce odpowiednie do schowania ładunku.

— Nie w tej okolicy — pod tym względem Krip zgadzał się ze mną. — Jeśli oni — kimkolwiek są — rzeczywiście przyjdą, nie musimy im objaśniać drogi do tego! — Wskazał rysunek kociego pyska.

Poszliśmy więc w przeciwną stronę, kierując się na północny zachód. Natrafiliśmy wreszcie na rozpadlinę i przy świetle latarki Kripa stwierdziliśmy, że prowadzi do jaskini. Ponieważ nie znaleźliśmy niczego lepszego bliżej miejsca lądowania, zdecydowaliśmy się na nią.

Teren był tak trudny, że przejazd każdego obciążonego robota musiał się odbywać pod ścisłym nadzorem. Foss nie życzył sobie żadnego wyrąbywania ani wygładzania drogi do kryjówki. Tak więc umieszczanie ładunku w rozpadlinie przeciągnęło się prawie do zmroku. Kiedy towar został już upakowany, wzniesiliśmy przegrodę z głazów, umieszczając ją głęboko wewnątrz pierwszej komory, aby kamienie nie rzucały się w oczy.

Potem przynieśliśmy niewielki palnik, jakiego się używa do naprawy statków, i spoiliśmy skały. W ten sposób powstał korek, którego skruszenie będzie kosztowało bardzo wiele czasu i zachodu.

Lidj dokonał ostatniej kontroli. — Lepiej już się nie da. Teraz chodźmy obejrzeć wasze drugie znalezisko.

Zaprowadziliśmy ich do ściany urwiska. Wprawdzie oświetlono je roboczymi reflektorami, trudno jednak było teraz dostrzec linie, które wczesnym rankiem rysowały się wyraźnie. Pomyślałam, że widocznie wiatr zdmuchnął większość pyłu. Z początku Lidj twierdził, że niczego nie widzi. Dopiero kiedy przykucnął, poświecił latarką do wnętrza „paszczy” i znalazł wewnętrzną ścianę, przyznał, że nasze odkrycie nie było wytworem nadmiernie wybujałej wyobraźni.

— Dobra — oznajmił. — Nikt nie ma pojęcia, co znajduje się po drugiej stronie — przysunął latarkę bliżej do ściany. — Teraz na pewno nie będziemy się mogli o tym przekonać. Ale później, kto wie?

Wiedziałam jednak, że pod maską pozornego spokoju ukrywał podniecenie. Takie znalezisko mogło zrekompensować „Lydis” wszelkie straty poniesione podczas tej podróży, a nawet przynieść zysk.

## KRIP VORLUND

— Kto szuka guza, nie musi daleko chodzić. — Lidj siedział wygodnie w fotelu, złożony ręce na brzuchu. Nie patrzył na mnie, lecz na ścianę nad moją głową. U innej osoby taki ton głosu świadczyłby o rezygnacji, lecz Juhel Lidj nie należał do ludzi, którzy w jakiegokolwiek sytuacji rezygnowaliby lub tracili zapał, przynajmniej odkąd się znaliśmy.

— A my szukamy guza? — ośmieliłem się spytać, kiedy niczego więcej nie powiedział.

— Może szukamy, Krip, może szukamy. — Nadal wpatrywał się w ścianę, jakby na jej powierzchni albo przyklejonej do niej kartce nabazgrano wyjaśnienie naszej zagadki. — Nie wierzę w przekleństwa, no chyba, że sam je miotam. Z drugiej strony, nie mogę być pewien, że ten kapłan na Thoth nie wiedział dobrze, co robi. Coś mi się wydaje, że sam maczał w tym palce. Kiedy rozejdzie się wieść o naszym zaginięciu, jego akcje pójną w górę. Skuteczność jego kontaktów z bogiem znajdzie potwierdzenie.

— Polityka świątyni? — Wydawało mi się, że wiem, do czego zmierza. — Sądziś więc, że to już koniec niespodzianek, że na tej planecie nie musimy obawiać się napaści?

Teraz rzucił na mnie okiem. — Nie wkładaj mi w usta słów, których nie powiedziałem. Być może wyciągnąłem tylko kolejny logiczny wniosek. Nie jestem wróżbitą z Manical, żebym miał rysować świętą kredką kreski na dłoni, spuszczać na środek kroplę fioletowego wina i odczytywać wypisany w niej los statku. Moim zdaniem to intryga świątyni. Najważniejsza jednak sprawa to wydostać się z pułapki.

Wróciliśmy tym samym do kwestii, która stale zaprzętała nasze umysły, a mianowicie do ślizgacza, który zniknął, jeśli nie z nieba Sekhmet, to przynajmniej z naszego ekranu. Sądząc po wyglądzie okolicy, była to surowa planeta i po przymusowym lądowaniu Hunold i Sharvan zostaliby postawieni przed trudnym wyborem — jeśli w ogóle jeszcze żyli. Czy wyruszą w dalszą drogę, próbując dotrzeć do radiolatarni, czy może będą usiłować przedrzeć się z powrotem do „Lydis”? Wszystko zależało zapewne od tego, jak oceniali odległości, które ich dzieliły od obu celów.

Kupcy nie opuszczają współtowarzyszy. Lojalność to jedna z naszych wrodzonych cech, obok tęsknoty za kosmosem, niecierpliwości i niepokoju, który nas ogarnia, kiedy zbyt długo przebywamy na jakiejś planecie. Jedyłą rzeczą, jaka kazała nam tkwić w „Lydis” i powstrzymywała od szukania zaginionych towarzyszy, była świadomość, że bez wskazówek sami możemy błąkać się nadaremnie i bez skutku.



— Jeśli da się to zrobić, Korde to zrobi. Na asteroidzie w połowie drogi stąd na Thoth jest stacja Patrolu. Jeśli zdoła wysłać sygnał dość silny, żeby dotarł do niej albo do któregoś z ich statków liniowych, jesteśmy uratowani.

Patrol? Cóż, Patrol jest niezbędny. Nawet w przestrzeni kosmicznej musi istnieć jakieś prawo i porządek. Ich ludzie mają rozkaz śpieszyć z ratunkiem każdemu statkowi w niebezpieczeństwie. Konieczność wezwania ich na pomoc raniła jednak naszą dumę Wolnych Kupców. Za bardzo przywykliśmy do niezależności. Obracałem taśmę z raportem między kciukiem i palcem wskazującym, domyślając się, jak bardzo nasz kapitan musi być tym poirytowany.

— Jedynym pożytkiem — stwierdził Lidj — jest odkrycie, którego dokonała twoja futrzasta przyjaciółka. Jeśli rzeczywiście znaleźliście skrytkę ze skarbami, kapłani nie mogą zgłosić do nich roszczeń. Ale my możemy.

Znów wbił wzrok w ścianę. Nie musiałem czytać w jego myślach, żeby wiedzieć, co mu chodziło po głowie. Takie odkrycie nie tylko przyniosłoby „Lydis” sławę, ale być może awansowałoby nas wszystkich do rangi pracowników kontraktowych, wystarczająco bogatych, żeby pomyśleć o własnych statkach. Tym bardziej, że skarby znaleziono na planecie, na której nie zakazano poszukiwań, mogliśmy dokonać więc dalszych odkryć.

Wiele o tym myślałem, odkąd Maelen zwróciła moją uwagę na ten naskalny rysunek. Przeszukałem też swoje zasoby taśm.

Los Wolnego Kupca zależy od wielu czynników, do których przede wszystkim zalicza się szczęście. Czasami powodziło się nam, czasami mieliśmy pecha. Podstawą sukcesu każdego Kupca jest jednak jego zasób wiadomości. Nie specjalistyczne wykształcenie, jakiego wymaga się od techników, lecz rozległa wiedza, której zakres obejmuje z jednej strony legendy pustynnych nomadów na jednej planecie, a zwyczaję oceanicznych roślin z drugiej. Słuchaliśmy, robiliśmy notatki, mieliśmy otwarte umysły i bardzo pilnie nadstawialiśmy uszu, ilekroć wylądowaliśmy na jakiejś planecie, albo wymienialiśmy wieści z ludźmi naszego pokroju.

— Czy sądzisz, że kiedy Korde skończy pracę nad nadajnikiem, mógłby zbudować coś jeszcze? — Wiedziałem, czego chcę, ale brakowało mi technicznych umiejętności, aby samemu to zrobić.

— Co i w jakim celu?

— Wiertło z peryskopem. — Może nie była to prawidłowa nazwa, ale najlepiej opisywała to, o czym przeczytałem w swoich taśmach. — Takim urządzeniem, wyposażonym w czytnik impulsów, posługiwano się na Sattrze II, gdzie Zakatianie szukali grobowców ludu

Ganqu. Gdybyśmy mieli coś takiego, moglibyśmy sprawdzić, co jest wewnątrz tej góry. Oszczędziłoby to nam kopania w miejscu, gdzie może nie ma niczego godnego uwagi. Tak jak było na Jasonie, gdzie grobowce Trójoków splądrowano wcześniej...

— Masz jakieś informacje o tym urządzeniu?

— Tylko na temat jego działania, ale żadnych danych technicznych — potrząsnąłem głową. — Trzeba by poprosić inżyniera, żeby sam się uporał z tym problemem.

— Może będziemy mogli, jeśli wystarczy czasu. Przynies mi tę taśmę z notatkami.

Kiedy wróciłem po nią do kabiny, Maelen uniosła łeb, który opierała na przednich łapach, i jej złote oczy rozbłyły. Widziałem glassię, lecz kiedy nasze myśli się spotkały, nie ze zwierzęciem dzieliłem tę małą kabinę. W moich myślach zawsze wyglądała tak jak wówczas, gdy ją ujrzałem po raz pierwszy — smukła, w szaro-czerwonym ubraniu i kamizelce z puszystego futra, które mieniło się rudozłotym blaskiem tak jasno, jak ozdoba ze srebra i rubinów na jej czole między wygiętymi ku górze srebrzystymi brwiami, i z uroczyście upiętymi w wysoką koronę włosami, które przytrzymywały szpile o rubinowych główkach. Był to obraz bliski mojemu sercu, gdyż wprawdzie Maelen nigdy nie wyraziła tego słowami, czerpała jednak otuchę ze świadomości, że widziałem w niej Księżycową Śpiewaczkę Thassów, która ocaliła mi życie, gdy ścigano mnie na wzgórzach planety Yiktor.

— Jakież nowiny?

— Jeszcze nie — usiadłem na składanym krześle, które chowano w ścianie, kiedy nie było potrzebne. — Nie potrafisz się z nimi skontaktować?

Niepotrzebnie zapytałem. Gdyby mogła, wiedzielibyśmy o tym. Jej zdolności, tak niewielkie w porównaniu z tymi, jakie kiedyś posiadała, były zawsze na nasze usługi.

— Nie. Mogli odejść za daleko albo moje możliwości są teraz zbyt ograniczone. Twój umysł zaprzęta jednak nie tylko troska o zaginionych towarzyszy.

Stuknąłem jedną okładką taśmy o drugą, szukając tej, na której znajdowały się potrzebne mi notatki. — Maelen, czy można w jakiś sposób przeniknąć myślami górskie zbocze pod tym rysunkiem kociego pyska?

Nie odpowiedziała mi od razu. Musiała się najpierw dobrze zastanowić.

— Przekaz myślowy musi mieć konkretnego odbiorcę. Gdybym wiedziała, że istnieje tam jakaś iskierka życia, mogłabym się na niej skupić. W takiej sytuacji nie. Ale ty wpadłeś na jakiś pomysł? — Szybko to wyczytała z moich myśli.

— Słyszałem kiedyś o wiertle peryskopowym. Mogłoby się nam przydać do ustalenia, czy znaleźliśmy skrytkę ze skarbami, czy nie. Mam, znalazłem. — Włożyłem taśmę do czytnika i przewijałem ją niecierpliwie, szukając stosownego fragmentu.

Maelen też była zainteresowana tym dość nieprecyzyjnym raportem, jaki dostałem od innego Kupca, który zaopatrywał zakatiańską ekspedycję.

— Sprawia wrażenie skomplikowanej — stwierdziła i nie był to pochlebny komentarz. Podłożem jej reakcji mogła być niechęć Thassów do maszyn i konieczności polegania na nich. — Jeśli jednak zadziałała, widzę tu dla niej zastosowanie. Sądzę, że trafnie się domyślasz, że jeśli jest to skrytka ze skarbami, nie będzie jedyną na Sekhmet.

Pamiętasz, jak kiedyś — teraz wydaje mi się, że dawno temu — rozmawialiśmy o skarbach i ty powiedziałeś, że mogą mieć różną postać na różnych planetach, lecz każdy człowiek ma własne o nich wyobrażenie? Potem dodałeś, że dla ciebie rzeczą bezcenną byłby własny statek, że twój lud właśnie to uważa za prawdziwy skarb. Przypuśćmy, że w tej skrytce, albo w następnej, znajdziesz dość, żeby spełnić swoje marzenie. Co zrobiłbyś z takim statkiem — czy podróżowałbyś jak na „Lydis”, szukając zarobku wszędzie, gdzie zagna cię los i interesy?

Miała rację — dla Kupców najcenniejszą rzeczą był statek. Niemniej jednak suma wystarczająca, aby każdy z członków załogi „Lydis” mógł kupić sobie własny frachtowiec, przekraczałyby chyba wartość całego ładunku z Thoth. Poza tym, wszystkimi znaleziskami dzielimy się po równo. Jednak własny statek...

Można snuć marzenia, ale ich realizacja wymaga logicznego myślenia i planowania. Uczyłem się dopiero zawodu magazyniera i doskonale wiedziałem, że nie potrafię jeszcze pełnić obowiązków na najwyższym szczeblu nawet w tej dziedzinie. Nie byłem pilotem, inżynierem, astrogatorem. Co naprawdę bym zrobił, gdybym następnego dnia miał w kieszeni dość, aby kupić sobie wymarzony statek?

Maelen znów odczytała moje myśli.

— Pamiętasz, co powiedziałeś, kiedy zwierzyłam ci się ze swojego kaprysu, że chciałabym zabrać mój mały ludek do gwiazd? Czy za taki skarb kupiłabym ten statek?

Więc nie pożegnała się wciąż z tym marzeniem? Teraz miała chyba jeszcze mniejsze szansę niż ja, aby je spełnić.

— Musiałby to być niewiarygodnie cenny skarb — stwierdziłem trzeźwo.

— Masz rację. Wiele się nauczyłam podczas tych miesięcy podróży. Thassowie znają Yiktor wzdłuż i wszerz, lecz nie mają pojęcia o kosmosie. Poznałam granice, z których istnienia nie zdawałam sobie sprawy, kiedy twierdziłam, że jestem potężną Księżycową Śpiewaczką. Jesteśmy tylko małym ludem wśród bardzo wielu ras i gatunków. Zrozumienie tego faktu jest jednak dobrym początkiem. Idź szukać skarbu tą swoją drażącą maszyną — jeśli zdążysz.

— Lidj uważa... — powtórzyłem jej, co powiedział magazynier. Zanim jednak skończyłem, pokręciła łbem.

— Wniosek jest logiczny. Co jednak powiesz na to — odkąd objęłam pierwszą wartę, wiem, że ktoś nas obserwuje.

— Co takiego? Kto, skąd?

— Nie ostrzegłam was właśnie dlatego, że nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Cokolwiek wzbudza mój niepokój, czyha poza zasięgiem moich zmysłów. Nie potrafię już odczytywać wiązek myślowych z oddali. Starsi bardzo zmniejszyli moją moc, kiedy pozbawili mnie różdżki. Zostało mi jej tylko tyle, żeby móc ostrzegać. To coś jedynie obserwuje; dotychczas nie wykonało żadnego ruchu. Powiedz mi jednak, skąd na ścianie góry wziął się rysunek kota?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła mnie. Nie potrafiłem odpowiedzieć na jej pytanie.

— Właśnie do tego zmierzam — wyczytałem z jej myśli niecierpliwość. — Kot jest starożytnym symbolem Sekhmet, której imię nosi ta planeta. Tak mi powiedziałaś. Jednak to słońce i towarzyszące mu planety nazwał zwiadowca z twojej rasy, który wylądował tu w celach badawczych. Symbol kota pochodzi więc z innej planety.

Mimo to znajdujemy ten znak albo inny, tak do niego podobny, że kiedy tylko go zobaczyłeś, od razu zawołałeś „kot” — na powierzchni czegoś, czego nie zostawili osadnicy z twojej rasy. Dlaczego ci nieznani i zapomniani poprzedni mieszkańcy użyli wizerunku kociej głowy?

Nie pomyślałem o tym wcześniej.

— Musieli go zostawić pierwsi koloniści. Może próbowali zasiedlić Sekhmet przed innymi planetami.

— Nie sądzę. Wydaje mi się, że rysunek jest na to stanowczo zbyt stary. Od ilu lat ludzie zamieszkują ten układ? Masz na ten temat jakieś informacje?

— Nie wiem. Jeśli przybyli z pierwszą falą, przypuszczalnie od tysiąca, może trochę mniej.

— Moim zdaniem ten ryt jest dwukrotnie, nawet trzykrotnie starszy. Wiele czasu musi upłynąć, zanim erozja wyłobi tak głębokie rysy w kamieniu. Tak jest u nas na Yiktor. Pozostałe skarby nie są dziełem osadników; znaleźli je pierwsi ludzie, którzy tam wylądowali. Niemniej jednak zastajemy tu wizerunek kociej głowy! Kim byli i z jak dawnych czasów wywodzili się bogowie, których imiona nadano temu układowi, na przykład ta kociogłowa Sekhmet?

— Pochodzili z Terry i nawet tam uważano ich za bardzo starych. A mieszkańcy Terry wyruszyli w kosmos tysiące lat temu — potrząsnąłem głową. — Wiele faktów zostało pogrzebanych pod zwałami lat. Terra znajduje się po drugiej stronie galaktyki. Kiedy oddawano cześć tym bogom i boginiom, jej mieszkańcy nie znali podróży kosmicznych.

— Może wasz gatunek nie opuszczał macierzystej planety, ale czy na pewno nikt go nie odwiedzał? Rasy Pionierów — ile takich cywilizacji powstało i upadło?

— Nikt tego nie wie, nawet Zakatianie, którzy z badań historycznych uczynili swoją największą naukę i sztukę. W dzisiejszych czasach nawet Terra jest w połowie legendą. Nie spotkałem jeszcze kosmicznego podróżnika, który rzeczywiście tam był, ani nikogo, kto mógłby się poszczycić bezpośrednim pochodzeniem od jej ludu. Baśnie, legendy; w ich jądrze zawsze tkwi małe ziarnko prawdy. Może tam...

Odbiornik nad moją głową zatrzeszczał i usłyszałem komunikat Fossa.

— Możemy już transmitować. Wysyłamy sygnał poza planetę.

Kto jednak mógł przewidzieć, czy to nam pomoże? Zabrałem taśmę i poszedłem do Lidja, puściłem stosowny fragment najpierw jemu, potem Shallardowi. Inżynier najwyraźniej nie miał wielkiej nadziei, że jemu i Korde'owi uda się zbudować takie urządzenie, ale w końcu poszedł pogrzebać w swoich materiałach.

Oczekiwanie bywa bardzo nużące. Wyzaczyliśmy warty, z których wyłączony był Korde, stale na służbie przy komunikatorze, oraz Shallard. Maelen i ja pełniliśmy razem wachtę. Patrolowaliśmy tylko dolinę, w której wylądowała „Lydis”, nie zapuszczając się poza jej obszar, chociaż mieliśmy ogromną ochotę zbadać okolicę, gdzie odkryliśmy wizerunek kota albo poszukać innych śladów, które wskazywałyby na to, że dawno temu przebywali tam ludzie lub inne rozumne istoty.

Nikogo nie zobaczyliśmy i nie usłyszeliśmy niczego; Maelen nie odbierała też żadnych fal myślowych, które sugerowałyby, że nie jest to wyłącznie bezludna połać niegościnniej ziemi. Cały czas twierdziła jednak, że wyczuwa jakiś wpływ, który ją intrygował, i najwyraźniej (choć do tego się nie przyznała) również niepokoił.

Maelen zawsze była dla mnie wielką tajemnicą. Początkowo dzieliła nas bariera jej obcości, przepaść, która pogłębiła się, kiedy użyła swej mocy, żeby ocalić mi życie w jedyny możliwy sposób — zmieniając człowieka w bestię. Albo może raczej przenosząc istotę jaźni Kripa Vorlunda z jednego ciała do drugiego. To nie jej wina, że ludzka postać zginęła, chociaż wtedy strata wydawała mi się niepowetowana.

Żyłem w ciele Thassy, chociaż Thassem nie byłem. Być może ta zewnętrzna postać zbliżała mnie duchem do Księżycowej Śpiewaczki, Władczyni Maleństw, którą kiedyś

znałem. Czasami celowo próbowałem wykorzystać nikłe ślady, jakie Thassa mógł zostawić w moim ciele, żeby lepiej zrozumieć Maelen.

W przeciągu niecałego planetarnego roku żyłem w trzech postaciach — człowieka, zwierzęcia i Thassy. Na dnie mojego umysłu wiecznie czyhała też myśl, że każde z nich stanowiło część mojej jaźni. Maquad, którego ciało w końcu stało się moją własnością, od dawna nie żył. Jako Thassa odbywający nauki przybrał postać zwierzęcia i w tym ciele zginął z ręki nieświadomego łowcy z nizin, który kłusował na zabronionym terenie. W jego humanoidalnym ciele duch zwierzęcia po jakimś czasie oszalał, niezdolny się przystosować, została więc tylko żyjąca skorupa. Nie wygnałem nikogo, kiedy ją sobie przywłaszczyłem.

Ciało, które należało kiedyś do Maelen, umarło. Ona sama przeżyła tylko dzięki temu, że Vors, jedna z jej Maleństw, udzieliła jej duszy schronienia. Starsi skazali ją na życie w ciele Vors przez okres, którego długość wyczytali z gwiazd na niebie Yiktor. Kiedy jednak minie ten czas, gdzie Maelen znajdzie nowe ciało?

Od czasu do czasu nękało mnie to pytanie, chociaż starałem się to przed nią ukryć, tknięty dziwnym przeczuciem, że snucie takich domysłów może być zakazane lub nietaktem byłoby o nich wspominać, dopóki ona sama nie wyjaśni wątpliwości. Nigdy jednak tego nie zrobiła. Chciałem bliżej poznać Thassów, lecz od pewnych aspektów ich życia wciąż odgradzała mnie bariera, której nie miałem śmiałości zburzyć.

Staliśmy teraz razem wczesnym rankiem na szczycie wzniesienia, które stanowiło cześć obrzeża doliny. Maelen obróciła się tyłem do wąwozu, zwracając głowę w kierunku, jaki wziął ślizgacz, kiedy odlatywał w nieznaną. Wiatr rozwiewał jej futro i smagał moją ciepłą kurtkę.

— Tam... ono czeka — usłyszałem jej myśl.

— Co czeka?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że czeka i obserwuje... wiecznie. A może śni?

— Śni? — To słowo mnie zaskoczyło. Chociaż ze wszystkich sił starałem się wykryć swymi zdolnościami telepatycznymi tę emanację, która dla Maelen była tak wyraźna, dotychczas jej nie poczułem.

— Tak, śni. Istnieją prawdziwe sny, które mogą być prorocze. Chyba wiesz o tym — znów była zniecierpliwiona. — Ja z pewnością śniłam. Nie potrafię sobie jednak przypomnieć istoty tego sennego marzenia, jedynie strzępki światła, koloru albo uczucia.

— Uczucia? — starałem się zachęcić ją do dalszych zwierzeń.

— Oczekiwania! Właśnie to czułam! — Jej myśli zabarwił triumf, kiedy rozwiązała problem. — Czekałam na coś w pobliżu mnie, na coś tak ważnego, że od tego zależało moje

życie. Oczekiwanie! — Powtarzała ostatnie słowo, jakby było częścią jakiegoś ważnego zaklęcia.

— Ale reszta...

— Miejsce obce, a jednak znajome... znałam je i jednocześnie nie znałam. Krip — odwróciła raptownie głowę — czy kiedy biegałeś jako barsk Jorth, nie obawiałeś się, że bestia może wziąć górę nad człowiekiem?

Wreszcie poznałem jej lęk. Klęknąłem na jedno kolano i objąłem ramionami jej futrzaste ciało, przyciskając je do piersi. Nie przypuszczałem, że dręczy ją taki strach, gdyż wiedziałem, że zamiana ciał jest nieodłączną częścią życia Thassów. Być może jednak nie chroniły jej już zabezpieczenia, jakie stosowano na Yiktor.

— Myślisz, że ciebie może to dotyczyć?

Była bardzo blisko mnie, bierna w moich objęciach, lecz mimo to myślami wciąż trzymała się na dystans. Być może już żałowała, że szukała nawet tej odrobiny ukojenia.

— Sama nie wiem, nie mam już pewności — wyznała z bólem serca. — Próbuję, och, jak bardzo próbuję być Maelen. Jeśli jednak zmienię się całkowicie w Vors...

— Wtedy ja będę pamiętał Maelen za nas oboje! — obiecałem jej z całego serca. Była to zresztą szczerą prawdą. Choćby przeistoczyła się w zwierzę, ja zawsze starałbym się widzieć nie futro, lecz jędrne, białe ciało, srebrzyste włosy i humanoidalną twarz o ciemnych oczach, wdzięk, dumę i urodę Księżycowej Śpiewaczki. — Nie pozwolę zapomnieć również tobie, Maelen. Nigdy nie pozwolę ci zapomnieć!

— Wciąż jednak myślę o zawodności pamięci... — Gdyby myśl mogła być szeptem, jej brzmiałaby równie cicho.

Zabrzączał komunikator na moim nadgarstku. Zdjąłem rękawicę, żeby posłuchać terkotania kodu. Los nam sprzyjał. Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewaliśmy się, że odpowiedź na nasz sygnał nadejdzie tak szybko. Nadlatywał zwiadowczy statek Patrolu i wszystkich wzywano do powrotu na „Lydis”.

Statek wylądował w nocy, rozświetlając ogniem wstecznych rakiet pobliską dolinę. Jego załoga nie będzie próbowała dotrzeć do nas przed świtem, lecz tymczasem przesłaliśmy im pełne sprawozdanie z wydarzeń, które zaszły, odkąd odlecieliśmy z Thoth. Pominęliśmy tylko jedną kwestię — odkrycie rysunku kota na ścianie urwiska.

Przedstawiciele patrolu z kolei mieli wiadomości ważne dla nas. Powstanie wybuchło w Kartumie ze zdwojoną siłą, podsycone rozłamem w partii lojalistów, do którego doszło wskutek rzucenia klątwy na nasz statek. Kiedy jeden kapłan wystąpił przeciwko drugiemu, co naruszyło spójność kasty rządzącej, buntownicy bez trudu wkradli się w jej szeregi i odnieśli

zwycięstwo. Ludzie, z którymi podpisaliśmy kontrakt, już nie żyli. Rebelianci domagali się zwrotu skarbu. Krążyła też wieść, że od samego początku zamierzaliśmy go zagarnąć dla siebie i uciec. Po wysłuchaniu tej wiadomości Foss oznajmił:

— Wygląda na to, że mamy następny kłopot. Może ukrywając ładunek postąpiliśmy lepiej, niż nam się wydawało. Nie ruszajmy go z miejsca, dopóki nie uda nam się ustalić, kto jest teraz jego prawnym właścicielem.

— Umowa wciąż nakazuje nam dostarczyć go na Ptah — zauważył Lidj. — Ukryliśmy skarb tylko z obawy przed tajemniczymi mocami, jaki przypuszczalnie wywiera.

— Zlecenie otrzymaliśmy od ludzi, którzy już nie żyją. Zanim polecimy na Ptah, chcę wiedzieć, jak wygląda sytuacja — czy tam też przejęli władzę buntownicy. Zmarli są właścicielami jedynie własnych grobów. Jeśli zmienił się rząd, ktoś inny może zgłosić roszczenia do naszego ładunku. Kupiec, który utknie na obcej planecie z towarem niejasnego pochodzenia, może wypaść z interesu — być może na dobre. Dopóki nie będziemy pewni, kto jest jego obecnym właścicielem, nie możemy się narażać na to, aby nas oskarżono — co najwyraźniej już się stało — o chęć zagarnięcia go dla siebie. Natychmiast przekażę Patrolowi drugą kopię taśm z kontraktem. To nas ochroni przez jakiś czas. Nie będziemy jednak ruszać skrytki, dopóki nie skontaktujemy się ze świątynią na Ptah.

— Co z zapłatą? — spytał Lidj. — Zgodnie z umową, mieliśmy otrzymać wynagrodzenie dopiero po wylądowaniu na Ptah. Nie wolno nam go pobrać przed dostarczeniem towaru. Z drugiej strony, nie stać nas na jałowy bieg w sytuacji, kiedy nie zapłaciliśmy za naprawy. W Kartumie wyrzuciliśmy ładunek, żeby zabrać skarb.

— Skarga na ingerencję, przynajmniej, żeby pokryć koszty napraw? — ośmieliłem się zaproponować. — Możemy udowodnić, że sprowadziło nas tutaj to pudełko i kapłan. To chyba dobra podstawa roszczeń...

— Niezła — przyznał Lidj. — Zważywszy jednak na zawilóści gwieźdznego prawa, spór może się ciągnąć latami. Jeśli otrzymamy wynagrodzenie po jego zakończeniu, będzie już za późno. Zanim kosmicznym prawnikom znudzi się mleć ozorami w tej sprawie, możemy być już bankrutami albo nieboszczykami. Potrzebujemy tych pieniędzy teraz. Prawdę mówiąc, musimy je dostać, jeśli mamy nadal latać!

Z drugiej strony, nie możemy się narażać na zarzut grabieży. W obecnej sytuacji powinniśmy tylko złożyć oficjalną skargę na ingerencję, wysłać taśmy i zażądać od Patrolu zbadania sytuacji na Ptah. Jeśli doniosą, że wszystko wygląda normalnie, czy będziecie gotowi na ryzyko dostarczenia towaru na miejsce?



Zgodziliśmy się. Trochę mnie zdziwił fakt, że Foss wyraźnie ociągał się z powzięciem decyzji bez uroczystej i potwierdzonej podpisami zgody załogi. Handlarze zawsze zachowują ostrożność, do pewnego stopnia. Jednakże Wolni Kupcy, zwłaszcza na statku klasy D, jakim była „Lydis”, nie mają zwyczaju długo się zastanawiać. Jesteśmy bractwem poszukiwaczy, gotowych podejmować ryzyko, żeby pracować wśród ludzi swojego pokroju. Czyżby Foss podejrzewał coś, o czym reszta z nas nie miała pojęcia? Już sam fakt, że zasugerował, aby statek nie ruszał w dalszą drogę po dokonaniu niezbędnych napraw, wydawał się podejrzany. Kiedy jednak zostaliśmy sami z Lidjem, robiąc kopie wszystkich materiałów dotyczących kontraktu, magazynier tego nie skomentował. Skoro on milczał, ja też się nie odezwałem.

Taśma była gotowa o świcie, kiedy ślizgacz Patrolu przeleciał nad pasmem gór tworzących ścianę wąwozu i wylądował obok „Lydis”, wzniesając kłęby szarego pyłu. Dwóm mężczyznom, którzy wyszli z małego pojazdu, najwyraźniej nie spieszyło się, by podejść do Fossa stojącego u stóp opuszczonego trapu. Jeden z nich ukląkł na piasku i ustawiał jakiś przyrząd, drugi uważnie go obserwował. Wydawali się przeprowadzać jakieś pomiary eksploracyjne.

## KRIP YORLUND

Przedstawiciele władzy z reguły wprawiają w pewien niepokój nawet obywatela o czystym sumieniu. Tak też i my się czuliśmy, stojąc przed przedstawicielami Patrolu. Jako praworzadni i nikomu nie wadzący kosmiczni handlarze, którzy regularnie płacili podatki od lądowania na planetach i mieli wszystkie papiery w porządku, mieliśmy wszelkie prawo wezwać ich na pomoc. Oni jednak przyglądali się nam z obojętnością, która świadczyła o tym, że są ludźmi, którym wszystko trzeba dwukrotnie udowadniać.

Kiedy przyznali, że ich przyrzędy zarejestrowały emisję nieznanego dotychczas promieniowania, ostrożnie odkopaliśmy pudełko wyjęte z Tronu Qura. Chętnie przekazaliśmy je w ręce Patrolu, wraz ze zwłokami kapłana, które trzymaliśmy w chłodni. Każdy z nas złożył też zeznania na taśmie prawdy, odpornej na manipulacje.

Na szczęście nie zadali wszystkich pytań, jakie mogli zadać. Odkrycie rysunku głowy kota na skale pozostało tajemnicą, chociaż powiedzieliśmy im o skrytce z ładunkiem. Lidj, uzbrojony w wiedzę o wszelkich precedensach kosmicznego prawa, wyjaśnił, że po dokonaniu napraw zamierzamy dokończyć rejs i dostarczyć skarb do świątyni na Ptaħ, pod warunkiem, że kapłani, którzy byli oficjalnymi jego odbiorcami, nadal są przy władzy.

— Nie mamy wiadomości z Ptaħ — pilot statku zwiadowczego przejawiał tak małe zainteresowanie pytaniem ukrytym w wypowiedzi Fossa, że nie ulegało wątpliwości, iż nasz dylemat niewiele go obchodził. — Ach, tak, naprawy.

Nasz inżynier rozmawiał z waszym człowiekiem. Do raportu potrzebujemy taśm wideo dokumentujących uszkodzenia. Możemy podwieźć pana i pańskiego inżyniera do naszej bazy kosmicznej, gdzie złożycie podanie o potrzebny wam sprzęt na mocy kontraktu z Ligą.

Sugestia, aby zwrócić się o pomoc do Ligi, była co najmniej niepokojąca, aczkolwiek w tej sytuacji nie mieliśmy innego wyjścia. Z chwilą złożenia takiej prośby będziemy odpowiadać nie przed Patrolem, ale przed naszymi ludźmi. Niespłacenie długu w wyznaczonym terminie groziło wzięciem „Lydis” w zastaw. Popyt na statki był tak wielki (ludzie latami czekali na uśmiech losu, który pozwoliłby im zrobić pierwszy krok na drodze do kosmosu), że listy zastawne bardzo ciążyły tym, którzy zmuszeni byli je przyjąć. Mogły oznaczać utratę statku. Tak więc jedynym sposobem na to, abyśmy wyszli na swoje, było dostarczenie towaru na Ptaħ w nadziei, że otrzymamy zapłatę. To — albo nikła szansa, że za ścianą z rysunkiem kociej głowy kryje się coś, dla czego opłacałoby się wdzierać do środka.

Nie mieliśmy teraz czasu, żeby zbudować sondę, ani też nie mogliśmy tego zrobić bez ujawnienia powodu.

W końcu ustalono, że Foss i Shallard polecą statkiem zwiadowczym. Uzbrojona grupa ludzi z Patrolu i ślizgacz miała jednak zostać na Sekhmet, obarczona w pierwszym rzędzie zadaniem odszukania naszych zaginionych ludzi.

Ponieważ ślizgacz Patrolu był ciężkim pojazdem, uzbrojonym i wyposażonym w każdy znany system ochronny, miał większe szansę w poszukiwaniach. Mógł zabrać na pokład pilota, dwóch strzelców obsługujących paralizatory i jeszcze dwóch pasażerów. Tym razem obyło się bez losowania. Przed odlotem na statek zwiadowczy Foss zwrócił się bezpośrednio do mnie:

— Polecisz z Maelen. Przy jej zdolnościach telepatycznych i twoich interpretacyjnych...

Oczywiście miał rację, chociaż dowódca Patrolu z jawnym niedowierzaniem odniósł się do jego wyboru. Wprawdzie nie ujawniłem przeszłości Maelen, niemniej jednak jasno wyłożyłem, że ma zdolności telepatyczne i będzie naszą przewodniczką. Ponieważ nikt nie może wiedzieć wszystkiego o odmiennych niż ludzie istotach, uwierzył w moje zapewnienia o jej wartości.

Przez cały dzień po tym, jak kapitan Foss i Shallard odlecieli na pokładzie statku zwiadowczego, nad „Lydis” przetaczała się burza, wzbijając z dna doliny kłęby lotnego pyłu, który wisiał w powietrzu jak nieprzenikniona mgła. Kurzawa uwięziła nas w statku wraz z załogą Patrolu. Nie było mowy, żeby wyruszyć w takiej ciemności, skoro mieliśmy lecieć nie w kierunku znanego sygnału, lecz przemierzać nieznany obszar.

Drugiego ranka wiatr ucichł. Wprawdzie sypki, szary piasek piętrzył się wysoko wokół stateczników statku i do połowy przysypał ślizgacz, dobrze zakotwiczony pod osłoną „Lydis”, mogliśmy jednak ruszyć w drogę. Kiedy lecieliśmy nad ostrymi jak noże pasmami gór, skłębione chmury na niebie co jakiś czas się rozpraszały, chociaż słońce, które się zza nich wyłaniało, było blade i zdawało się nie dawać ciepła. Jego blask podkreślał raczej posępność krajobrazu pod nami, zamiast ją rozpraszać.

Pilot leciał z najmniejszą możliwą szybkością, szukając na ekranach przyrządów śladów promieniowania, które mogły wyglądać obiecująco. Maelen siedziała obok mnie w ciasnej kabinie pojazdu. Normalnie rzadko zwracałem uwagę na jej obecny wygląd, lecz kiedy ludzie z Patrolu spoglądali na nią jak na jakiś dziwaczny sprzęt, wyraźniej uświadamiałem sobie Takt, że miała futro, cztery nogi i postać glassi. A ponieważ kiedyś usłyszałem jej lament, którym zdradziła się ze swych obaw, że z czasem może się za bardzo

pogrążyć w zwierzęcości, żeby mieć pewność, czy jeszcze jest Thassą, jej niepokój wyraźniej rzucał mi się w oczy. Sam przeżyłem chwile, gdy bestia brała górę nad człowiekiem. A gdybym to ja zapomniał, kim jestem?

Maelen była silniejsza, lepiej ode mnie przygotowana do okiełznania cielesnej powłoki, którą nosiła, gdyż lepiej znała związane z tym niebezpieczeństwa. Jeśli jednak nawet ona traciła pewność siebie...

Maelen drgnęła, mięśnie pod jej miękkim futrem poruszyły się wdzięcznie i płynnie. Odwróciła głowę szybkim ruchem.

— Czujesz coś? — spytałem.

— Nie to, czego teraz szukam. Jednak tam w dole jest coś jeszcze oprócz piasku i kamieni.

Nachyliłem się, żeby wyjrzeć przez okno. Mój wzrok wychwytywał tylko skały, które na skutek wietrzenia przybrały tak poskręcane i fantastyczne kształty, że nie wiadomo było, co mogło się wśród nich kryć.

— Wewnątrz — poinformowała mnie. — Już je minęliśmy. Może to kolejna skrytka...

Starałem się zapamiętać jakieś charakterystyczne cechy krajobrazu, chociaż kiedy widzi się z powietrza, wyglądają całkiem inaczej niż kiedy się stoi na ziemi. Jeśli Maelen miała rację, a dokładność jej raportów wskazywała, że można na niej polegać, może faktycznie natknęliśmy się na coś, co umożliwi nam spłatę wszelkich długów, w jakie możemy wpaść przez te kłopoty. Drugi skarbiec! Czyżby Sekhmet okazała się tak obfita w skarby jak Thoth — a może jeszcze bardziej?

Mimo to Maelen nie zameldowała o niczym więcej, kiedy lecieliśmy zygzakiem, krążąc w tę i z powrotem nad skalistym rejonem. Teren nie sprzyjał obserwacji wzrokowej. Zbyt wiele było tu głębokich, wąskich wąwozów, które mogły pochłonąć stojący na ziemi lub roztrzaskany ślizgacz, uniemożliwiając zobaczenie go nawet z powietrza. A my znaleźliśmy tylko jego przybliżony kurs.

Lataliśmy w tę i wewtę, aż wszystkie skały upodobniły się do siebie, chociaż istotnie przelecieliśmy nad kilkoma rozleglejszymi dolinami, które porastały kępy skarłowaciałej roślinności. W jednej z nich znajdowała się niecka wypełniona wodą, niewielki, ciemny staw okolony szerokim, żółto-białym pasem, który mógł być trującym osadem chemicznym. Maelen znów zmieniła pozycję i przycisnęła się mocniej do mnie, wyciągając głowę w stronę okna.

— Co teraz?

— Życie... — zasygnalizowała.

W tej samej chwili nasz pilot nachylił się w przód, żeby spojrzeć z bliska na jeden z rozlicznych wskaźników przed sobą.

— Mamy odczyt, słabe promieniowanie — zameldował. Znajdowaliśmy się już na niewysokim pułapie, lecz pilot obniżył jeszcze lot, jednocześnie redukując prędkość do tego stopnia, że prawie zawisliśmy nad powierzchnią planety, dzięki czemu mogliśmy bacznie śledzić widok za oknem. Lecieliśmy nad jednym z wąwozów, który miał w przybliżeniu kształt półksiężyca. W górnym jego końcu rosły pierwsze drzewa (jeśli można było nazwać je drzewami), jakie widziałem na Sekhmet. W każdym razie były roślinami o bardzo ciemnych liściach, które wyraźnie wznosiły się ponad poziom krzewów. Resztę terenu porastała tylko szara, twarda trawa.

— Tam!

Ślizgacza nie trzeba było nikomu pokazywać, gdyż rzucał się w oczy jakby pomalowano go na szkarłatny kolor. Stał w trawie, która rosła na wysokość jego włazu. Wokół nie było jednak żywej duszy.

Pilot wzywał załogę przez komunikator, czekając na odpowiedź. Na razie nie próbował lądować. Nie dziwiła mnie jego ostrożność. Straszliwa cisza doliny i pozornie przynajmniej opuszczony pojazd, tak bardzo widoczny, przejęły mnie dreszczem.

— Odbierasz ich? — spytałem Maelen.

— Tutaj nikogo nie ma. — Tym samym zdawała się przeczyć swojemu poprzedniemu raportowi.

— Powiedziałaś przecież...

— To nie oni. Coś innego... — jej przekaz myślowy ucichł, jakby czuła się zakłopotana, niezdolna wyraźnie odczuwać.

Moje obawy, które zapoczątkował widok zaparkowanego ślizgacza, pogłębiły się wskutek podejrzenia, że być może właśnie tego dotyczyły niejasne aluzje Maelen, mianowicie tego, że nie może już polegać na swoich zdolnościach.

— Szperacz niczego nie odbiera — zameldował pilot. — Nie wyłapałem żadnego sygnału identyfikacyjnego. Wszystkie testy wskazują, że na pokładzie nie ma nikogo.

— Istnieje tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać — rzucił człowiek z Patrołu stojący przy działku na lewej burcie. — Wylądujmy i sprawdźmy sami.

— Nie podoba mi się to. Wygląda to prawie tak, jakby ślizgacz postawiono tu specjalnie, żeby kogoś zwabić. — Pilot nie położył jeszcze dłoni na sterach. — Przynęta...

Trzeba było wziąć pod uwagę taką ewentualność. Tylko kto mógłby to zrobić? Zastawienie pułapki na statek z tak widocznym emblematem Patrolu wiązałoby się z wielkim ryzykiem. Nie myliłem się, ufając umiejętnościom Patrolu, gdyż w końcu wylądowaliśmy. Obaj strzelcy zostali jednak na swoich posterunkach, kiedy nasz pojazd zgniótł wysoką trawę w pobliżu drugiego ślizgacza.

Trawa nie tylko sięgała prawie do piersi, ale była twarda, ostra i kaleczyła ręce, kiedy zginaliśmy jej źdźbła. Naprowadziła nas jednakże na trop tego, co mogło się stać z ludźmi, których szukaliśmy. W ślizgaczu nie było żadnych pasażerów. Co więcej, w środku nadal leżały plecaki, jakby Hunold i Shawan nie zamierzali opuszczać pojazdu na długo.

Od obszaru zdeptanej i zgniecionej trawy tuż przy włączu ślad prowadził prosto do kępy drzew. Ścieżka była głęboko zryta, jakby transportowano nią ciężki ładunek. Jednakże tu i tam wytrzymałszy kępi łądyżek i liści już się podnosiły.

Dokładnie przeszukałem ślizgacz i odtworzyłem taśmę z dziennikiem pokładowym. W ostatnim nagraniu powtarzał się jednak tylko opis tego, co sami widzieliśmy w trakcie porannego lotu nad skalistym terenem. Potem zapis urywał się w pół słowa, a reszta taśmy była tak czysta, jakby ją wykasowano. W żaden sposób nie potrafiłem tego wytłumaczyć. Cokolwiek skłoniło ich do lądowania w tej okolicy, pozostawało tajemnicą. Pomimo to wszystkie przyrządy działały. Włączyłem silniki na pełną moc i na próbę wzniosłem się na dużą wysokość, następnie wróciłem na ląd. To nie awaria pojazdu zmusiła załogę do lądowania.

Kiedy przeprowadzałem badania, jeden ze strzelców Patrolu i pilot, Harkon, poszli ścieżką w stronę drzew. Maelen została przy ślizgaczu, leżąc na skraju powoli wznoszącej się trawy. Kiedy przekroczyłem próg włączu, miałem do niej tylko jedno pytanie.

— Jak dawno?

Powąchała ziemię na zdeptanym obszarze, posługując się zmysłami glassi.

— Ponad dzień temu. Może wtedy, gdy zaginęli. Nie mogę mieć pewności. Krip... czuję dziwny zapach... człowieka. Chodź...

Ruchem głowy poleciła mi, żebym stanął z boku, i wysuniętymi pazurami przedniej łapy rozchyliła wysoką trawę. Kępa nie ustępowała łatwo, więc pomogłem jej dłońmi w rękawicach. Wtedy odkryłem, że z roślinności spleciono parawan, który przesłaniał teren oczyszczony do gołej ziemi. Na glebie odcisnął się kwadratowy ślad, który mogła zostawić ciężka skrzynia.

Badałem to wgłębienie na klęczkach, kiedy zjawili się ludzie z Patrolu. Harkon podszedł do mnie. Wyjął mały czujnik, z którego wydobył się znaczący terkot.

— Słabe promieniowanie szczątkowe. Mogło zostać po czymś w rodzaju wiązki transmisyjnej — stwierdził. Potem przyjrzał się zasłonie splecionej z trawy. — Świetna kryjówka, z góry właściwie niemożliwa do zauważenia. Napastnicy mogli nawet spowodować awarię silnika i jednocześnie zagłuszyć sygnał wezwania pomocy...

— Ale po co?

— Sabotaż już zgłosiliście. Cóż, gdyby wasi ludzie dotarli do stacji, przypuszczalnie popsuliby komuś szyki. Tylko przez przypadek odebraliśmy z kosmosu wasz sygnał, w rzeczywistości mieliście na to jedną szansę na pięćset. Ci, którzy się tu ukrywają, nie mogli tego przewidzieć. Ani nawet tego, że wasz łącznościowiec będzie miał dość wiedzy i sprzętu, żeby tego spróbować. Jeśli mają powód, żeby was zatrzymać, pierwszym krokiem byłoby odcięcie was od stacji przekaźnikowej. Niewątpliwie są przekonani, że odbierając wam ślizgacz, osiągnęli swój cel. Natomiast kim są ci „oni”... — wzruszył ramionami. — Powinieneś sam mieć jakieś podejrzenia.

— Poza złodziejami, którzy zdobyli tajne informacje o naszym ładunku, nikt mi nie przychodzi do głowy. Co z Sharvanem i Hunoldem?

Adresowałem to pytanie w równym stopniu do Maelen, co do Harkona, i sądziłem, że jej odpowiedź będzie bardziej godna zaufania.

— Żyli, kiedy opuszczali to miejsce — odparła.

— Nie próbowano zatrzeć śladów. Napastnicy chyba nie przypuszczali, że ktokolwiek wkrótce pójdzie ich tropem — stwierdził Harkon, kiedy przekazałem mu jej sprawozdanie.

— Pociesz się tym — dodał — że lojalność Wolnych Kupców wobec towarzyszy jest powszechnie znana. Bandyci mogli oszczędzić życie waszych ludzi, żeby domagać się okupu.

— Wymiana — pokiwałem głową. — Nie otrzymaliśmy jednak żadnych propozycji — niczego. Nikt, kogo moglibyśmy wykryć, nie zbliżył się do „Lydis”.

— Co nie oznacza, że prędzej czy później nie zjawią się z żądaniem okupu.

Wstałem, otrzepując źdźbła zeschniętej trawy z kombinezonu. — Może nie teraz, kiedy zobaczyli lądowanie waszego statku.

Złodzieje jednak nie są płochliwi, kiedy w grę wchodzi łup tak bogaty jak ładunek „Lydis”. Statek Patrolu był pojazdem zwiadowczym i odleciał ponownie w kosmos. Trzech ludzi z Patrolu w uzbrojonym ślizgaczu i zredukowana załoga „Lydis”... Właśnie taki moment wybrałby nieprzyjaciel, żeby przejść do działania, jeśli faktycznie nas obserwował. Powiedziałem o tym Harkonowi.

— Tak czy inaczej, pójdziemy tą ścieżką do lasu — odpowiedział pilot. — Jeśli dalej niczego nie ma — wzruszył ramionami — nie będziemy mogli zrobić nic innego, niż zaczekać na wsparcie. We trzech nie poradzimy sobie z bandą rabusiów.

Zauważyłem, że najwyraźniej nie uważał Wolnych Kupców za członków swojego oddziału bojowego. Może Patrol nie brał jednak pod uwagę nikogo spoza swego ścisłego grona. Kolejny fakt, który nie przydawał im popularności.

Zostawiliśmy jednego strzelca na warcie i po raz wtóry ruszyliśmy w drogę ścieżką wydeptaną w trawie. Maelen szła ze mną, Harkon na przedzie, jego towarzysz zamykał pochód. Po dotarciu do lasu stwierdziliśmy, że tamtejsze rośliny rzeczywiście można było nazwać drzewami, aczkolwiek pozbawionymi wszelkiego wdzięku, gdyż ich konary wiły się i splatały, jakby były niegdyś giętkimi mackami, które rozpostarły się w rozpaczliwej chęci pochwylenia czegoś i tak już zastygły w niezgrabnych pozach. Liście były bardzo ciemne, mięsiste i skąpo porastały gałęzie. Mimo to tworzyły szczelne sklepienie zatrzymujące blade światło słoneczne, tak że droga prowadziła przez tunel, w którym panował głęboki mrok.

Ścieżka, którą podążaliśmy, nie wchodziła jednakże do niego. Skręcała w lewo i biegła skrajem zarośli. Nie rosło tam wiele trawy; na szarej glebie widniały rysy i ślady tarcia, gdyż ziemia była zbyt miękka, by utrwalić wyraźne odciski. Po ominięciu lasu droga dochodziła do samego krańca jaru. Maelen, która kroczyła u mego boku, podeszła do stromeego urwiska.

Usiadła na zadzie, kołyszając lekko łbem; wpatrywała się w ścianę z taką uwagą, jakby odczytywała napis wyryty na chropowatej skale. Zrobiłem kilka kroków i stanąłem przy niej, lecz niczego nie zobaczyłem, chociaż wycężałem wzrok w przekonaniu, że musiała odkryć coś równie fascynującego jak poprzednio wizerunek kota.

— Co to jest? — odważyłem się przerwać jej skupienie. Po raz pierwszy mi nie odpowiedziała. Jej umysł był szczelnie zamknięty, jak brama obronna, którą zatrzęsnięto przed wrogiem. Wbijała wzrok w ścianę, kręcąc lekko głową w prawo, w lewo, znów w prawo. Nadal nie widziałem niczego, co uzasadniałoby takie wpatrywanie się w skałę.

— Co to jest? — Harkon powtórzył moje pytanie.

— Nie wiem. Maelen jeszcze mi nie odpowiedziała. — Musnąłem zjeżony pęczek sierści na jej głowie.

Uchyliła się nawet przed tak lekkim dotykiem. Nie otworzyła też umysłu ani nie okazała, że mnie zauważa. Nigdy przedtem nie zdarzyło się coś podobnego.



— Maelen! — Uczyniłem z jej imienia wyzwanie, żądanie, aby zwróciła na mnie uwagę. Wydawało mi się jednak, że nawet to do niej nie dotarło. Strach, który zasiała w moim sercu, myśl, że natura bestii mogła w niej zwyciężyć, zjeżyła mi włosy na głowie.

Wreszcie przestała kołysać łbem i patrzeć tym pozbawionym wyrazu wzrokiem. Zobaczyłem, jak wywiesiła czerwony język i oblizwała pysk. Obiema przednimi łapami tarła boki łba, naśladując ludzki gest. Wydawało się, że próbuje zamknąć uszy na jakiś nieznośny dźwięk, który sprawiał jej dotkliwy ból.

— Maelen! — Padłem na kolana. Nasze oczy znajdowały się teraz prawie na tej samej wysokości. Chwyciłem ją za łapy, którymi obejmowała łeb, i odwróciłem lekko pysk, żeby spojrzeć jej w ślepią. Zamrugnęła kilkakrotnie, jakby dopiero co zbudziła się ze snu.

— Maelen, co ci jest?

Nieprzenikniona bariera zniknęła. W odpowiedzi zalała mnie fala niejasnych wrażeń, które z trudem potrafiłem zrozumieć. Potem Maelen zebrała myśli.

— Krip... muszę uciekać... jak najdalej!

— Niebezpieczeństwo?

— Tak, przynajmniej dla mnie. Jednak nie ze strony tych, których szukamy. Tu jest coś jeszcze. Grasuje na skraju moich myśli, odkąd postawiliśmy stopę na tej mrocznej planecie. Krip, jeśli nie będę ostrożna, ono może mną zawładnąć! Jestem Thassą... jestem władczynią... — Miałem wrażenie, że nie mówi tego do mnie, lecz powtarza sobie te słowa, żeby wziąć się w garść. — Jestem Thassą!

— Jesteś Thassą! — Czym prędzej to rzekłem, jakbym samym tym powtórzonym zapewnieniem rzucił linę ratunkową komuś, kto boryka się z jakimś straszliwym niebezpieczeństwem.

Spuściła przednie łapy na ziemię. Całym jej ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze, podobne do tych, jakie wywołuje rozpaczliwy płacz. Ośmieliłem się znów jej dotknąć, i kiedy tym razem nie odtrąciła mnie, zamknąłem ją w ramionach, aby tym uściskiem dodać jej otuchy.

— Jesteś Maelen z Thassów — posłałem jej stanowczą myśl. — Zawsze nią będziesz! Nic nie może tobą zawładnąć. Nie może!

— Co się stało? — Harkon chwycił mnie za ramię i lekko potrząsnął, jakby chciał zwrócić moją uwagę.

— Sam nie wiem — mówiłem prawdę. — Tutaj jest coś, co stanowi zagrożenie dla telepatów.

— Harkon! — Drugi człowiek z Patrolu, który szedł wzdłuż urwiska, odsunął się od skalnej ściany. — Znalazłem ślady lądowania. Ślizgacz — duży, sądząc z ich wyglądu.

Harkon poszedł się przyjrzeć; ja zostałem z Maelen. Odwróciła głowę i wtulała pysk w moją kurtkę z czułością, jakiej nigdy wcześniej mi nie okazywała.

— Dobrze... dobrze, że mam ciebie — usłyszałem jej myśl. — Nie opuszczaj mnie, Krip. Nie mogę stać się kimś gorszym ani innym niż jestem... nie mogę! Ono mnie jednak woła... woła mnie...

— Co to jest?

— Nie wiem. Wydaje mi się, że pragnie pomocy, której tylko ja mogę mu udzielić. Mimo to wiem również, że jeśli pójdę do niego, przestanę być sobą. A ja nie chcę być nie-Maelen! Dopóki żyję, nie będę nie-Maelen! — Siła tego impulsu przypominała się krzyku sprzeciwu.

— Będziesz tylko sobą. Powiedz mi, jak mogę ci pomóc. Jestem przy tobie... — Oddałem na jej usługi wszystko, co mogłem.

— Pamiętaj o Maelen, Krip, pamiętaj o Maelen!

Domyśliłem się, czego pragnęła, i odtworzyłem w myślach obraz, który najbardziej lubiłem wspominać — obraz Maelen takiej, jaką ujrzałem po raz pierwszy na wielkim jarmarku w Yrjarze, spokojnej, pewnej siebie, beztroskiej, dumnej ze swego małego futrzastego ludku, który dawał przedstawienie dla zadziwionych mieszczuchów. To była Maelen, jaką zawsze będę widział.

— Naprawdę tak wyglądam w twoich oczach? Myślę, że namalowałaś mnie większą, piękniejszą i bardziej pewną siebie, niż byłem w rzeczywistości. Dałaś mi jednak ten właśnie obraz. Zachowaj go dla mnie na zawsze. Kiedy będę go potrzebowała... strzeż go!

Harkon wrócił. — Nic tu więcej nie zdziałyśmy — jego ton zdradzał zniecierpliwienie. — Powinniśmy wrócić. Rzeczywiście odlecieli ślizgaczem, co oznacza, że mogą w tej chwili być w dowolnym miejscu na tej planecie. Potrafisz pilotować własny pojazd?

Pokiwałem głową, lecz spojrzałem na Maelen. Czy była gotowa, czy mogła już wrócić? Wierciła się w moich ramionach, więc ją wypuściłem. Może cieszyła się, że znów ruszy w drogę. Wskoczyła do ślizgacza i zwinęła się w kłębek na drugim fotelu, kiedy siadłem za sterami maszyny.

Ślizgacz Patrolu leciał wprost do „Lydis”, a ja mknąłem z tą samą szybkością. Maelen, wciąż zwinęta w kłębek, najwyraźniej spała. Przynajmniej nie próbowała nawiązać kontaktu myślowego. Wkrótce jednak pojawił się nowy kłopot. Zabrzęczał komunikator — włączyłem go szybkim ruchem.

— Możesz wywołać swój statek? — usłyszałem zwięzłe pytanie Harkona. Tak byłem zajęty Maelen, że nie pomyślałem o wysłaniu raportu na „Lydis”. Wcisnąłem przycisk nadajnika. Rozległ się szum — kanał był otwarty. Kiedy jednak wystukałem nasz kod, nikt nie odpowiedział. Zaskoczony, spróbowałem jeszcze raz. Kanał był otwarty, odbiór nie powinien sprawiać trudności. Skoro wyruszyliśmy na poszukiwania, na statku ktoś miał stale czuwać przy odbiorniku. Odpowiedź jednak nadal nie nadchodziła.

Zameldowałem o niepowodzeniu Harkonowi, który odparł krótko: — To samo u mnie.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem, popołudniowy posiłek z koncentratów spożyliśmy w locie. Teraz blade słońce zaczęło przygasać, niebo zaciągały skłębione chmury. Nasilały się też podmuchy wicheru. Dla bezpieczeństwa obaj wznieśliśmy się wysoko ponad skaliste wzgórza. Nie mogliśmy się zgubić, promień naprowadzający ściągnie nas do „Lydis”, lecz silny wiatr może poważnie utrudnić lądowanie na oślep. Lądowanie na oślep? Nie powinniśmy być do tego zmuszeni. Towarzysze będą na nas czekać, zapalą reflektory, żeby nam wskazać drogę. A jeśli nie? Nie odpowiedzieli; może nawet nie wiedzą, że nadlatujemy? Dlaczego nie było odpowiedzi? Wciąż wystukiwałem kod wezwania, co jakiś czas robiąc przerwę, żeby policzyć do dziesięciu albo dwudziestu, i modliłem się o odpowiedź, która uwolniłaby mnie od nasilającego się podejrzenia, że stało się coś bardzo złego.

## MAELEN

Cieężko było walczyć z tym, co naszło mnie w dolinie, gdzie znaleźliśmy ślizgacz. Nigdy dotąd nie byłam tak roztrzęsiona, tak pozbawiona wiary w siebie, w to czym — kim jestem. Mimo to nie pamiętałam już wyraźnie tego, co wdarło się do mojego umysłu, opętało moje myśli, usiłowało wypchnąć moją świadomość. Wiedziałam czym jest zmiana kształtów, któż lepiej znałby się na tym? Thassowie jednak robią to spokojnie. To zaś była stanowcza próba zmuszenia mnie do czynu, którego sama nie zaplanowałam.

Kuląc się na drugim fotelu ślizgacza, wciąż starałam się otulić wiarą we własne siły, jak ktoś mógłby owijać się poszarpaną peleryną w przenikliwym zimowym chłodzie. Nie znałam tego, co tam spotkałam, i nie umiałam znaleźć jego źródła. Wiedziałam tylko, że nie chcę mieć więcej z nim do czynienia!

Tak byłam skoncentrowana na swoim strachu i nieszczęściu, że nie zdawałam sobie w pełni sprawy z tego, co Krip robi, dopóki jego myśl nie przebiła mojego zaabsorbowania jak ostry sztylet.

— Maelen! „Lydis” nie odpowiada. Co możesz odczytać?

Odczytać? Przez chwilę wydawało mi się, że nawet jego przekaz myślowy był w obcym, całkiem niezrozumiałym dla mnie języku. Potem wzięłam się w garść i starałam się odwrócić myśl od tego przerażającego kontaktu. „Lydis” nie odpowiadała!

Przynajmniej teraz mogłam skupić poszukiwania na czymś konkretnym. Nie zmagalam się już z nieznanym. Sam statek, będąc przedmiotem nieożywionym, nie mógł mi jednak posłużyć za drogowskaz; do tego celu najlepszy będzie Lidj. Wyobraziłam sobie magazyniera i zapuściłam sondę... Napotkałam pustkę. Nie... pod powierzchnią nicości coś pulsowało, jakieś bardzo stłumione poczucie tożsamości. Zdarzało mi się już dokonywać penetracji myśli, kiedy osoby, których chciałam dotknąć, spały lub nawet były całkiem nieprzytomne na skutek choroby. Obecny stan przypominał ten ostatni przypadek, chociaż utrata świadomości była jeszcze głębsza i całkowita. W żaden sposób nie mogłam dotrzeć do Lidja. Potem przerzuciłam się na Korde'a — z takim samym skutkiem.

— Obaj — Lidj i Korde — są pogrążeni w śpiączce i to głębokiej — poinformowałam.

— Śpią!

— To nie jest naturalny sen. Mówię poważnie. Nie są przytomni, nie śnią, ani też ich umysły nie są otwarte dla podświadomości jak podczas normalnego snu. To coś całkiem innego.

Próbowałam zapuścić sondę głębiej, wywołać reakcję dość silną, żeby się czegoś dowiedzieć. Kiedy się jednak skupiałam, coś mnie pochwytiło! Miałam wrażenie, że dążyłam do celu, kiedy zarzucono na mnie sieć. Siatka przypominała tę, która oplatała mnie na jakiś czas w dolinie. Była jednak mocniejsza i silniej trzymała mnie w swym uścisku, jakby jakaś druga świadomość, potężniejsza, bardziej dominująca, połączyła siły z pierwszą, żeby mnie złowić i przyciągnąć. Widziałam Kripa i ślizgacz. Mogłam popatrzeć na swoje porośnięte futrem ciało i przednie łapy, z których wystawały teraz groźne pazury, jak gdybym szykowałam się do walki. Jednak pomiędzy mną i tym zewnętrznym, normalnym światem wznosiła się ściana mgły.

Maelen, byłam Maelen! Krip, myśl o mnie jako o Maelen, jak to zrobiłeś wtedy w dolinie! Spraw, abym ujrzała siebie taką, jaką jestem naprawdę, i jaką byłam przez całe życie, bez względu na to, jakie ciało teraz nosze. Jestem Maelen!

Najwyraźniej jednak moja prośba nie dotarła do niego. Ledwo słyszałam szmer słów z komunikatora, głośny, lecz pozbawiony sensu.

Maelen... z całych sił umysłu i woli będę bronić swojej tożsamości, oblegana przez piętrzące się fale mocy, z których każda uderzała we mnie silniej niż poprzednia. Mgliście pomyślałam, że to gorsze niebezpieczeństwo, bo potrafiłam zmieniać odzienie duszy, co czyniło mnie podatniejszą na wpływ tego, co się tam gnieździło.

Byłam jednak Maelen — nie Vors, nie kimkolwiek innym — tylko Maelen z Thassów. Mój świat zawęził się do jednej informacji, która była moją tarczą i bronią. Byłam Maelen, taką, jaką Krip widział w swoich wspomnieniach, chociaż, jak mu mówiłam, nigdy nie byłam aż tak piękna ani silna. Maelen...

Wszystko wokół mnie zniknęło. Zamknęłam oczy, żeby nic nie przeszkodziło mi w obronie. Nie wiem, jak długo ochraniałam Maelen, gdyż czas nie dzielił się już na żadne jednostki. Obawiałam się tylko wyczerpania wytrzymałości, nie śmierci ciała.

Atak się nasilił i osiągnął takie natężenie, że gdyby zwiększyło się jeszcze, nie wytrzymałabym. Potem zaczął słabnąć, a wraz ze spadkiem intensywności pojawił się drugi nurt, w którym wyczytałam wprawdzie palącą niecierpliwość, później strach i rozpacz. I tym razem się obroniłam. Wątpiłam jednakże, czy wytrzymałabym po raz trzeci atak tej dziwnej siły. A Krip — gdzie był Krip? Co z jego obietnicą, że mnie nie opuści?

Zawrzałam wtedy gniewem zrodzonym z wielkiego strachu. Więc tego naprawdę mogłam się po nim spodziewać — tego, że w godzinie największej potrzeby zostawi mnie samą na polu walki?

Nie było już śladu po sile, która poddała mnie drugiej próbie; jej resztki zgasły jak lampa, której światło ustępuje ciemności. Byłam tak wyczerpana, że nie miałam siły się ruszyć, nawet kiedy wróciła mi świadomość tego, gdzie jestem.

Krip wciąż siedział za sterami ślizgacza. Pojazd stał jednak na ziemi. Przez okno widziałam stateczniki „Lydis”, chociaż większa część statku wznosiła się wysoko nad nami.

— Krip... — spróbowałam do niego dotrzeć.

Spróbowałam, lecz natknęłam się na tę samą pustkę, jaką spotkałam, szukając Lidja i Korde'a! Wyprostowałam się i odwróciłam, żeby spojrzeć mu prosto w twarz.

Oczy miał otwarte, patrzył prosto przed siebie. Wyciągnęłam łapę i szarpnęłam go za ramię. Jego ciało było sztywne, jakby zamarzło, przypominało bardziej posąg niż istotę z krwi i kości! Czyżby wpadł w tę samą sieć, która usiłowała mnie złowić, tylko ugrzązł mocniej?

Znów ruszyłam do walki, tym razem po to, aby dotrzeć do tego, co przygniótł ciężar nicości. Byłam jednak zbyt osłabiona po własnych przejściach i nie zdołałam przedrzeć się do tego tajnego miejsca, gdzie uwięziono Kripa Vorlunda albo gdzie on sam się ukrył. Mężczyzna siedział sztywno i nieruchomo, patrząc oczami, które chyba nie widziały niczego, co należało do świata zewnętrznego. Zeskoczyłam z siedzenia i niezdarnie zwolniłam łapami zatrząsk włazu.

Wprawdzie stateczniki „Lydis” były dość masywne, żeby było je widać w ciemności, ale reszta doliny rozptywała się w mroku nocy. Wzbijając zadem kłęby pyłu zeskoczyłam na miękki piasek, który złagodził mój upadek na skraj wydmy niczym poduszka. Właz automatycznie zamknął się za mną. Krip nie zauważył mojego odejścia, nie starał się pójść w moje ślady.

Stałam w cieniu rzucanym przez ślizgacz i rozejrzałam się po dolinie. Trap „Lydis” był wciągnięty, a sam statek szczelnie zamknięty, jak każdej nocy na Sekhmet. Za jego statecznikami stał ślizgacz Patrolu. Nikt się przy nim nie kręcił. Podeszłam do pojazdu. Ze środka biła słaba poświata, którą wzięłam za blask tablic przyrządów.

Glassie potrafią się wspinać, ale kiepsko skaczą. Natężyłam wszystkie siły i wykonałam skok, który pozwolił mi zahaczyć pazury o krawędź okna. Wisiałam tam dość długo, nadwężając sobie mięśnie barków, żeby zajrzeć do środka.

Pilot siedział w fotelu w równie sztywnej pozycji co Krip. Jego najbliższy sąsiad zamarł w bezruchu na swoim posterunku przy działku. Widziałam tylko tył głowy drugiego strzelca,

skoro jednak się nie ruszał, mogłam chyba przyjąć, iż znajdował się w podobnym stanie. Zarówno pilot, jak i Krip wylądowali bezpiecznie, teraz jednak najwyraźniej przebywali w nie mniejszej niewoli, niż gdyby siedzieli w kajdanach w jakimś lochu w Yrjarze. W czyjej niewoli... i dlaczego? Skoro jednak wylądowali bezpiecznie, najwyraźniej wróg nie chciał ich jeszcze zabić, jedynie mieć nad nimi władzę.

Wątpiłam w to, aby pozostawiono ich tak na długo. Ostrożność nakazywała, żebym się schowała, póki mogę, i nie wychodziła z kryjówki, dopóki lepiej nie poznam sytuacji. Ktoś mógł mnie już obserwować z jakiegoś miejsca w wąwozie.

Spróbowałam użyć psychopolacji, stwierdziłam jednak, iż moje zdolności zostały ograniczone, tak wyczerpane ciężką próbą, jaką przeszłam, że nie odważyłam się sięgnąć myślą daleko. Tymczasem zmuszona byłam pokładać ufność w pięciu zmysłach mojego obecnego ciała.

Wprawdzie czułam się nieswojo, polegając na zdolnościach glassii, ale odprężyłam się trochę i rozluźniłam kontrolę nad swoim ciałem, uniosłam łeb, żeby zwietrzyć zapachy w powietrzu, wyęczałam słuch i próbowałam zobaczyć w ciemności tyle, na ile wzrok mi pozwalał. Glassie nie są zwierzętami nocnymi. W mroku widzą przypuszczalnie tylko trochę lepiej od ludzi. Kontrast pomiędzy jasnoszarym piachem a ślizgaczami i wysoką bryłą „Lydis” wystarczał jednak, żebym mogła ustalić swoje położenie. Gdyby udało mi się dotrzeć do ściany urwiska, u jego skalistego podnóża znalazłabym kryjówek pod dostatkim. Przyczaiłam się w cieniu ślizgacza Patrolu i wyznaczałam w myślach trasę, która zapewniłaby mi największą osłonę.

Może marnowałam czas, może nikt nie obserwował doliny i mogłam śmiało chodzić. Ryzyko było jednak zbyt duże. Poruszałam się więc najzwinniej, jak potrafiłam, starając się nie zrobić nic, co mogłoby mnie zdradzić.

Potem znalazłam rozpadlinę, która wyglądała obiecująco. Była tak wąska, że musiałam wcisnąć się do niej tyłem. W środku położyłam się, opierając łeb na przednich łapach, i zaczęłam czuwać nad statkiem i dwoma ślizgaczami.

Podobnie jak w ciągu tego bladego dnia, chmury rozeszły się trochę. Widać było gwiazdy, ale nie księżyc. Z tęsknotą pomyślałam o jasnej poświacie Sotrath, który tak rozświetlał Yiktor, wypełniając noc olśniewającym blaskiem.

Gwiazdy na niebie... a może nie? Zwierzę inaczej ocenia odległości, zmienia się kąt widzenia. To nie gwiazdy... reflektory! Były nimi przynajmniej te niższe, umieszczone w jednym końcu doliny. Naliczyłam trzy. Tam właśnie schowaliśmy ładunek. Czyżby po

uwięzieniu załogi i członków Patrołu tajemniczy obcy, których uznaliśmy za źródło naszych kłopotów, rabowali teraz skarb?

Po zauważeniu świateł wyczułam coś jeszcze — drzenie, które docierało do mnie przez otaczające skały. W dolinie nie było żadnego ruchu, żadnego śladu obserwatora. Może ten kto zastawił tę pułapkę, tak ufał w jej niezawodność, że nie wystawił straży. Niespokojnie zmieniałam pozycję. Nie miałam najmniejszej ochoty zrobić tego, co wydawało się konieczne — pójść przekonać się o trafności swoich przypuszczeń, że ktoś okrada skrytkę — zobaczyć, kto jest za to odpowiedzialny. Uparcie kuliłam się w norze, która wydawała mi się teraz bezpiecznym schronieniem; byłoby niewiarygodną głupotą je opuścić, myślałam sobie.

Nie miałam żadnych zobowiązań wobec „Lydis”. Nie byłam Wolnym Kupcem. Krip... Krip Vorlund. Tak, łączyła nas więź, której nie chciałam zrywać. Co się zaś tyczy reszty... Krip był z nimi zżyty równie mocno, więc nasze losy były ze sobą związane, czy chciałam tego, czy nie. Gdyby glassie mogły wdychać, zrobiłabym to, kiedy z największą niechęcią wypełzłam z bezpiecznej nory i ruszyłam wzdłuż ściany urwiska, znów korzystając z każdej najdrobniejszej osłony.

Kiedy badałam okolicę z Kripem, wybierając drogę kierowaliśmy się ograniczeniami jego ludzkiego ciała. Wiedziałam jednak, że sama mogę wdrapać się na górę dużo szybciej, gdyż moje potężne pazury doskonale nadawały się do wspinaczki po skałach usianych pęknięciami i rozpadlinami. Skradałam się okrężną drogą, aż dotarłam do miejsca, które moim zdaniem znajdowało się dokładnie naprzeciwko świateł. Tam rozpoczęłam wspinaczkę. Skaliste zbocze było dość ciemne, żeby moje czarne futro nie rzucało się w oczy tak wyraźnie jak na tle jasnych wydm. Tak jak się spodziewałam, moje pazury bez trudu odnajdywały nierówności w skale i zahaczały o występy, co bardzo ułatwiło wspinaczkę.

Szybciej mi to szło niż skradanie się po ziemi, tak więc zdołałam wciągnąć się na szczyt wzniesienia prawie bez zadyszki. Stamtąd zobaczyłam, że moje przypuszczenia były częściowo trafne. Trzy reflektory znajdowały się w miejscu, gdzie zdaniem Fossa i pozostałych tak dobrze ukryto ładunek. Niemniej jednak rozbicie bariery, którą zostawili, nie mogło być łatwym zadaniem. Po wibracjach skał i cichym warkocie, który dało się teraz słyszeć, domyśliłam się, że sprowadzono w tym celu jakąś maszynę.

Moją uwagę tak pochłoneły prace w oddali, że początkowo nie dostrzegłam czegoś, co znajdowało się bliżej. Dopiero kiedy odsunęłam się trochę na bok i musnęłam promień... Wstrząs poraził mnie z siłą ciosu. Gdybym przecięła go w miejscu o wyższym napięciu, mógłby odrzucić mnie w tył i strącić na dno wąwozu.



Była to czysta energia, promieniująca z taką siłą, iż można by sądzić, że taki promień powinien być widzialny. W dodatku była to energia psychiczna. Nie doświadczyłam jednak nigdy takiego jej natężenia, nawet wtedy, gdy nasi Starsi łączyli swoją moc, aby zrobić, to co było trzeba. Nie miałam też żadnych wątpliwości, że to ona była odpowiedzialna za zamroczenie umysłów ludzi w dolinie. Teraz byłam przygotowana, czujna i miałam się na baczności, aby ominąć niebezpieczeństwo i nie wpaść znów w pułapkę. Wiedziałam również, że muszę znaleźć źródło tej energii.

Nie miałam ochoty na drugie spotkanie z tym groźnym promieniem, lecz musiałam utrzymywać z nim kontakt, żeby go nie zgubić. Dotykałam skrajów wiązki i odskakiwałam od niej, zataczając się, i znów niechętnie podchodziłam, aby jej dotknąć. W ten sposób dotarłam do niszy w skałach. Było ciemno, nikogo w pobliżu. Natężyłam zmysł psychopolacji, aby zbadać rozpadlinę przed zbliżeniem się do niej od tyłu. Nisza była bardzo ciemna i cokolwiek tam się kryło, znajdowało się w jej głębi.

W końcu musiałam wejść na szczyt sterty gładów, gdyż stwierdziłam, że jedyny otwór znajduje się od frontu. Przywarłam brzuchem do grzbietu wzniesienia i poczołgałam się do przodu. Potem spuściłam łeb, mając nadzieję, że wiązka nie wypełnia całego otworu, i zajrzałam do środka.

Z daleka wydawało się, że nisza pogrążona jest w mroku. W bardzo wąskiej szczelinie mrugało jednak nikłe światełko, dość jasne, żeby dostrzec w ciemności jej mieszkańca. Wisząc w niewygodnej pozycji głową w dół, spojrzałam komuś w twarz!

Doznałam takiego wstrząsu, że omal nie spadłam. Zapanowałam nad swoimi emocjami, zdołałam się skupić na tym surowym, ściągniętym obliczu. Obcy miał zamknięte oczy i twarz całkiem pozbawioną wyrazu, jakby spał. Jego ciało spoczywało w skrzyni tak zaklinowanej w pozycji pionowej, aby stała odwrócona frontem do doliny. Większość pojemnika pokrywał szron, od którego wolny był tylko fragment pokrywy nad obliczem obcego. Sama zaś twarz przypominała ludzką, chociaż była całkiem pozbawiona włosów, a także brwi i rzęs. Skóra miała bladoszary kolor.

Pojemnik, w którym spoczywał mężczyzna (uznałam, że obcy jest rodzaju męskiego), wyposażony był z przodu w pokrywę, zapewne przejrzystą, ale oszroniona wyglądała na kryształową. Okalała ją szeroka metalowa rama, tu i tam upstrzona drobnymi plamkami, których koloru nie widziałam wyraźnie.

W nogach skrzyni stało jakieś urządzenie. Wprawdzie śpiący (jeśli faktycznie spał) nie przypominał żadnej istoty, jaką dotychczas widziałam, jednak sprzęt u jego stóp był mi znajomy. Jeszcze kilka dni temu spostrzegłam podobny na pokładzie „Lydis”. Był to

wzmacniacz sygnału transmisji, przypominający ten, który zbudował Korde, kiedy wysłał poza planetę wezwanie o pomoc.

Widząc go tutaj, mogłam wyciągnąć tylko jeden wniosek. Źródłem ataku mentalnego, wzmacnianego przez urządzenie komunikacyjne, było ciało w pojemniku. Jego obecność mogła mieć tylko jeden cel — uwięzienie Kripa, członków Patrolu, a także przypuszczalnie załogi „Lydis”. Gdyby udało mi się wyłączyć to urządzenie albo przerwać dopływ mocy, moglibyśmy odzyskać wolność.

Z uszpaną istotą nie mogłam nic zrobić. Nie miałam dość siły, żeby poruszyć pojemnik; zbyt mocno go zaklinowano w niszy. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do mroku rozjaśnionego tylko słabym światłem, które rzucała rama, zobaczyłam, że w szczeliny wokół dużego pudła wbite kamienie, aby nie można go było ruszyć z miejsca.

Nie byłam w stanie zniszczyć źródła energii, która zniewalała umysł, ale wzmacniacz to całkiem co innego. Dobrze pamiętałam, jak Korde ostrożnie regulował ten, który mieliśmy na pokładzie „Lydis”, i stale powtarzał, że nawet najdrobniejszy wstrząs może odchylić kierunek wiązki. Do tego zadania musiałabym się jednak zdopingować. Bowiem tak jak uprzednio zmęczyła mnie bitwa stoczona w ślizgaczu z tą siłą, która chciała zapanować nad moim umysłem, tak teraz moje ciało wysyłało sygnały alarmowe przez obolałe mięśnie i ociążała ze znużenia kończyny.

Zeszłam na dół i zbliżyłam się ostrożnie z boku, skradając się na brzuchu i mając nadzieję, że dzięki temu promień nie trafi mnie z pełną siłą. Na szczęście, najwyraźniej nie omiatał ziemi.

Po dokonaniu tego odkrycia podczołganie się bliżej nie sprawiło mi trudności. Widziałam tylko jedno możliwe rozwiązanie, a jego powodzenie zależało od tego, na ile zwinne okaże się to zwierzęce ciało. Wycofałam się i rozejrzałam za bronią. Ostre wichry wykonały jednak zbyt dobrze swoje dzieło. W okolicy nie było kamieni dość małych, abym mogła się nimi posłużyć. Odeszłam dalej, wsuwając nos do każdej zauważonej dziury. Jeśli będę zmuszona wrócić na dno doliny, aby tam poszukać, zrobię to. Wciąż jednak nie traciłam otuchy.

Moja wytrwałość została w końcu nagrodzona, gdyż w jednym z zagłębień znalazłam kamień, który tak długo podważałam pazurami, aż go obluzowałam i mogłam wygrzebać na zewnątrz. Komuś, kto zawsze posługiwał się dłońmi, trudno jest używać ust. Mimo to złapałam kamień w zęby i wróciłam.

Znów podkrađłam się na brzuchu do rozpadliny i trzymanym w pysku kamieniem tłułam w wierzch wzmocniacza, póki nie rozbiłam go tak dokładnie, że ci, którzy go zostawili, chyba nie będą mogli go już użyć.

Nie zbliżyłam się do pojemnika ze śpiącym. Ciągnął od niego wilgotny chłód porównywalny z mrozem najsroźszej zimy, jaką przeżyłam w górach na Yiktor. Gdybym nieostroźnie dotknęła łapą oszronionej pokrywy, chybabym ją sobie odmroziła. Na posągowo spokojnej twarzy nie widać było żadnych zmian. Mimo to śpiący żył, jeśli nie teraz, to przynajmniej kiedyś. Kiedy patrzyłam na tę istotę w grobowcu, doznawałam sprzecznych uczuć.

Czym prędzej nie tylko odwróciłam wzrok od nieruchomej twarzy, ale także opuściłam hipotetyczne pole widzenia tych zamkniętych oczu. Wtedy poczułam drgnienie drugiej, dodatkowej obecności, tej, którą wyczułam w ślizgaczu. Wzbudziło to we mnie taki strach, że rzuciłam się na oślep do ucieczki, nie patrząc, gdzie biegnę.

Kiedy już zapanowałam nad sobą, a niepokojąca siła zniknęła, stwierdziłam, że nie wróciłam do statku, lecz udałam się w stronę świateł i hałasu. Rozejrzenie się po tamtej okolicy mogło być niezłym pomysłem. Miałam nadzieję, że z chwilą, gdy transmisja się urwała, załogi „Lydis” i ślizgaczy odzyskały wolność. Gdybym po powrocie dostarczyła informacji, mogłoby to przynieść im korzyść.

Nieznajomi nie wystawili straży. Może mieli takie zaufanie do tego, co zostawili na wzgórzach, że czuli się bezpieczni. Bez trudu podkrađłam się do miejsca, skąd roztaczał się doskonały widok.

Przy skrytce wrzała praca, scenę oświeślały reflektory, których blask był silniejszy od słońca Sekhmet. Dwa roboty rozbijały zaporę w wejściu do rozpadliny. Kupcy jednak wykonali ją tak solidnie, że maszyny nie mogły jej szybko skruszyć. W gniazdach roboczych tkwiły rozmaite narzędzia i palniki, które energicznie atakowały stopione głązy.

Roboty „Lydis” służyły głównie do ładowania towaru, chociaż w ostateczności można było dokonać pewnych modyfikacji i wyposażyć je w kilka prostych narzędzi. Te maszyny sprawiały wrażenie większych i miały inny wygląd. Sterował nimi człowiek z tablicą kontrolną w ręku. Wprawdzie mało się znałam na takich urządzeniach, wydawało mi się jednak, że stosowano je głównie w górnictwie.

O ile my z „Lydis” wiedzieliśmy, że na Sekhmet nie było kopalni. A przypadkowi poszukiwacze nie posiadaliby tak skomplikowanego i kosztownego sprzętu. Odkryliśmy ślady, które wskazywały na obecność złóż skarbów. Czyżby te roboty sprowadzono w celu ich odkopania?

Istoty na dole — było ich trzy — sprawiały wrażenie przeciętnych kosmicznych wędrowców i nosiły zwykłe kombinezony załogantów statku. Wyglądały zupełnie jak ludzie; należeli do tej samej rasy co Wolni Kupcy. Ci dwaj, którzy nie nadzorowali robotów, trzymali w rękach broń, ściślej biorąc, miotacze, co wskazywało, że mogli być ludźmi wyjętymi spod prawa. Widok broni zaalarmował mnie wystarczająco, żebym trzymała się od nich z daleka.

Przywarłam brzuchem do ziemi i zeszywniałam; mój oddech ze świstem wydobywał się zza kłów, które były naturalnym orężem glassii. Pojawił się czwarty mężczyzna. W ostrym blasku reflektorów wyraźnie zobaczyłam jego twarz. To był Griss Sharvan!

Nic nie wskazywało na to, żeby był więźniem. Stał przy jednym ze strażników, przyglądając się robotom z takim zainteresowaniem, jakby sam skierował je do pracy. Może rzeczywiście tak było? Może to Sharvan zaprowadził tych ludzi do skrytki? Ale dlaczego? Każdemu, kto znał Kupców, trudno było uwierzyć, żeby któryś z nich mógł zdradzić towarzyszy. Mieli wierność i lojalność we krwi. Przysięgłabym na wszystko, co znam, że taka zdrada była absolutnie niemożliwa. Mimo to Sharvan najwyraźniej pozostawał w doskonałych stosunkach z grabieżcami.

Od czasu do czasu nadzorca robotów regulował przyrządy sterujące. Wyczułam jego zniecierpliwienie. Kiedy ten takt do mnie dotarł, pomyślałam, że osłabienie moich mocy musiało minąć. A to oznaczało, że może udałoby mi się, na drodze sondowania myśli, odkryć, co tu robił Sharvan. Ułożywszy się najwygodniej, jak mogłam, rozpoczęłam sondowanie.

## KRIP VORLUND

Było bardzo cicho; nie czułem wibracji ścian ani nie doznawałem tego wrażenia bezpieczeństwa, jakie zwykle dawał mi statek. Otworzyłem oczy, lecz nie ujrzałem ścian swojej kabiny na „Lydis”; siedziałem natomiast przed pulpitem sterowniczym ślizgacza. Kiedy zamrugałem powiekami, mocno oszołomiony, wróciły wspomnienia. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałem wyraźnie, był fakt, że leciałem nad poszczerbionymi górami w kierunku statku.

Teraz jednak nie leciałem. Jak więc wylądowałem i...

Odwrociłem się, żeby spojrzeć na drugi fotel. Nie zobaczyłem na nim pokrytego futrem ciała. Szybko się rozejrzawszy, stwierdziłem, że tylko ja jestem w ślizgaczu. Ale Maelen nie mogła przecież wylądować sama. Poza tym na zewnątrz panowała już noc.

Otworzenie wjazdu i wyskoczenie z pojazdu zajęło mi kilka chwil. Obok wznosiła się „Lydis”. Za nią widziałem drugi ślizgacz. Dlaczego jednak niczego nie pamiętałem? Co się stało tuż przed wylądowaniem?

— Vorlund! — Z ciemności padło moje nazwisko.

— Kto tam?

— Harkon. — Z drugiego pojazdu wyłonił się jakiś cień; szedł w moim kierunku, zapadając się w piasku. — Jak się tu znaleźliśmy? — spytał. Nie umiałem mu jednak odpowiedzieć.

Od strony statku dobiegł jakiś zgrzyt. Podniosłem głowę i zobaczyłem trap, który wyłaniał się z górnego wjazdu na kształt wysuniętego badawczo języka. Chwilę później jego koniec z głuchym hukiem uderzył o ziemię. Ja jednakże bardziej byłem pochłonięty szukaniem Maelen.

Na piasku nie widać było śladów; nie potrafiłem znaleźć tropu. Skoro jednak trap był podniesiony, nie mogła wejść na pokład statku. Nie miałem pojęcia, co mogło ją nakłonić do opuszczenia ślizgacza. Jednak jej dziwne zachowanie w wąwozie wzbudziło we mnie podejrzenia, że uległa jakiemuś wpływowi, któremu nie była w stanie się oprzeć. Jeśli tak, co to był za wpływ, i dlaczego miałby tu na nią silniej działać? Nie pamiętałem też lądowania ślizgacza...

Użyłem psychopolacji. Chwilę później zachwiałem się, uderzyłem o burtę pojazdu, który przed chwilą opuściłem, padłem na kolana i złapałem się za głowę. Nie mogłem jasno myśleć, dusiłem się...

Zanim Harkon dobiegł do mnie, musiałem już być bardzo bliski całkowitej utraty przytomności. Pamiętam tylko mgliście, że zaprowadzono mnie na pokład „Lydis” i że wokół mnie krzatali się jacyś ludzie. Potem zakrztusiłem się, zakaszlałem i potrząsałem głową, kiedy gryzące opary rozwiały przerażającą mgłę odgradzającą mnie od świata. Podniosłem oczy; odzyskałem wzrok i zdolność rozpoznawania otoczenia. Znajdowałem się w ambulatorium na pokładzie statku. Przy mnie stał nasz lekarz, Lukas, a za jego plecami Lidj i Harkon.

— Co się stało?

— To ty nam powiedz — odparł Lukas.

Moja głowa... Poruszyłem nią lekko. Zmieszana z bólem mdląca fala natarczywej ciemności zaczęła ustępować.

— Maelen... zniknęła. Próbowałem ją znaleźć przez psychopolację. Wtedy... coś mnie uderzyło... wewnątrz głowy. — Równie trudno było mi opisać charakter napaści, co przypomnieć sobie, jak wcześniej wylądowałem.

— Zgadza się — Lukas pokiwał głową. Nikt mi jednak nie wyjaśnił, co się z czym zgadzało. Potem dokończył: — Moc psychiczna wzmocniona do takiego stopnia może się przejawiać jako energia — potrząsnął głową. — Nie uwierzyłbym w to, gdyby nie fakt, że na tej czy innej planecie rzeczy niemożliwe często okazują się możliwe.

— Psychiczna — powtórzyłem. Tak bardzo bolała mnie głowa, że dostałem mdłości. Co się stało z Maelen? Kolejna próba użycia psychopolacji mogła jednakże wywołać następny atak. Moje obawy się potwierdziły, kiedy Lukas dodał:

— Nie rób tego więcej, Krip. Przynajmniej dopóki nie zorientujemy się lepiej w tym, co się dzieje. Dostałeś taką dawkę, że omal nie straciłeś przytomności.

— Maelen... zniknęła!

Nie spojrzał mi w oczy. Chyba się domyślałem, co mu chodziło po głowie.

— Ona tego nie zrobiła! Znam jej przekaz myślowy...

— W takim razie kto? — spytał Harkon. — Od samego początku twierdziłeś, że ma wielkie zdolności telepatyczne. Cóż, to jest robota właśnie niezwykle utalentowanego i prawdopodobnie wykształconego telepaty. Chciałbym się też dowiedzieć, kto sprawił, że wylądowaliśmy — bo sami tego nie pamiętamy! Czyżby do naszych umysłów weszło twoje zwierzę?

— Nie! — zaprotestowałem. Z trudem uniosłem się do pozycji siedzącej i natychmiast zgąłem wpool, walcząc z nudnościami i uczuciem dezorientacji, które spowodował ten ruch.

Lukas szybko przysunął coś do moich warg i wysączyłem łyk chłodnego płynu, który złagodził nudności.

— To nie Maelen! — wykrztusiłem po wypiciu lekarstwa. — Nie można pomylić przekazu myślowego; jest tak charakterystyczny jak głos, jak twarz. To było coś obcego. — Teraz, po kilku chwilach zastanowienia, byłem tego pewien.

— Powiedz im też — zasugerował Lukas Lidjowi — co zarejestrowały nasze odbiorniki.

— Mamy nagranie — zaczął magazynier. — Ten telepatyczny atak zaczął się jakiś czas temu; was tu wtedy nie było. Jego natężenie zmalało mniej więcej pół godziny temu — spadło na sam dół skali, choć nadal jest wykrywalne. Wygląda to tak, jakby przekaz jakiejś energii został maksymalnie wzmocniony, a potem częściowo odcięty. Dopóki jego natężenie mieściło się w górnym przedziale skali, nikt z nas niczego nie pamiętał. Musieliśmy się ocknąć — jeśli tak to można nazwać — w chwili, gdy zmalało. Pomimo to promieniowanie szczątkowe jest najwyraźniej dość silne, żeby pozbawić przytomności każdego, kto próbowałby nawiązać kontakt telepatyczny, czego dowiódł przypadek Kripa. Jeśli więc to nie była Maelen...

— Ale gdzie ona jest? — niepewnie przełknąłem ślinę, kiedy unosiłem głowę, i stwierdziłem, że już mi lepiej. — Po zbudzeniu się byłem w ślizgaczu sam, a nikt nie potrafi odnaleźć śladów w tym piachu.

— Może poszła poszukać źródła tego, co nas zaatakowało. Jest dużo lepszą telepatką niż przedstawiciele naszej rasy — snuł przypuszczenia Lidj.

Wstałem, odtrącając rękę Lukasa, który usiłował mnie od tego odwieść. — Albo poszła tam wbrew swojej woli. Poczwała coś w tej dolinie, gdzie znaleźliśmy ślizgacz; błagała mnie, żebym ją stamtąd zabrał. Może nawet to coś ją pojmało!

— Nie pomożesz jej, jeśli pognasz na oślep bez najmniejszego wyobrażenia o tym, z czym możesz mieć do czynienia — rozsądne słowa Lidja mogły wtedy do mnie nie trafiać, skoro jednak on, Lukas i Harkon zagradzali drzwi do ambulatorium, wiedziałem, że chwilowo się stąd nie wydostanę.

— Jeśli myślicie, że będę siedział w bezpiecznym miejscu, kiedy... — zacząłem. Lidj pokręcił głową.

— Chcę tylko powiedzieć, że musimy poznać lepiej wroga, zanim ruszymy do walki. Wydarzyło się tu dość niepokojących rzeczy, abyśmy nabrali pewności, że z czymś takim jeszcze nie mieliśmy do czynienia. A co przyjdzie Maelen, Sharvanowi i Hunoldowi z tego, że sami dostaniemy się do niewoli, zanim zdołamy im pomóc?

— A robicie cokolwiek? — spytałem.

— Zlokalizowaliśmy źródło przekazu. Znajduje się na szczycie urwiska na północny wschód stąd. W środku nocy nie zajdziemy daleko, łażąc po tych skałach i próbując go znaleźć. Mogę cię jednak zapewnić, że impuls jest zbyt regularny, aby mógł go wysłać ludzki umysł. Jeśli to jakieś urządzenie działające na poziomie telepaty, w co jesteśmy skłonni uwierzyć, ktoś powinien je nadzorować. Ktoś, kto zapewne zna tę okolicę dużo lepiej od nas. Włączyliśmy dalmierz...

— I nie tylko — wtrącił Harkon. — Natychmiast po meldunku Lidja wypuściłem szperacza nastawionego na tryb zapisu. Prześle nam obraz, kiedy tylko znajdzie cokolwiek poza kamieniami i krzakami.

— Chodźmy więc do sterówki — dokończył Lidj — i zobaczymy, co nam pokaże szperacz.

Patrol słynie ze stosowania wyrafinowanego sprzętu. Mają udogodnienia, które daleko wyprzedzają wszystko, czym dysponują jednostki Wolnych Kupców. Słyszałem o szperaczach, ale dotychczas nie widziałem żadnego w akcji.

Coś migotało na małym ekranie, który postawiono przed płytą wizyjną „Lydis” — jakieś falujące linie. Stan taki trwał jednak niezmiennie i zaczynałem tracić cierpliwość. Niestety, wszystko, co powiedział Lidj, było prawdą. Jeśli nie mogłem użyć psychopolacji bez narażania się na ryzyko takiego natychmiastowego odwetu jak uprzednio, miałem niewielkie szansę, aby znaleźć Maelen w tym skalistym terenie, zwłaszcza w nocy.

— Coś mamy! — głos Harkona wyrwał mnie z tego ponurego zamyślenia.

Na mrugające linie na ekranie nałożył się jakiś wzór. Na naszych oczach bladej obraz nabrał ostrości i wyraźnych konturów. Ujrzeliśmy ciemną przestrzeń, gdzie spiętrzone skały tworzyły niszę. Ktoś w niej był. Twarz stojącej tam istoty przykuła moją uwagę. Czyżby był to człowiek? Oczy miał zamknięte, jakby spał albo trwał w skupieniu. Wtedy dostrzegłem resztę. Nie znajdował się na otwartej przestrzeni, lecz w pojemniku, który był przejrzysty tylko nad jego twarzą. Skrzynię zaklinowano w pozycji pionowej, tak że mężczyzna był zwrócony twarzą do zewnątrz.

U jego stóp stała mniejsza skrzynka. Była zniszczona, mocno powgniatana, a z pęknięć wystawały druty i poszarpane kawałki metalu.

Harkon odezwał się pierwszy: — Sądzę, że już wiemy, dlaczego przekaz tak nagle się urwał. To coś z przodu to wzmacniacz alfa-10, albo przynajmniej tak było, dopóki ktoś go nie potłukł. Służy do nadawania i intensyfikowania sygnałów komunikacyjnych. Pierwszy raz jednak słyszę, aby używano go do wzmacniania przekazu telepatycznego.



— Ten człowiek... — zaczął Lidj, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. — Jest więc telepatą i to jego impuls myślowy wzmocniono.

— Powiedziałbym nawet, że telepatą o dotychczas nieznaną siłę — stwierdził Lukas. — Jest coś jeszcze. On może przypominać człowieka, ale nie należy do rasy Terran. Chyba, że do wyjątkowo zmutowanej odmiany.

— Skąd wiesz? — spytał Harkon w imieniu nas wszystkich.

— Bo najwyraźniej został zahibernowany, a w tym stanie nie wysyła się impulsów myślowych; według naszych kryteriów nie jest się nawet istotą żywą.

Spojrzał na nas, jakby spodziewał się usłyszeć gwałtowny sprzeciw. Ja jednak, jeśli nawet nikt inny, wiedziałem, że wygłaszanie nieprawdopodobnych i pozbawionych uzasadnienia opinii nie leżało w naturze Lukasa. Jeśli on uważał, że ten obcy o zamkniętych oczach znajduje się w stanie hibernacji, zgadzałem się z jego sądem.

Harkon powoli kręcił głową. Nie tak, jakby zamierzał przeczyć Lukasowi, lecz tak, jakby nie był w stanie uwierzyć w to, co widział.

— Jeśli rzeczywiście jest zamrożony, w każdym razie mocno siedzi w tym pojemniku. Nie dotarł do tej niszy o własnych siłach. Ktoś go tam umieścił.

— Czy szperacz może znaleźć ślad, który prowadzi do tego miejsca? — Lidj wskazał ekran. — Pokazać nam, kto umieścił tam telepatę i wzmacniacz?

— Możemy zobaczyć, co nam da ustawienie przyrządów na szukanie siły vitalnej — Harkon spojrzał na komunikator na swoim nadgarstku i przestroił go delikatnie. Obraz zniknął z błyskiem i wróciło migotanie.

— Szperacz nie wraca — oznajmił Harkon — więc detektor życia musi działać. Co jednak odkryje...

— Mamy coś! — Korde nachylił się w przód i do połowy zasłonił mi widok. Odciągnąłem go trochę do tyłu.

Miał rację. Na ekranie znów pojawił się obraz. Widzieliśmy teraz znacznie lepiej oświetlony skrawek terenu.

— Skrytka, oni rabują skrytkę! — zupełnie niepotrzebnie krzyknął Lidj.

Zobaczyliśmy krzątające się tam pracownice roboty górnicze. Wybiły już dziurę w zaporze, którą uważaliśmy za doskonałe zabezpieczenie. Trzej — nie, czterej — mężczyźni stali na uboczu i przyglądali się ich pracy. Dwóch uzbrojonych było w miotacze, trzeci trzymał urządzenie sterujące robotami. Ale czwarty...

Zobaczyłem, że Lidj przysunął się bliżej ekranu.

— Nie mogę w to uwierzyć! — zawołał. Wszyscy moglibyśmy chórem zakrzyknąć to samo.

Znałem Grissa Sharvana; razem wyszliśmy na przepustkę na planecie. Był ze mną na Yiktor, kiedy poznałem Maelen. Wprost w głowie mi się nie mieściło, że mógł stać sobie spokojnie i patrzeć, jak ktoś kradnie nasz ładunek. Był przecież Wolnym Kupcem z krwi i kości, a wśród nas nie było zdrajców!

— Musieli poddać go praniu mózgu! — Lidj podał jedyne wytłumaczenie, jakie mogliśmy przyjąć. — Jeśli dobrał się do niego telepata o takiej mocy, z jaką spotkał się Krip, to nic dziwnego, że znaleźli skrytkę. Mogli wyczytać jej położenie wprost z jego myśli! Musieli też złapać Hunolda. Kto to jednak może być? Grabieżcy? — spytał Harkona, oczekując, że ktoś, kto stykał się z przestępcami, będzie potrafił udzielić mu odpowiedzi.

— Grabieżcy, z takim sprzętem? Oni nie zadają sobie tyle trudu. Podejrzewałbym raczej robotę Gildii...

— Gildia Złodziejska tutaj?

Lidj nie bez powodu czuł się zaskoczony. Wszyscy wiedzieli, że Gildia Złodziejska była potężna. Nie prowadziła jednak działalności na obrzeżach galaktyki. Nie zależało im na zyskach z napadów na planety leżące na pograniczu. Takie małe łupy zostawiała grabieżcom. Gildia planowała większe skoki na wewnętrznych planetach, na których gromadziło się bogactwo pochodzące z ryzykownych przedsięwzięć na tych planetach, które plądrowali pospolici rabusie. Jeśli grabieżcy utrzymywali kontakty z Gildią, dotyczyły one tylko sprzedaży łupów potężniejszym przestępcom. Byli jednakże małymi płótkami w porównaniu z członkami tej kryminalnej siatki, która na niektórych światach była silniejsza niż prawo. Całe planety dosłownie należały do Gildii.

— Gildia albo organizacja przez nią sponsorowana — uparcie obstawał przy swoim Harkon.

Pogorszyło to naszą i tak niewesołą sytuację, chociaż zarazem wyjaśniało sabotaż i skomplikowany plan, jaki najwyraźniej uknuto, aby usidlić „Lydis”, zarówno w kosmosie, jak i tutaj. Gildia miała możliwości, jakich nie domyślał się nawet Patrol. Wieść niesła, że gotowa była kupować lub zdobywać innymi, brutalniejszymi sposobami nowe odkrycia i wynalazki, byle tylko wyprzedzić swoich przeciwników. Pojemnik z telepatą i wzmacniacz mogły być bronią Gildii. A roboty górnicze, które widzieliśmy tu przy pracy...

Od razu przyszedł mi na myśl rysunek kociego pyska na ścianie urwiska oraz zapewnienia Maelen o istnieniu innych skrytek. Przypuśćmy, że jakaś przedsiębiorcza ekipa grabieżców, ambitna i dalekowzroczna, odkryła na Sekhmet skarby. Wnosząc taką wiedzę do

spółki z Gildią, mogła otrzymać od niej wsparcie. Przynajmniej w zakresie nowoczesnego sprzętu do robót ziemnych oraz takich urządzeń ochronnych, jak ten telepata połączony z maszyną.

Potem przypuszczalnie jeden z ich ludzi na Thoth dowiedział się o naszym ładunku. Rabusie mogli postanowić, że zagarną go jako premię. Sam Tron Qura wart byłby każdego zachodu. Trudno mi było uwierzyć, że mogłoby istnieć inne wyjaśnienie.

Co jeszcze mogli mieć? Wciąż nie znaliśmy natury urządzenia, które uszkodziło „Lydis”. Ten telepata był czymś zupełnie nowym. A przecież Wolni Kupcy zwykle szybko dowiadywali się o takich rzeczach.

— Uważajcie!

Krzyk Harkona wyrwał mnie z zamyślenia. Wciąż widzieliśmy na ekranie okolice skrytki. Roboty zaczęły właśnie wynosić z rozpadliny ładunek. Jednak nie to miał na myśli pilot Patrolu.

Jeden ze strażników odwrócił się i mierzył z miotacza prosto w nasz ekran. Chwilę później ekran zgasł.

— Zestrzelił szperacza — skomentował Harkon.

— Teraz już wiedzą — po pierwsze, że ich telepata przestał nad nami panować, a po drugie, że odkryliśmy ich działalność — rzekł Lidj. — Czy powinniśmy się teraz spodziewać, że zaatakują nas pełnymi siłami?

— Jaką macie broń? — spytał Harkon.

— Tylko taką, na jaką pozwalają przepisy. Możemy złamać plombę na szafce z bronią i wyjąć resztę miotaczy. To wszystko. Jednostka Kupców polega w kosmosie na manewrach uniku. Poza tym „Lydis” nie ląduje na planetach, na których istnieje broń dużo groźniejsza od tej z Thoth. Od lat nie zdejmowaliśmy tej plomby.

— W dodatku nie wiadomo, czym oni dysponują — to może być cokolwiek — skomentował Harkon. — Ciekaw jestem, kto popsuł ten wzmacniacz. Może to robota tego waszego człowieka, tego, którego nie widzieliście?

Ja jednak byłem tak pewny swego, jakbym wszystko widział na własne oczy.

— To zrobiła Maelen.

— Zwierzę, nawet obdarzone zdolnościami telepatycznymi.. . — zaczął Harkon.

Posłałem mu chłodne spojrzenie: — Maelen nie jest zwierzęciem. Jest Thassą, Księżycową Śpiewaczką z planety Yiktor. — Prawdopodobnie nie miał najmniejszego pojęcia, co to oznacza, więc rozwinąłem wyjaśnienie. — Jest obcą istotą, która tylko tymczasem nosi zwierzęcy kształt. Taki jest zwyczaj jej ludu — nie zamierzałem wdawać się

w dalsze szczegóły. — Bez trudu potrafiłaby odkryć źródło zakłóceń telepatycznych i zniszczyć wzmacniacz.

Ale gdzie teraz była? Czy poszła do skrytki, żeby sprawdzić, co się tam dzieje? Nie miałem pojęcia, jak strażnikowi udało się tak celnie zestrzelić szperacz. Zaprogramowano je tak, aby uciekały przed atakiem. Równie szybko mógł zabić Maelen, gdyby ją dostrzegł. Przypuszczalnie grabieżcy przebywali na Sekhmet od dość dawna, żeby zaznajomić się z miejscowymi formami życia. Poznaliby w niej, nawet w zwierzęcej postaci, istotę z innej planety, i nabraliby podejrzeń. Potrafiłem jasno sobie wyobrazić całą sekwencję takiego odkrycia.

Gdybym tylko mógł użyć psychopolacji! Wprawdzie wzmacniacz już nie działał, wiedziałem jednak, że znów mogłaby mnie porazić ta sama siła, z którą zetknąłem się poprzednio. Dopóki ten zamrożony człowiek — albo kosmita — nie zostanie unieszkodliwiony (jeśli to w ogóle możliwe), mogłem szukać Maelen wyłącznie przy pomocy naturalnych ludzkich zmysłów. A to w środku nocy było skazane na klęskę.

— Możemy po prostu przeczekać kłopoty — usłyszałem Korde'a, kiedy znów skupiłem uwagę. — Pański statek — skinął na Harkona — wkrótce wróci z Fossem. Mamy dość mocy, żeby ich ostrzec, kiedy tylko wejdą na orbitę hamującą.

Lidj jednak pokiwał głową. — To nie wystarczy. Grabieżcy musieli nas cały czas obserwować, nawet jeśli my nie mogliśmy ich znaleźć. Niewątpliwie mają jakieś pole ochronne, które blokuje w razie potrzeby nawet zdolności telepatyczne, bo inaczej Maelen wykryłaby ich obecność wcześniej. Wiedzą więc o nas i o tym, że czekamy na pomoc. Mogą teraz przyspieszyć prace, spakować się i opuścić planetę, zanim otrzymamy wsparcie. W końcu ich baza może się znajdować na drugim końcu planety, ukryta gdziekolwiek. Powinniśmy ich śledzić, jeśli tylko zdołamy. Nie ma jednak sensu wysyłać kolejnego szperacza. Teraz będą się mieć przed nimi na baczności.

— I tak nie mamy drugiego — skomentował kwaśno Harkon. — Co do reszty, uważam, że masz rację. Należy się również liczyć z tym, że jeśli zostaniemy wewnątrz albo w pobliżu waszego statku, mogą nas uwięzić, zagłuszyć sygnały ostrzegawcze, unieruchomić równie skutecznie jak ostatnim razem. Uważam, że powinniśmy zostawić strażnika, podnieść trap i opuścić statek. Pozostali rozproszą się po okolicy. Teren jest tak skalisty, że mogłaby się w nim ukryć cała armia. Pociągniemy na północny wschód, rozpoczynając podróż od skrytki. Może uda nam się w przybliżeniu ustalić położenie ich bazy. Nie zdołają przecież przewieźć wszystkich zrabowanych łupów za jednym razem. Po za tym ten telepata wciąż jest w tym samym miejscu. Jeśli go znajdziemy, zanim bandyci przyjdą sprawdzić, co się stało,

może uda nam się go wyłączyć albo zrobić cokolwiek, żeby utrudnić im ponowne jego użycie. Możesz się skontaktować z tą twoją Maelen i dowiedzieć się, gdzie jest? — spytał mnie.

— Dopóki ten telepata nadaje, nie mogę. Widziałeś, co się stało, kiedy poprzednio spróbowałem. Sądzę jednak, że jest w pobliżu skrytki. Być może, jeśli podejść wystarczająco blisko, odbierze mój sygnał myślowy, chociaż nie mogę mieć pewności. Jest ode mnie dużo potężniejsza.

— Świetnie. Jesteś najlepszym kandydatem na zwiadowcę — wyraźnie nie czekał na ochotników. Nie twierdzą zresztą, że nie byłbym jednym z tych, którzy zgłosiliby się pierwsi. Wolny Kupiec nie lubi jednak, kiedy wydaje mu polecenia ktoś inny niż człowiek jego pokroju. Było też zupełnie jasne, że Harkon niewątpliwie uzna się za przywódcę każdej wyprawy, jaką zaplanujemy.

Lidj mógł mu się sprzeciwić, ale tego nie zrobił. Poszedł natomiast złamać plombę na szafce z bronią. Wyjęliśmy miotacze, założyliśmy nowe baterie, zarzuciliśmy na ramiona pasy z amunicją. W plecakach mieliśmy żelazny zapas prowiantu. Zabraliśmy też grube skafandry dla ochrony przed chłodem.

W końcu na statku zostali Korde i Aljec Lalfarns, obaj specjaliści od łączności. Strzelcy Harkona unieszkodliwili działka ślizgacza, wyjmując z nich baterie, i wrócili do nas. Wciąż było ciemno, chociaż do świtu nie mogło być już daleko. Przespaliśmy się trochę i przed wyruszeniem zjedliśmy ostatni pełny posiłek na pokładzie statku.

Postanowiono, że spróbujemy trudnej wspinaczki na urwisko, żeby poszukać telepaty i spróbować go unieszkodliwić. Przewieszane przez ramiona miotacze ciążyły nam i utrudniały wędrówkę, a już sama ściana stanowiła trudną przeszkodę. Zmuszeni byliśmy zdjąć rękawice, żeby łatwiej znajdować występy w skale. Chłód kamieni kąsał dotkliwie, musieliśmy się więc śpieszyć, żeby przez zgrabiące palce nie doszło do żadnego wypadku. Pomyślałem o ostrych pazurach Maelen i wiedziałem, że dla niej nie była to zbyt ciężka droga. Nie znaleźliśmy jednak jej śladów.

Stanęliśmy na szczycie urwiska i rozciągnęliśmy szyk, zgodnie z poleceniem Harkona tworząc pojedynczy szereg. Z tej wysokości widać było światła przy skrytce. Pracujący tam ludzie nie robili niczego, żeby ukryć swoją obecność. Ostrzeżeni przez szperacza, mogli już szykować serdeczne powitanie.

Uszliśmy zaledwie kilka kroków, kiedy zabrzączał komunikator na moim nadgarstku. — W prawo — zabrzmiał sygnał. Poszedłem więc w tę stronę, kierując się bardziej przecuciem niż wzrokiem.

W taki sposób zebraliśmy się przy niszy, której obraz przekazał nam szperacz. Rozbitego wzmacniacza nie zabrano. Najwyraźniej ci, którzy tam go umieścili, albo jeszcze nie przyszli go sprawdzić, albo go porzucili. Podszedłem bliżej i drgnąłem. Po raz pierwszy w życiu nie tylko mój mózg odczuł przekaz myślowy, ale i całe ciało. Miałem uczucie, że uderzyła mnie jakaś niewidzialna, lecz potężna siła.

— Nie stawajcie na wprost niego! — powiedziałem ostro.

Usłyszawszy moje ostrzeżenie, Harkon podszedł z jednej strony, ja z drugiej. Tajemnicza istota nie zdradzała oznak życia. Jej twarz przypominała ludzką, lecz miała obce cechy. Odnosiłem wrażenie, że patrzę na trupa; prawdę mówiąc, byłbym o tym przekonany, gdybym nie czuł tego silnego przekazu myślowego. Pilot Patrolu zrobił miejsce Lukasowi. Medyk zdjął rękawiczkę i zbliżył dłoń na jakiś cal od pojemnika, wodząc nią w górę i w dół, jakby gładził jego powierzchnię.

— Głęboka hibernacja — oznajmił. — Znacznie głębsza niż się powszechnie stosuje. — Rozpiął kurtkę, wydobyl detektor siły witalnej i trzymał go na wysokości klatki piersiowej śpiącego, chociaż przez matową pokrywę nie widać było ciała.

W mdłym świetle, jakie rzucał pojemnik, ujrzałem na twarzy Lukasa wyraz niedowierzania. Raptownym ruchem medyk podniósł instrument na wysokość głowy obcego, dokonał drugiego odczytu, wrócił do poziomu serca, żeby powtórnie przeprowadzić badanie. Potem odsunął się do tyłu.

— No i co? — spytał Harkon. — Jak głęboko jest uspiiony?

— Zbyt głęboko... on nie żyje!

— To niemożliwe! — Spojrzałem na sztywną twarz człowieka w skrzyni. — Zmarli nie wysyłają impulsów myślowych!

— Może on o tym nie wie! — Lukas wydał dziwny dźwięk, który zabrzmiał prawie jak śmiech. Potem spoważniał i dodał: — On nie tylko jest martwy, ale nie żyje od tak dawna, że jego siły witalnej w ogóle nie można zarejestrować. Pomyśl o tym przez chwilę.

## KRIP VORLUND

Wciąż nie mogłem uwierzyć. To niemożliwe, żeby nieboszczyk wysyłał przekaz myślowy! Wyraziłem swoje zdanie. Lukas jednak pomachał detektorem i przysiągł, że działa prawidłowo. Udowodnił to, wypróbował go na mnie i pokazując całkiem normalny odczyt. Musieliśmy się pogodzić z faktem, że trup podłączony do wzmacniacza trzymał nas w niewoli, dopóki urządzenie nie zostało rozbite; że źródłem tej mocy psychicznej, dość silnej, żeby zaszkodzić każdemu człowiekowi (mogłem żywić nadzieję, że na Maelen nie miała wpływu), który próbował w jej pobliżu użyć podobnych zdolności, był nieboszczyk.

Wciąż jednak plądrowano skrytkę. Nie mogliśmy poświęcić zbyt wiele czasu tej tajemnicy, kiedy trzeba było działać gdzie indziej. Szybko pozbyliśmy się uszkodzonego wzmacniacza, ale nie zdołaliśmy wyciągnąć zaklinowanego pudła. Zostawiliśmy więc tę niezwykle uśpioną istotę w spokoju. Kiedy odchodziliśmy, nadal nadawała swój przekaz, tak jak od niepamiętnych czasów. Byłem jednak pewny, że nie z tego samego miejsca.

Droga górą była dużo krótsza niż ścieżka w wąwozie. Skradaliśmy się po cichu, zachowując wszelkie środki ostrożności, jakie są niezbędne na terytorium nieprzyjaciela, dopóki nie zobaczyliśmy z góry okolicy skarbcza. Roboty opróżniły już naszą skrytkę. Roziskrzony Tron stał w aureoli olśniewającego blasku między pakunkami i skrzyniami.

Do stojącego w pobliżu ślizgacza, przypuszczalnie dwukrotnie większego niż nasz, ładowano mniejsze przedmioty.

Trzej złodzieje, których zobaczyliśmy przez szperacza, przyglądali się Tronowi. Nietrudno było stwierdzić, że nie zmieści się do pojazdu, i że jego przewiezienie niewątpliwie stanowi problem.

Poza tymi trzema na dole najwyraźniej nie było nikogo więcej. Sharvan gdzieś zniknął. Tymczasem martwiłem się jednak o Maelen. Jeśli dotarła tu wcześniej, czy ukrywała się gdzieś między skałami i szpiegowała jak my? Czy odważę się znów użyć psychopolacji?

Nie było innego sposobu, aby ją znaleźć w tej surowej okolicy. Aczkolwiek zbliżał się jeden z tych pochmurnych świtów na Sekhmet i widoczność była lepsza niż wtedy, gdy rozpoczynaliśmy wędrówkę. Zdecydowałem się posłużyć telepatią, gotów natychmiast przerwać, gdybym chociaż przelotnie odebrał jakąś groźną transmisję. Tym razem jednak nie natknąłem się na żaden przekaz. Podniesiony na duchu, odtworzyłem w myślach obraz Maelen i na serio zabrałem się do poszukiwań.

Nie wychwyciłem jednak nawet sygnału blokady myślowej. Maelen nie było na wzgórzach, na których się ukrywaliśmy. Może więc przebywa na dole, w pobliżu skrytki? Bardzo ostrożnie zacząłem przeczesać myślami dolinę, obawiając się wywołać reakcję podobną do poprzedniej. Złodzieje mogli trzymać tam na wszelki wypadek drugą uśpioną istotę.

Napotkałem pustkę i już samo to było swego rodzaju wstrząsem. Nie mogłem przeniknąć myśli żadnego z trzech mężczyzn, których widziałem przy Tronie. Mieli pola ochronne, które stanowiły nieprzeniknioną barierę dla mojej sondy. Być może przyczyną był fakt, że mieli do czynienia z uśpionym i tylko tak mogli się nim posługiwać. Tak więc od nich niczego nie mogłem się dowiedzieć. Odpowiedź Maelen też nie nadeszła z doliny.

Kiedy się o tym przekonałem, rozszerzyłem zasięg poszukiwań, wybierając kierunek południowy. Stamtąd nadeszliśmy, kiedy odkryliśmy to miejsce. Zapuszczając się tak myślą coraz dalej, odebrałem cichą, drżącą odpowiedź!

— Gdzie... gdzie? — Włożyłem w to pytanie całą siłę.

— ...tutaj... — Bardzo słaby impuls, bardzo odległy. — ...pomóż... tutaj...

Nagły ton jej prośby nie budził wątpliwości. Jeszcze silniejszym bodźcem do działania było słabe natężenie jej sygnału myślowego. Byłem pewny, że Maelen jest w poważnych opałach. Równie oczywisty był wybór, jakiego musiałem dokonać. Przyszliśmy tu z powodu ładunku, za który załoga „Lydis” ponosiła odpowiedzialność. Było nas ośmiu przeciwko nieznaney liczbie nieprzyjaciół.

I była jeszcze Maelen, która zaginęła i wzywała mnie na pomoc.

Decyzję częściowo podyktowało mi ciało Thassy; teraz jestem tego pewien. Kiedyś obawiałem się, że barsk Jorth okaże się silniejszy od człowieka Kripa Vorlunda, a teraz Maquad z Thassów — albo ta nikła jego resztką, która stanowiła częśćkę mnie — odmienił moje życie. Thassa wołał Thasę; nie mogłem się oprzeć temu wezwaniu. Wszakże moje drugie dziedzictwo nie pozwalało mi też odejść bez uprzedzenia pobratymców.

Przypadek sprawił, że najbliżej znajdował się Lidj. Podczołgałem się dość blisko, żeby położyć dłoń na jego ramieniu. Drgnął, kiedy go dotknąłem, odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Chociaż dzień był pochmurny, widzieliśmy się wyraźnie. — Maelen ma kłopoty. Wzywa mnie na pomoc — szepnąłem, nie chcąc, aby mój głos rozniósł się dalej.

Lidj nic nie powiedział, nie zmienił się na twarzy. Nie wiem, czego się spodziewałem, lecz posłał mi tak przeciągłe, stanowcze spojrzenie, że musiałem się zdobyć na odwagę, aby mu popatrzeć w oczy. Czekałem, jednak on wciąż milczał. Potem odwrócił wzrok w stronę



wąwozu. Poczulem przejmujący chłód, jakby zdarto ze mnie ciepłą kurtkę, wydając moje nagie ramiona na pastwę wiatru.

Nie mogłem jednak cofnąć wypowiedzianych słów; jakiś wewnętrzny głos nakazywał mi trwać w powziętym postanowieniu. Odwróciłem się i odpełzłem na brzuchu. Oddaliłem się nie tylko od magazyniera, ale i od krawędzi wąwozu, gdzie moi przyczajeni towarzysze czekali na sygnał do ataku — jeśli taki właśnie znak da im Harkon.

Teraz musiałem odegnąć od siebie wszelkie myśli o załodze „Lydis”. Musiałem całą uwagę skupić na tej nici, tak cienkiej i wiotkiej, która łączyła mnie z Maelen.

Delikatne było to włókno i słabe, tak zwiewne, że lękałem się, iż pęknie i zostanę bez żadnych wskazówek.

Niś sprowadziła mnie z urwiska na dół. Poznałem charakterystyczne cechy krajobrazu, które utrwaliłem w pamięci. To była droga do wizerunku kociej głowy. Dotarłem do miejsca, z którego powinienem widzieć blady, widmowy zarys prastarego rytu na skale. Tego ranka jednak światło, być może z braku piasku nagromadzonego we właściwych miejscach, nie ułatwiło mi zadania. Dostrzegałem tylko otwór pyska.

Tam właśnie prowadził mnie rozpaczliwy zew Maelen. Wczołgałem się do środka, spodziewając się, że zastanę ją leżącą w mroku. Grota była jednak pusta! Odbierałem tylko jej wezwanie, ale dobiegało zza ściany!

Naciskałem kamienne bloki i biłem w nie pięściami w przekonaniu, że gdzieś muszą być ukryte drzwi, że któryś z bloków wypadnie albo się obróci. Jak inaczej Maelen wesłaby do środka?

Kamienie jednak były spojone tak mocno, jakby ułożono je zaledwie przed kilkoma tygodniami.

— Maelen! — Leżałem z rękami przyciśniętymi do ściany. — Maelen, gdzie jesteś?

— Krip... pomóż... pomóż...

Ciche, bardzo odległe wołanie szybko rozplywało się w ciszy. Strach, który mnie dręczył od chwili, gdy odebrałem jej komunikat, znów ścisnął mnie za gardło. Byłem pewny, że jeśli szybko nie zdołam do niej dotrzeć, nie będę miał po co już iść. Maelen ucichnie na zawsze.

Zostało mi tylko jedno wyjście. Jeśli z niego skorzystam, mogę nie mieć już czym się bronić. Znów jednak nie miałem wyboru. Wczołgałem się na zewnątrz.

Położyłem się na brzuchu i wycelowałem miotacz w otwór groty. Potem spuściłem głowę na zgięte ramię, osłaniając oczy przed jaskrawym błyskiem strzału, i pociągnąłem za spust.

Buchnął ognisty żar, choć większą jego część wchłonęło moje ochronne ubranie. Poczułem swąd tłących się rękawic, palący płomień liznął mój policzek. Nie przerywałem jednak, kierując pełną moc miotacza na wewnętrzną ścianę. Nie miałem pojęcia, jak to podziała na bloki; mogłem tylko być dobrej myśli.

Kiedy wyczerpałem cały ładunek broni, musiałem chwilę zaczekać. Nie miałem odwagi wczołgać się do ciasnej pieczary przed jej ostygnięciem. Nie mogłem też jednak zwlekać zbyt długo.

Wreszcie zwyciężyła niecierpliwość. To, co zastałem w środku, wprowadziło mnie w zdumienie. Bloki, które w dotyku przypominały rodzimą skałę urwiska, zniknęły bez śladu, jakby tylko udawały kamienie. Dzięki temu mogłem wczołgać się do przejścia za nimi.

Nie był on zresztą wiele obszerniejszy. Korytarz, tunel, czy cokolwiek to było, prowadził prosto i był tak wąski, że ledwo mogłem w nim pełznąć. Im dalej się posuwałem, tym mniej mi się podobała ta sytuacja. Gdybym chociaż mógł iść na czworakach, byłoby mi trochę lżej. W takich warunkach musiałem czołgać się z maksymalnym wysiłkiem.

Im głębiej się zapuszczałem, tym częściej też myślałem o tym, że mogę się natknąć na ślepa ścianę i będę zmuszony wyczołgiwać się tyłem. Prawdę mówiąc, myśl ta wzbudziła we mnie taki niepokój, że musiałem ją jak najszybciej przegnać, koncentrując się na psychicznym obrazie Maelen.

Korytarz wydawał się nie mieć końca, jednakże nie było to prawdą. Posługiwałem się rozładowanym miotaczem jak prętem sondy, popychając go przed sobą w ciemności i szukając w ten sposób przeszkód lub przepaści, które mogłyby okazać się kłopotliwe. Wreszcie uderzyłem nim o litą ścianę.

Postukałem w przeszkodę i odniosłem wrażenie, że tunel przede mną jest szczelnie zatkany. Musiałem się jednak upewnić. Podpełzłem dość blisko, żeby dotknąć ściany ręką, i odkryłem, że rzeczywiście zagrażała drogę. Pomimo to czułem na twarzy podmuch powietrza. Dotychczas nawet się nie zastanawiałem, jak mogłem oddychać w tak niewielkiej przestrzeni.

Gładząc ścianę dłońmi, wymacałem otwór, przez który wyraźnie wpadał strumień powietrza. Włożywszy tam jedną rękę, usiłowałem wyciągnąć całą zatyczkę. Udało mi się ją poruszyć, chociaż musiałem raczej pchać, niż ciągnąć. Blok obrócił się pod moim naporem i przecisnąłem się na drugą stronę.

Dostałem się do pomieszczenia, nie tylko dużo większego, lecz także oświetlonego. Być może światło było mdłe w porównaniu ze światłem dziennym. Moim oczom, przyzwyczajonym już do kompletnej ciemności, wydało się jednak bardzo jasne.

Otwór, z którego się wyłoniłem, znajdował się w pewnej wysokości nad podłogą sali. Wgramoliłem się do środka niezgrabnie, praktycznie spadając na posadzkę. Dobrze było znów móc się wyprostować.

Komnata miała kształt sześcianu. Światło wpadało przez ciąg długich i wąskich pionowych szczelin w ścianie po lewej stronie. Oprócz nich najwyraźniej nie było innych otworów, a z pewnością żadnych drzwi.

Kiedy podszedłem do światła, odkryłem kratę w podłodze przy ścianie, dość obszerną, żeby tamtędy wyjść, gdyby tylko można było jakoś podnieść pokrywę. Tymczasem jednak pałałem większą chęcią zajrzenia przez jedną z tych szpar.

Musiałem się maksymalnie przysunąć do wąskiego otworu. Nawet wtedy pole widzenia miałem bardzo ograniczone. Patrzyłem z góry na pokój lub halę o tak wielkich rozmiarach, że mogłem objąć wzrokiem tylko jej fragment. Światło padało z wierzchów stojących szeregiem filarów albo pojemników. Kiedy przyjrzałem się najbliższemu z nich, nasunęło mi się skojarzenie z czymś znajomym. Przycisnąwszy twarz z całych sił do obramowania szpary i spojrzawszy raz jeszcze, domyśliłem się ich przeznaczenia. Były bardzo podobne do pudła, w którym leżała martwa istota na szczycie urwiska. Zaglądałem do pomieszczenia przeznaczonego dla istot w stanie hibernacji!

— Maelen?

W dole między filarami-skrzyniami nic się nie poruszało. Moje wołanie pozostało bez odpowiedzi. Padłem na kolana, ściągnąłem spalone rękawice, żeby zahaczyć palcami o kratę. Musiałem ciągnąć z całych sił, zanim opornie drgnęła. Udało mi się jednak ją podnieść. Tak bardzo tęskniłem teraz za czymś, czego nie miałem — za latarką, gdyż w dole panowała nieprzenikniona ciemność.

Położywszy się na brzuchu, próbowałem zmierzyć głębokość studni, spuszczać miotacz na taśmie służącej do jego noszenia. Odkryłem w ten sposób wąski szyb, którego dno nie było zbyt oddalone. Odważyłem się zeskoczyć. Kiedy już się tam znalazłem, przyjrzałem się ścianie, która odgradzała mnie od sali uspiionych, i zauważyłem na niej jakąś ryse. Napieranie na ścianę nie dało rezultatów. Dopiero kiedy moje dłonie ześlizgnęły się z powierzchni nieustępliwej bariery, mur drgnął i utworzyła się niewielka szczelina. Wtedy wetknąłem tam lufę miotacza i posłużyłem się nim jak dźwignią, żeby rozewrzeć drzwi do końca.

Nie potrafiłem odgadnąć rozmiarów komnaty. Wydawała się ciągnąć bez końca tak w prawo, jak w lewo. Szeregi skrzyń były tak do siebie podobne, że nie mogły w razie czego stanowić żadnej wskazówki.

— Maelen?

Zatoczyłem się i wpadłem na drzwi, które przed chwilą otworzyłem. Tak jak poprzednio, użycie psychopolacji wywołało reakcję, która omal mnie nie zwała z nóg. Odpowiedź nie była skupioną wiązką, niemniej jednak i tak poraziła mój umysł, wypełniając go bólem. Kulilem się pod ścianą, odruchowo przyciskając ręce do uszu, jakbym chciał zagłuszyć donośne krzyki.

Cierpiałem potworne męki, gorsze od fizycznego bólu. Była to przestroga, abym nie używał tutaj jedyne go sposobu, jaki miałem, żeby znaleźć tę, której szukałem. Będę zmuszony brnąć na oślep, zdany jedynie na łaskę losu.

Zablokowałem psychopolację i chwiejnym krokiem ruszyłem przed siebie, idąc między skrzyniami w rzędzie na wprost mnie. Co jakiś czas przystawałem, żeby przyjrzeć się twarzom śpiących. Byli do siebie bardzo podobni. Mogli być wszyscy ulepieni z tej samej gliny, nic nie odróżniało jednego pojemnika od drugiego. Po chwili, oprzytomniawszy trochę po psychicznym wstrząsie, zauważyłem, że zmieniał się wzór kolorowych iskier na obrzeżu każdego pudła.

Początkowo je liczyłem, ale po dojściu do pięćdziesiątego uznałem, że nie ma sensu dalej tego robić. Za tymi, wśród których kroczyłem, ciągnęły się bez końca rzędy następnych. Być może spoczywała tu w stanie hibernacji cała armia jakiegoś zapomnianego zdobywcy. Roześmiałem się i pomyślałem, że to doskonały sposób konserwowania wojska między wojnami. Zapewniał obfitą dostawę żołnierzy bez ponoszenia kosztów ich utrzymania w okresie przejściowym.

Czegoś takiego nigdy wcześniej nie znaleziono. Prawdę mówiąc, przy skarbach na Thoth nie znaleziono żadnych szczątków ciał. Stanowiło to zagadkę dla archeologów, gdyż wcześniej zakładano, że takie przedmioty były umieszczane przy zwłokach władców jako dary pogrzebowe. Czyżby więc było to cmentarzysko tych, którzy zostawili swoje skarby na Thoth? Po co jednak przebywać przestrzeń kosmiczną, żeby chować swoich zmarłych na innej planecie?

I jeśli były to ciała zmarłych, dlaczego zostały zahibernowane? Stan ten był znany mojej rasie w przeszłości i stosowano go w dwóch celach. Na samym początku lotów kosmicznych tylko tak można było transportować podróżnych w trakcie długich wojaży, które mogły trwać setki lat planetarnych. Po drugie, był jedyną nadzieją ciężko chorych, którzy mogli w ten sposób odpoczywać, póki jakieś osiągnięcie przyszłej medycyny nie zdołałoby ich uleczyć.

Narody, ludy, nawet gatunki składały swych zmarłych do grobowców, wierząc, że z woli bogów albo na jakiś znak zmartwychwstaną oni cali i zdrowi. Czyżby tutaj wiara w to była tak silna, że posłużono się hibernacją w celu zachowania ciał w nienaruszonym stanie?

Wszystko to mogłem zrozumieć, ale nie fakt, że chociaż byli martwi, najwyraźniej wciąż używali zdolności paranormalnych. Wzdragałem się na samą myśl o tym, że żywy umysł mógłby być uwięziony w ciele trupa.

Wreszcie doszedłem do końca sali. W nikłym świetle pudeł dostrzegłem kolejną ścianę, a w niej szerokie drzwi okolone portalem w kształcie łuku. Były zamknięte. Przepęłniała mnie jednak taka odraza do tego miejsca, że zatrzymałem się i zacząłem szukać następnej baterii do miotacza, gotów utorować sobie drogę strzałem, gdybym stwierdził, że nie mogę wyjść.

Wrota jednak rozsunęły się pod naciskiem mojej ręki. Wyrzuciłem się na korytarz. Był widny, chociaż nie widziałem źródeł światła, pomijawszy fakt, że same ściany wydawały się rzucać szarą poświatę. Z miotaczem w ręku ruszyłem przed siebie.

Ujrzałem w tym korytarzu kilka par drzwi, wszystkie zamknięte, wszystkie oznaczone ciągiem niezrozumiałych symboli. Jak w tym labiryncie miałem znaleźć Maelen? Od czasu bolesnej nauki w sali śpiących nie miałem odwagi wysłać kolejnego wezwania. Musiałem więc zaglądać do każdego mijanego pokoju.

Za pierwszymi drzwiami znajdowała się niewielka komnata, która mieściła tylko dwóch śpiących. Pod ścianami stały jakieś szkatuły. Nie zostałem jednak, żeby je obejrzeć. Kolejne pomieszczenie, trzech uśpionych, następne skrzynie. Trzecia sala, znów dwóch śpiących, następne pudła.

Znalazłem się na końcu holu; w tym miejscu droga się rozwidła. Poszedłem w prawo. Korytarz był wciąż oświetlony i biegł prosto, bez żadnych zakrętów. Ciekaw byłem, ile mil ciągnęło się to przejście. Niewykluczone, że połowa Sekhmet była podziurawiona jak sito takimi tunelami. Co za odkrycie! Jeśli w skrzyniach i pudłach, które widziałem w mniejszych komnatach, znajdowały się skarby podobne do odnalezionych na Thoth — wtedy rzeczywiście złodzieje znaleźliby żyłę złota, której eksploatacją nie pogardziłaby nawet Gildia. Dlaczego jednak narazili się na niepowodzenie, sabotując „Lydis”? Mogliby tu pracować latami i nikt by tego nie odkrył, gdyby nie zmuszono nas do lądowania, a oni nie zareagowali przesadnie, dokonując napaści na nas. Czyżby była to kwestia nadmiernej chciwości?

Korytarz, którym szedłem, zaczął się zwężać; wkrótce było w nim dość miejsca tylko dla jednej osoby. Tutaj... stanąłem i zadarłem głowę, węsząc. Wszystkie tunele obsługiwał

jakiś niedostrzegalny system wentylacyjny. Poczułem jednak coś innego, jakiś znajomy zapach. Gdzieś w pobliżu niedawno palono liście cyro. Czuć było również inne słabe wonie... jedzenie... gotowane jedzenie... lecz cyro dominowało nad wszystkim tak silnie, że nie potrafiłem rozpoznać nic więcej.

Cyro jest substancją lekko odurzającą, lecz stosuje się ją również jako środek przeciwko zmęczeniu fizycznemu i depresjom psychicznym. Jako Wolny Kupiec byłem uodporniony na działanie pewnych narkotyków. Charakter naszego życia wymaga od nas zachowania czujności i szybkiego refleksu. Wyrobiliśmy w sobie umiejętność trzymania się podczas pobytu na planetach z dala od alkoholu, hazardu i kobiet spoza naszego grona. Wiemy, które narkotyki mogą narazić nas na niebezpieczeństwo przez zamięnienie jasności umysłu i spowolnienie reakcji. Jesteśmy na nie tak silnie uodpornieni, że zażycie któregośkolwiek może wywołać u nas gwałtowne torsje.

Zacząłem przełykać ślinę, walcząc z mdłościami, jakie wywoływał we mnie zapach cyro. Mógł on jednak świadczyć tylko o tym, że gdzieś przede mną znajdował się, lub nadal się znajduje, ktoś jeszcze oprócz śpiących. Od tej chwili posuwałem się naprzód ze zdwojoną ostrożnością.

Korytarz kończył się ślepą ścianą, lecz wtedy zauważyłem po prawej stronie jakieś przejście, a na jego końcu silniejszy blask. Wyszedłem na okolony niską barierką balkon nad następną olbrzymią salą. Ta z kolei częściowo znajdowała się pod gołym niebem. W oddali lśniły w słońcu stateczniki statku kosmicznego, jakby z jednej strony jaskinia wychodziła na lądowisko.

Z balkonu nie można było zejść na dół. Roztaczał się jednak z niego doskonały widok. A było na co popatrzeć. Z jednej strony piętrzyła się sarta skrzyń i pudeł podobnych do tych, jakie stały w komnatach. Wieka wielu z nich były strzaskane, jakby je podważono. Trochę dalej dwa roboty zamykały kontener transportowy.

Po prawej stronie wznosiła się plastikowa kopuła namiotu takiego typu, jaki służył badaczom za podstawowe schronienie w obozie. Ten był zamknięty. Przed nim na odwróconych skrzynkach siedziało dwóch mężczyzn. Jeden mówił coś do urządzenia nagrywającego na nadgarstku. Drugi trzymał na kolanie tabliczkę kontrolną, przyglądając się dwóm robotom pracującym przy kontenerze. W zasięgu wzroku nie było nikogo więcej.

Usiłowałem ocenić rozmiary statku na podstawie widzianych fragmentów stateczników i doszedłem do wniosku, że musi być przynajmniej wielkości „Lydis”, może nawet większy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że byłem świadkiem świetnie zorganizowanej i zakrojonej na szeroką skalę akcji i że trwała ona już od dłuższego czasu.

Najmniej mi teraz zależało na zwróceniu na siebie ich uwagi. Pomyślałem jednak o Maelen... czyżby tam zawędrowała i wpadła w jakąś pułapkę? Paraliżowało mnie niezdecydowanie. Może wystać impuls myślowy? W pobliżu nie było widać żadnych zahibernowanych istot. Nie oznaczało to jednak, że jeden z tych, których uprzednio widziałem, nie mógł służyć rabusiom za obronę lub system ostrzegawczy.

Wciąż się wahałem, kiedy z zewnątrz wszedł jakiś człowiek. Był to Griss Sharvan!

Griss... Wciąż nie mogłem pogodzić się z tym, że współuczestniczył w tej akcji, ani że z własnej nieprzymuszonej woli przeszedł na stronę wroga. Zbyt długo go znałem, poza tym był przecież Wolnym Kupcem. Mimo to poruszał się swobodnie i nic nie wskazywało na to, żeby był jeńcem.

Podszedł do dwóch mężczyzn przy namiocie. Ten, który coś nagrywał, szybko się zerwał, to samo zrobił jego towarzysz. Sprawiali wrażenie podwładnych w obecności przełożonego. Co się stało z Grissem?

Nagle oderwał od nich uwagę. Podniósł głowę i popatrzył prosto... na mnie! Schowałem się za niską barierką balkonu. Zachowanie Grissa świadczyło o tym, że odkrył niebezpieczeństwo i doskonale wie, gdzie się ono czai.

Zacząłem się czołgać w kierunku tunelu, którym przyszedłem. Nie dotarłem jednak do niego. Poraziło mnie bowiem coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłem, chociaż stykałem się nie raz z różnymi rodzajami zdolności paranormalnych.

Straciłem władzę nad ciałem. Miałem uczucie, jakby mój umysł został uwięziony wewnątrz robota, który posłusznie wykonywał polecenia przekazywane przez tabliczkę sterującą. Wstałem, odwróciłem się i pomaszerowałem z powrotem do miejsca, skąd mogli mnie zobaczyć wszyscy trzej mężczyźni na dole.

Griss uniosł rękę i wskazał mnie palcem. Ku mojemu ogromnemu zdumieniu, uniosłem się w powietrze, przeleciałem nad murem i zacząłem opadać. Wszystko to działo się tak, jakbym miał przy sobie aparat antygravitacyjny. Nie mogłem też wyrwać się z uścisku tej przemożnej siły, która mnie krepowała.

Ta energia postawiła mnie wreszcie na posadzce jaskini. Stałem tam jak więzień, kiedy ci dwaj, którzy nadzorowali załadunek, zbliżyli się do mnie. Griss nie ruszył się z miejsca, nadal mierzając palcem w moją głowę, jakby jego ciało stało się bronią oplatającą mnie.

Mężczyzna, który wciąż trzymał tabliczkę sterującą robotami, drugą ręką wyrwał mi miotacz z dłoni. Nawet wtedy moje ręce nie drgnęły, lecz nadal tkwiły w takiej pozycji, jakbym ścisnął kolbę broni. Drugi złodziej wydobył prawdziwy oplątywacz i omotał mnie

jego mocną siecią. Kiedy skończył, Griss opuścił rękę i przymus zniknął, tyle że nie miałem już szans się uwolnić. Nogi zostawili mi wolne — rabus z oplątywaczem chwycił mnie za ramię i pchnął brutalnie w stronę Grissa.



## KRIP VORLUND

Tylko że to nie Griss Sharvan stał przede mną. Ten ktoś — albo coś — nosił ciało Grissa, tak jak nosi się ciepły kombinezon. Domyśliłem się tego, gdy tylko spotkały się nasze spojrzenia. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, nie przeżyłem zbyt wielkiego wstrząsu, ponieważ z własnego doświadczenia wiedziałem, że taka zamiana jest możliwa.

Niemniej jednak tej przemiany nie dokonano przez wzgląd na wiedzę lub dla ratowania życia, jak to czynili Thassowie. Oni nie byli tak obcy naszemu gatunkowi jak ta osobowość, która weszła do umysłu Grissa. Przed oczami mignęła mi przerażająca, istota o ludzkim ciele i złowrogo gadziej głowie; mieszanka cech, które budziły wstręt.

Tylko przez ułamek sekundy odbierałem ten mentalny obraz; potem wszystko zniknęło. Jednakże w tej samej chwili błysnęło mi w głowie zaskoczenie i niedowierzanie — nie moje, lecz tego kosmity. Odniosłem wrażenie, jakby był zdumiony faktem, że w ogóle odebrałem ten obraz, gdyż jego prawdziwa natura była ukryta tak głęboko, że nie powinna była się zdradzić.

— Witaj, Kripie — głos był Grissa. Wiedziałem jednak dobrze, że te powolne, bezbarwne brzmiące słowa wyrażały cudze myśli. Nie odważyłem się na skanowanie jego umysłu, gdyż instynkt mi podpowiadał, że byłaby to najniebezpieczniejsza rzecz, jaką mogłem zrobić.

— Ilu jest z tobą?

Przechylił głowę na bok, sprawiając wrażenie, że słucha. Chwilę później się uśmiechnął.

— Jesteś więc sam? To bardzo nierozsądne z twojej strony. Zresztą nawet cała załoga nie mogłaby nam nic zrobić. Gdyby jednak zechcieli sami przyjść, zaoszczędziliby nam sporo kłopotów. Pomimo to jeden więcej to dobry początek.

Zatopił wzrok w moich oczach, lecz wyciągnąłem dostateczną naukę z poprzednich doświadczeń, aby posłużyć się pełną mocą mojego talentu i wznieść mentalną barierę. Poczułem, że ją bada, ale o dziwo, nie próbował jej sforsować. Domyśliłem się, że gdyby chciał, mógłby bez trudu pozbawić mnie wszelkiej osłony, zawładnąć moim umysłem i poznać wszystko, co chciałem przed nim zataić. Był mistrzem telepatii, przypuszczalnie takim jak Starsi Thassów, dużo potężniejszym ode mnie.

— Początek — powtórzył. Potem podniósł rękę aroganckim gestem, kiwając na mnie zakrzywionym palcem. — Chodź!

Nie miałem najmniejszej szansy sprzeciwić się temu rozkazowi. Znów podążyłem bezwolnie za nim. Kiedy przemierzaliśmy tę podobną do groty komnatę, ani razu nie odwrócił głowy, żeby sprawdzić, czy idę za nim, lecz swobodnie kluczył wśród skrzyń.

Dotarliśmy w końcu do kolejnych drzwi. Za nimi było przejście, w którym światło znów ustąpiło miejsca temu szaremu półmrokowi, który panował na górze. Korytarz zakręcał kilkakrotnie. W jego ścianach były otwarte drzwi, lecz wszystkie pomieszczenia ziały pustkami.

Było oczywiste, że istota nosząca ciało Grissa nie ma wobec mnie dobrych zamiarów. Uznałem, że jedynym sposobem obrony przed tym przerażającym niebezpieczeństwem będzie wyciszenie wszystkich zdolności ponadmysłowych i poleganie wyłącznie na pięciu zmysłach mojego ciała. Wytężałem je więc z całych sił, aby nabrać jakiegoś wyobrażenia o okolicy, przez którą szliśmy.

W powietrzu unosił się jeszcze nikły zapach cyro, lecz wkrótce przestał być wyczuwalny. Została po nim jedynie nieokreślona woń, której nie potrafiłem nadać nazwy. Wzrok chwycił korytarz i puste pokoje po obu stronach. Dźwięk... słychać było ciche skrzypienie butów o kamienną posadzkę i jeszcze cichszy szmer mojego oddechu — nic więcej.

A gdzie była Maelen? Może zamknięto ją w namiocie? Kiedy tylko myśl o niej błysnęła mi w głowie, natychmiast przegrałem ją ze swojej świadomości. Jeśli Maelen jeszcze nie znaleziono, nie wolno mi jej zdradzić.

Mój prześladowca spojrzał na mnie przez ramię. Przeszły mnie ciarki. Śmiał się bezgłośnie, całe jego ciało trzęsło się w potwornej parodii szczerej wesołości, jaką zna mój gatunek. Jego twarz wykrzywił grymas upiornej i przerażającej radości — gorszy niż skurcz wywołany cierpieniem albo wściekłością.

Nie próbował jednak niczego powiedzieć, ani słowami, ani telepatycznie. Nie wiedziałem, czy dzięki temu jego niegodziwy śmiech, ten bezgłośny, szydyczny chichot, było łatwiej znieść czy trudniej — przypuszczalnie to drugie. Nadal parszkając śmiechem, wszedł do jednego z pomieszczeń, a ja, wciąż będąc bezsilnym jeńcem, poszedłem w ślad za nim.

W środku świeciło takie samo szare światło jak na korytarzu, lecz komnata była pusta. Mój prześladowca podszedł szybkim krokiem do ściany z lewej strony. Znów uniósł rękę z wyprostowanym palcem, tak jak wtedy, gdy wziął mnie do niewoli. Jeśli nawet nie dotknął powierzchni kamienia, był tego bardzo bliski. Zaczął rysować ciąg skomplikowanych linii. W miarę tego, jak poruszał palcem, na ścianie rozjarzała się połyskliwa, splątana nić.

Wiedziałem, że był to symbol. Istnieją osobiste zamki, które otworzyć może tylko ciepło ciała i odcisk kciuka osoby, która je zamknęła. Przypuszczalnie ten znak, który teraz widziałem, był bardzo wyrafinowaną postacią takiego zabezpieczenia, które ożywało tylko pod wpływem skupionej na nim siły woli.

Obcy narysował wzór z ostrych kątów i kresek, które wydawały mi się nie tylko zniekształcone, lecz budziły swym wyglądem niepokój, jakby podlegały prawom tak obcym, że ludzkie oko nie mogło na nie patrzeć bez lęku. Mimo to nie potrafiłem od nich oderwać wzroku.

Kosmita wydawał się wreszcie zadowolony ze skomplikowanego wzoru splecionych i przecinających się linii. Teraz jego wyciągnięty palec wskazywał sam środek rysunku. Ten gest widocznie otworzył ukryty zamek.

Rozległ się zgrzyt protestu, jakby zbyt wiele czasu upłynęło od chwili, gdy jakiś mechanizm ostatni raz działał. W murze ukazała się biegnąca przez środek wzoru szczelina o równych krawędziach. Połówki ściany rozsunęły się na boki, tworząc wąskie przejście. Obcy bez wahania wszedł do środka, a ja znów zmuszony byłem pójść w jego ślady.

W pomieszczeniu panował mrok, a światło sączące się z komnaty za nami zgasło raptownie, kiedy szczelina się zamknęła. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajdowaliśmy, może w kolejnej sali albo korytarzu. Ta siła, która mnie zniewoliła, nie pozwalała mi jednak się zatrzymać. Z cichych odgłosów wywnioskowałem, że mój przewodnik szedł tak pewnie, jakby kroczył oświetloną i dobrze znaną drogą.

Powściągałem wodze wyobraźni, która aż nazbyt chętnie podsuwała mi obrazy wszystkiego, co mogło znajdować się pod moimi nogami, po obu stronach, a nawet nad głową. Stąd nie było ucieczki. Powinienem się opanować i oszczędzać siły na czas, kiedy będę miał jakieś szansę w walce z istotą, która egzystowała w ciele Grissa Sharvana.

Wędrowka w absolutnej ciemności i pod wpływem cudzej woli zakłóca poczucie czasu. Minuty zdawały się upływać wolniej niż w rzeczywistości, albo szybciej — nie potrafiłem tego określić. Wydawało mi się, że idziemy od bardzo dawna, lecz mogło wcale tak nie być.

Potem zabłysło światło!

Zamknąłem oczy, oślepiony wybuchem rażącego koloru. Zamrugąłem, znów zamknąłem oczy, a potem je otworzyłem...

Staliśmy w komnacie o czterech nachylonych ścianach, które zbiegały się w punkcie szczytowym wysoko nad naszymi głowami. Ściany te były przejrzyste, więc wydawało się, że stoimy w kryształowej sali o kształcie piramidy.

Za tymi przezroczystymi szybami rozciągały się cztery pomieszczenia. Każde miało swojego mieszkańca, nieruchomą, nie oddychającą istotę, która pomimo to nie wydawała się posągiem, ale żywym — albo niegdyś żywym — stworzeniem zamartwym w kompletnym bezruchu.

Mówię „stworzeniem”, bo wprawdzie zakonserwowane istoty za ścianami były na pozór ludźmi przynajmniej dziewiątego stopnia, ale kiedy na nie patrzyłem, doznawałem wrażenia, że przebywająca w nich jaźń jest absolutnie nieludzka. Wyczułem to w trzech z nich. Co się tyczy czwartego — przyglądałem mu się najdłużej — odgadłem prawdę, zmuszony wstrząsem do zastosowania penetracji myśli.

Griss — to był Griss! Tak mocno skrepowany więzami tego ciała jak ja sznurami oplątywacza. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, co go spotkało, lecz był na tyle przytomny, żeby móc przeżywać niekończący się koszmar na jawie. Jak długo jego umysł zdoła to wytrzymać...

Oderwałem od niego wzrok z obawy, że ściągnę na siebie przytłaczający ciężar jego strachu w chwili, gdy potrzebowałem trzeźwego umysłu. To by mu nie pomogło. Zmusiłem się natomiast do uważniejszego przyjrzenia się pozostałym trzem istotom, które tam spoczywały.

Pokoje były urządzone w kunsztownym stylu, wyposażone w rzeźbione meble wysadzone drogimi kamieniami. W dwóch stały wąskie łóża, których podpory miały kształt nieznanych zwierząt lub ptaków; w dwóch krzesła trochę podobne do Tronu Qura. Stoły z małymi pudełkami; kufry.

Oraz — mieszkańcy. Ciała, które widziałem w hibernatorach, były nagie, lecz wszystkie te istoty nosiły hełmy lub korony. Miały także brwi i rzęsy. Każda korona wyglądała inaczej i przedstawiała jakieś groteskowe stworzenie. Jeszcze raz szybko rzuciłem okiem na ciało, do którego przeniesiono jaźń Grissa.

Korona, która spoczywała na jego czole, miała brązowo-żółtą barwę i kształt jaszczurczego łba o szerokich szczekach. Przypominała głowę, którą ujrzałem w odebranym wcześniej psychicznym przekazie. Ten kosmita siedział na krześle, lecz istota za następną ścianą leżała na wąskim posłaniu, a jej głowa i barki spoczywały na podglówku z ozdobnej tkaniny. Trzecia znów siedziała. Korona drugiego kosmity miała kształt ptaka, a trzeciego jakiegoś zwierzęcia o ostrym pysku i sterczących uszach.

Czwarte z tych ciał należało jednak do kobiety! Żaden z obcych nie nosił niczego poza koroną. Ich ciała były nieskazitelne, zbliżone do ideału piękna mojej rasy. Nigdy nawet nie śniłem, że może istnieć ucieleśnienie takiej doskonałości, jakim była ta kobieta. Spod

diademem spływały włosy, które okrywały ją niemal do kolan. Miały kolor czerwieni tak głębokiej i ciemnej, że wydawały się prawie czarne. Na głowie nosiła koronę nie tak masywną jak te, które zdawały się ciążyć jej towarzyszom, lecz raczej obręcz, z której wyrastał rząd sztywno sterujących, choć nierównych i niedopasowanych włókien. Potem zauważyłem, że każde zakończone było niewielką głową stworzenia z rysunku na ścianie urwiska. Każdy z tych łebków miał oczy z drogocennych kamieni.

Gwałtownie wciągnąłem powietrze. Kiedy spojrzałem wprost na kobietę, kocie głowy jej korony zaczęły się poruszać, odwracać, unosić, aż wszystkie stanęły sztywno zwrócone pyskami na zewnątrz, jakby ich kamienne ślepia mierzyły mnie bystrym wzrokiem.

Oczy kobiety były jednak utkwione w przestrzeni za mną, jakbym był tak oddalony od jej wewnętrznego świata, że w ogóle dla niej nie istniałem.

Ktoś chwycił mnie za ramię i obrócił twarzą do siedzącego kosmity w zwierzęcej koronie. Usłyszałem głos Grissa:

— Bacność! To wielki zaszczyt dla twojego nędznego ciała. Będzie je nosić... — Jeśli zamierzał wymówić jakieś imię, nie uczynił tego. Sądzę, że przerwał w pół słowa z ostrożności.

Istnieje takie wierzenie, głównie wśród ludów prymitywnych, że zdradzając komuś swoje prawdziwe imię, zdaje się tym samym na jego łaskę. Nie mogłem jednak uwierzyć, że spotkam się z takim przesądem wśród obcych o tak wyraźnie wysokim poziomie cywilizacyjnego zaawansowania.

Nie miałem jednak żadnych wątpliwości, że zamierza mnie teraz zmusić do takiej zamiany, jakiej poddał Grissa. Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek czuł tak wielkie przerażenie.

Obcy chwycił mnie od tyłu za głowę i trzymał w żelaznym uścisku, zmuszając do patrzenia w oczy istocie za ścianą. Nie było mowy o tym, żeby z nim walczyć, przynajmniej nie siłą. Mimo to wciąż mogłem stawiać opór i zamierzałem to uczynić! Zmobilizowałem wszystkie swoje siły ponadmysłowe, odwołałem się do najgłębszego poczucia tego, kim i czym jestem. Ledwo zdążyłem to zrobić, kiedy nastąpił atak.

Nie było to brutalne ogłuszenie, jak ten paraliżujący cios, który spadł na mnie w pobliżu statku, lecz raczej ostre pchnięcie, wymierzone z arogancką pewnością siebie. Zdołałem się przed nim obronić bez użycia całej swojej mocy.

Nie odczułem w tym momencie zaskoczenia drugiej strony, niemniej jednak presja gwałtownie ustąpiła. Miałem wrażenie, że istota w zwierzęcej koronie, zdumiona zastaniem oporu tam, gdzie się go nie spodziewała, zaniechała chwilowo swoich wysiłków, aby

zastanowić się nad tym, z czym faktycznie miała do czynienia. Ja tymczasem skorzystałem z tej bardzo krótkiej chwili wytchnienia i przygotowałem się na następny atak, z pewnością dużo silniejszy i gorszy.

Nadeszła napaść. Nie byłem już świadomy niczego na zewnątrz, jedynie wewnętrznego zamętu, w którym jedna spiętrzona fala woli za drugą biły o jakiś maleńki okruch mojej osobowości, usiłując przerwać ostatnią obronę i wziąć moje wewnętrzne ja w niewolę. Wytrzymałem jednak i wiedziałem, że istota w koronie była tym zdumiona. Doznawałem jednego wstrząsu po drugim, lecz nie utonałem, nie przepadłem, nie dałem się porwać. Wtedy poczułem jej rosnącą wściekłość i niepewność. Byłem też pewny, że fale presji psychicznej nie były już tak silne, że cofały się coraz szybciej i dalej, tak jak przypływ oddala się od klifowego wybrzeża, które znosi bezlitosne ataki morza, a mimo to wciąż stoi.

Odzyskałem świadomość tego, gdzie się znajduję. Stałem z głową wciąż unieruchomioną w uścisku, oko w oko z kosmitą za ścianą. Jego twarz była nadal pozbawiona wyrazu, a jednak wydawała się jednocześnie wykrzywiona ohydny grymasem gniewu zrodzonego z bezsilności.

— On się nie nadaje! — Głos, który dźwięczał w mojej głowie, był prawie wrzaskiem i sprawiał ból intensywnością wyrażanych emocji. — Zabierz go stąd! On jest niebezpieczny!

Mój prześladowca obrócił mnie gwałtownie. Twarz była Grissa, lecz nie jej wyraz. Odbijała się na niej paskudna, wściekła złość, jakiej prawdziwy Griss nigdy nie znał. Pomyślałem wtedy, że mnie chyba zastrzeli. Najwyraźniej miał jednak wobec mnie inne zamiary, gdyż nie wyciągnął miotacza zza paska, lecz pchnął mnie mocno w plecy, aż się zatoczyłem i uderzyłem w kryształową ścianę, za którą leżała kobieta, jeśli w ogóle była kiedyś kobietą.

Zakończone kocimi głowami czułki jej korony zadrżały i pochyliły się, ich ślepia błyszczały chciwie, kiedy mi się przyglądały. Padłem na kolana, jakbym składał hołd obojętnej królowej. Ona jednak spoglądała niewidzącymi oczami w przestrzeń ponad moją głową.

Kosmita postawił mnie na nogi i kolejnym szturchańcem skierował w stronę wąskiej szpary drzwi w pobliżu jednego z narożników sali. Potem powtórnie pogrążyłem się w kompletnej ciemności korytarza, tym razem idąc przed swym prześladowcą.

Nie dane mi jednak było przejść całą trasę z powrotem; nie zaszliśmy daleko w mroku tak gęstym, że nieomal można go było poczuć, gdy znów mnie pchnięto w prawo. Nie uderzyłem w ścianę, lecz szedłem dalej, szorując jednym ramieniem o jakąś gładką powierzchnię.

— Nie wiem, kim jesteś, Kripie Vorlundzie — dobiegł z ciemności głos Grissa. — „Thassem”, mówi ten biedny głupiec, którego powłokę noszę. Najwyraźniej należysz do jakiejś innej rasy, która potrafi częściowo się oprzeć naszej woli. Nie czas jednak teraz na rozwiązywanie zagadek. Jeśli przeżyjesz, może później dostarczysz nam intrygującej zabawy. Jeśli przeżyjesz!

Rozpaczliwie szukając wszelkich wskazówek, jakie mogłyby mi się przydać w tej ciemności, odniosłem wrażenie, że jego głos brzmiał słabiej, jakby dochodził z oddali. Potem królowały już tylko mrok i cisza, na swój sposób równie przytłaczająca jak ciemność, która mnie oślepiła. Nie musiałem już słuchać nakazów, byłem tak swobodny, jakbym zerwał się z uwięzi. Ciasne zwoje oplątującego mnie sznura wciąż jednak krępowały mi ręce i przyciskały je mocno do boków tułowia.

Wyteżyłem słuch, starając się nawet oddychać najciszej, jak mogłem, żeby nie zagłuszyć żadnego dźwięku. Nic... tylko potworny ciężar dławiącej ciemności. Powoli odsunąłem się na odległość jednego, potem drugiego kroku od ściany, która była moim jedynym punktem odniesienia. Jeszcze dwa... trzy... kroki i wpadłem na kolejny mur. Gdybym tylko miał władzę w rękach, byłoby mi trochę łatwiej, ale na to nie mogłem liczyć.

Poruszając się w tak utrudniony sposób, ustaliłem wreszcie, że niewielka przestrzeń, w której się znajdowałem, musiała być zakończeniem kolejnego korytarza. Stwierdziłem, że nie jestem w stanie wrócić drogą, którą przyszedłem — jeśli zmysł przestrzeni całkiem mnie nie mylił — gdyż ta została odcięta, chociaż nie słyszałem, żeby zamknęły się jakieś drzwi. Zostały tylko trzy ściany i otwarta przestrzeń z czwartej strony. Droga tamtędy przypuszczalnie prowadziła do nieskończonej ilości możliwych pułapek, musiałem jednak zaryzykować.

Powoli sunąłem na oślep przed siebie, prawym ramieniem stale dotykając muru, gdyż musiałem mieć jakiś punkt odniesienia. Nie znalazłem drzwi ani innego otworu; wciąż tylko ta sama, gładka powierzchnia, o którą moja ciepła kurtka ocierała się z cichym szelestem. I tak bez końca...

Padłem z nóg ze zmęczenia — co więcej, dręczył mnie głód, a moje usta i gardło były tak suche z pragnienia, jak pył zaścielający dolinę. Świadomość, że miałem przy sobie środki do złagodzenia wszystkich tych dolegliwości, podwajała jeszcze moje cierpienie. Nie było sensu szarpać więzów; w ten sposób zacisnęłyby się tylko jeszcze mocniej. Dwukrotnie poślizgnąłem się i upadłem na posadzkę. Korytarz był tak wąski, że musiałem podciągać kolana pod brodę, kiedy chciałem odpocząć, gdyż czubkami butów zawadzałem o przeciwną ścianę. Podnoszenie się potem wymagało tyle wysiłku, że po ostatnim upadku pomyślałem, iż

muszę trzymać się na nogach i iść bez przerwy, łudząc się nadzieją na przetrwanie. Gdybym bowiem jeszcze raz upadł, mógłbym nie mieć już siły wstać.

Wlokłem się bez końca, jak w jednym z tych koszmarów, w którym człowiek zmuszony jest brnąć w błocie, w którym grzęźnie przy każdym kroku, a z tyłu nieubłaganie zbliża się pościg. Wiedziałem, kim był mój prześladowca — to moja własna słabość.

Poruszałem się teraz prawie jak we śnie. Cztery istoty w koronach... Griss Sharvan, który nie był sobą, Maelen...

Maelen! Zapomniałem o niej podczas tych ciężkich przeżyć w kryształowej sali. Kiedy spróbowałem odtworzyć jej obraz w myślach, zmieniła się w kogoś innego. Maelen o długich, rudych włosach... Rudych! Przecież Maelen miała srebrzyste włosy Thassów, podobne do tych, które krótko przystrzyżoną gęstwiną porastały moją własną głowę. RUDE WŁOSY — kobieta w kociej koronie! Wzdrygnąłem się. Czy to możliwe, żebym wciąż częściowo znajdował się pod wpływem owej zniewalającej siły, spod władzy której mnie uwolniono?

Maelen. Pracowicie odtworzyłem w umyśle obraz, który przedstawiał ją w ciele Thassy. Ogarnięty rozpaczą i zwątpieniem, czy kiedykolwiek usłyszę jej odpowiedź, posłałem do niej komunikat myślowy.

— Krip, och, Krip!

Impuls zabrzmiał czysto i wyraźnie, jakby krzyknęła głośno z radości, że po długich poszukiwaniach wreszcie się spotkaliśmy. Nie dowierzałem naszemu szczęściu.

— Maelen? — Jeśli można szeptać myślami, właśnie to zrobiłem.

— Krip, gdzie jesteś? Chodź... chodź...

Słyszałem wyraźnie, nie myliłem się, nie zostałem wprowadzony w błąd. Była gdzieś niedaleko, inaczej impuls nie byłby tak silny. Wziąłem się w garść i odpowiedziałem jej najszybciej, jak mogłem.

— Nie wiem, gdzie się znajduję. Wiem tylko, że w bardzo ciemnym i wąskim korytarzu.

— Zaczekaj... wymów moje imię. Podaj mi zamiary! Posłusznie wykonałem polecenie, czyniąc z jej imienia rodzaj psychicznego zaklęcia. Wiedziałem, że z imieniem rzeczywiście wiąże się moc, gdyż mając taki punkt odniesienia, można nawiązać trwały kontakt myślowy.

— Chyba już mam. Idź prosto przed siebie.

Nie trzeba mnie było dłużej zachęcać; przyspieszyłem kroku. Nadal musiałem jednak dotykać ramieniem ściany, gdyż obawiałem się zgubić w mroku. Dobrze, że tego nie



zaprzestałem, bo nagle nastąpiło kolejne przejście z ciemności do światła, wystarczająco raptowne, żebym na chwilę stracił wzrok. Oparłem się o mur i zamknąłem oczy.

— Krip!

Słyszałem ją tak głośno, jakby stała przede mną!

Podniosłem powieki. To była prawda. Jej czarne futro było matowe i przyprószone pyłem. Chwiała się, jakby ledwo mogła utrzymać się na nogach. Na jednej skroni widniała plama zakrzepłej krwi. Ale żyła.

Osunąłem się wzdłuż ściany na kolana i podpełzłem do niej. Maelen jednak padła na podłogę, jakby siły już całkiem ją opuściły. Przez zapomnienie targnąłem więzy i jęknąłem, kiedy zacisnęły się jeszcze mocniej, sprawiając mi ból.

— Maelen!

Leżała na kamiennej posadzce z głową opartą na łapach, zupełnie jak na swojej koi na pokładzie „Lydis”. Teraz jednak oczy miała zamknięte, jakby sprowadzenie mnie wyczerpało ją ostatecznie.

Sądząc po wyglądzie, potrzebowała jedzenia i wody bardziej niż ja. Nie mogłem jednak przyjść jej z pomocą, dopóki ona nie pomoże mnie. Nie wiedziałem jednak, czy będzie w stanie.

— Maelen, przy pasku mam nóż...

Było to jedno z tych narzędzi, bez których nie może się obejść żaden poszukiwacz przygód na nieznanym planecie.

Maelen otworzyła oczy, spojrzała na mnie. Powoli uniosła łeb, jakby ten ruch sprawiał jej ból albo był tak męczący, że ledwo mogła go wykonać. Nie potrafiła wstać na nogi i ze skomleniem podczołgała się do mnie na brzuchu.

Oparła się o mnie i zadarła głowę; szturchała mnie w bok zakurzonym pyskiem, trącając nosem w mój pasek. Niegdyś tak pełna wdzięku, teraz tak niezgrabna i niezdarna, powoli wyciągała nóż z uchwytu, chociaż odwracałem się i wyginałem, jak tylko mogłem, żeby jej pomóc.

Narzędzie długo leżało w kurzu (przynajmniej tak mi się zdawało), zanim spuściła łeb, chwyciła w pysk jego rękojeść i przysunęła ją do najniższej pętli więzów oplątywacza. Dwukrotnie nóż jej się wyslizgiwał i spadał ze stukiem na posadzkę, zanim zdołała nacisnąć przycisk, który włączał ostrze energetyczne. Robiło mi się słabo, kiedy zmuszony byłem bezsilnie się przyglądać jej męczarniom.

Pomimo to uparcie ponawiała próby i wreszcie dopięła swego. Ostrze energetyczne wbiło się dość mocno w grubą sieć, żebym zdołał się z niej oswobodzić kilkoma

gwałtownymi ruchami. Raz przerwane więzy skurczyły się i opadły, gdyż taka jest ich natura. Odzyskałem swobodę ruchów. Ręce jednak miałem zdrętwiałe i trudno mi było je unieść, a powrót krążenia sprawiał ból. Mimo to zdołałem wyciągnąć prowiant z torby na zapasy. Trzymając go pod ręką, przyciągnąłem Maelen bliżej do siebie, oparłem jej głowę na swoich kolanach i wlałem strużkę wody do jej spierzchniętego, oblepionego kurzem pyska.

Przełknęła jeden łyk, potem następny. Odłożyłem pojemnik z wodą, sam oblizując wargi, odkręciłem tubkę z pokarmem regenerującym i wcisnąłem jej półpłynną zawartość do pyska Maelen. Nakarmiwszy ją połową tej wzmacniającej substancji odżywczej, sam ugasiłem pragnienie i zaspokoilem głód, który szarpał moimi wnętrznościami.

Siedząc tak z głową Maelen na kolanach i przyciskając tubkę do warg, rozejrzałem się po raz pierwszy. Znajdowaliśmy się w kolejnej komnacie o kształcie piramidy, chociaż ta nie miała wierzchołka, lecz w połowie wysokości przecięta była kwadratowym sklepieniem, dużo mniejszym od podłogi.

Również ściany nie były kryształowe, lecz kamienne. Występ, na którym siedzieliśmy, znajdował się mniej więcej w połowie wysokości między sufitem a posadzką. Odwróciłem głowę, żeby zobaczyć, którędy wszedłem. Niczego jednak tam nie było — zupełnie niczego! Przypomniałem sobie szybkie przejście z ciemności do światła, zupełnie jakbym wszedł za kurtynę.

Pośrodku półki znajdowały się bardzo strome schody, które wiodły na dół. Na podłodze stał szereg kolumn, małych i dużych, o różnych wysokościach. Szczyt każdego filaru wieńczyła kula z jakiejś nieprzejrzystej substancji, która nie była kamieniem. W samym sercu każdej z nich mrugało nikłe światełko.

Głoby były barwne: czerwone, niebieskie, zielone, żółte, potem fioletowe i pomarańczowe, o nieco bledszej tonacji. Najjaśniejsze odcienie znajdowały się najbliżej ścian, a intensywność kolorów rosła w miarę zbliżania się do centrum. Środkowa kula była bardzo ciemna, prawie czarna.

Na powierzchni jaśniejszych i silniej świecących globów wyryto jakieś znaki. Kiedy przyjrzałem się im, niektóre poznałem — wśród symboli był gadzi łeb podobny do korony na czole istoty, w której ciele uwięziono Grissa; zobaczyłem też głowę zwierzęcia, ptaka i na samym końcu pysk kota. Nie umiałem jednak odgadnąć sensu ani przeznaczenia tych rysunków. Oparłem się o ścianę; Maelen leżała bez ruchu. Pomyślałem, że zapadła w sen, i nie chciałem jej budzić.

Ja też potrzebowałem snu. Zamknąłem oczy, odcinając się od mdłego światła. Niewątpliwie powinienem czuwać, gdyż znajdowaliśmy się w samym sercu terytorium

wroga. Tym razem nie mogłem się jednak oprzeć żądaniom mojego ciała. Powieki mimowolnie mi się zamknęły i usnąłem.

## KRIP VORLUND

Teraz Maelen stała przede mną nie w postaci zwierzęcia, lecz kobiety, którą poznałem na Yiktor. W dłoni trzymała białą różdżkę, która była w tych czasach jej bronią, i którą później odebrali jej Starsi. Nie patrzyła na mnie, lecz na nachyloną kamienną ścianę, i zrozumiałem, że wciąż znajdujemy się w tunelach pod powierzchnią Sekhmet. Posługiwała się tą różdżką w taki sposób, w jaki ludzie obdarzeni szczególnymi zdolnościami ponadmysłowymi szukają pod ziemią wody lub przedmiotów obrobionych ludzką ręką.

Tylko że różdżka nie była skierowana ku ziemi, lecz sterczała prosto. Maelen trzymała ją w ręku prawie tak, jakby obdarzona była jakąś własną energią, zdolną pociągnąć ją za sobą, i kroczyła naprzód. W obawie, że znów ją zgubię, nawet we śnie, podążyłem w ślad za nią.

Różdżka dotknęła ściany i przeszkoda zniknęła. Wkroczyliśmy w przestrzeń, która nie miała granic i w której nie istniała materia. Wreszcie znaleźliśmy się w jakiejś komnacie. Po rozejrzeniu się już wiedziałem, gdzie byliśmy, chociaż tym razem stałem po drugiej stronie kryształowej ściany.

Oto wąskie łóżce, wsparte na czterech kocich stworzeniach, na którym leżała kobieta. Wyposażone w oczy z klejnocików głowy jej diademu uniosły się sztywno na swych cienkich czułkach. Nie zwróciły się ku Maelen, lecz raczej wiły się i wykonywały szybkie wypady na całą długość włókien, które łączyły je z obręczą na rudych włosach kobiety. Wydawało się, że są zaniepokojone.

Maelen nie zwracała uwagi na te gwałtowne, niemal gorączkowe ruchy czułków korony. Zbliżyła się do krawędzi łoża. Jej różdżka wskazywała ciało kobiety, jej wzrok był skupiony, badawczy...

Zerknęła na mnie, dając mi do zrozumienia, że wie, iż poszedłem za nią.

— Pamiętaj o niej w chwili potrzeby... — Jej myśl brzmiała cicho, jakby dzieliła nas wielka odległość, a przecież wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby dotknąć jej ramienia. Wiedziałem jednak, że nie wolno mi tego zrobić.

— Dlaczego? — Jej słowa zdały mi się zbyt niejasne. Nie wątpiłem, że były ważne, ale nie potrafiłem ich zrozumieć.

Nie odpowiedziała, posłała mi jedynie przeciągłe, poważne spojrzenie. Potem znów odwróciła się do kobiety w dziko wijącej się koronie, jakby musiała tak mocno utrwalić sobie w pamięci jej obraz, żeby nawet po stu latach nadal widzieć wszystkie jego szczegóły.

Róźdzka drżała, chwiała się na boki. Widziałem, że Maelen z całych sił trzymają obiema rękami. Wysiłki okazały się nadaremne, gdyż róźdzka wyskoczyła jej z dłoni.

Otworzyłem oczy. Od opierania się o kamienną ścianę zeszywniały mi kark i barki. Przenikał mnie wewnętrzny chłód, przed którym nie chroniło ciepłe ubranie. Pogłaskałem futro przysypane kurzem i żwirem. Spuściłem wzrok. Glassia podniosła łeb znad mojego ramienia, na którym go opierała.

— Maelen? — Ten sen był tak realistyczny, że spodziewałem się niemal zastać ją taką, jaką była jeszcze przed chwilą.

— Spójrz tam!

Wskazała nosem kule. Niektóre świeciły jaśniej, rzucając więcej światła na komnatę. Już po chwili byłem pewny, że nie wszystkie się w ten sposób przebudziły — tylko te z gadzim wzorem.

— Griss! — Nadałem groźbie jedynie imię, jakie znałem.

— Griss Sharvan? — Jej myśl wyraziła zaskoczenie. — Co to ma z nim wspólnego?

— Przypuszczalnie wiele. — Szybko opowiedziałem jej, co mi się przydarzyło od chwili, gdy zostałem pojmany przez obcego, który nosił ciało Grissa, i o wizycie w komnacie o kryształowych ścianach, gdzie zamierzał oddać moje ciało swemu towarzyszowi.

— Ona również tu jest, prawda? — spytała Maelen. Nie mogłem się mylić. Istniała tylko jedna „ona” — kobieta w koronie z kotami.

— Tak! Maelen, właśnie przyśniło mi się...

— Wiem, co to był za sen, gdyż mnie również uwikłał w swoją matnię — znów mi przerwała. — Sądziłam, że nikt nie jest w stanie przewyższyć Thassów mocą wewnętrzną. Najwyraźniej jednak pod pewnymi względami jesteśmy jak dzieci, które bawią się błyszczącymi kamykami i układają wzory na ziemi! Myślę, że te istoty zahibernowano tutaj, żeby uchronić ich rasę przed zaginięciem, kiedyś, w przeszłości. Jednak tylko tych czworo, których widziałeś, przeżyło i jest w stanie powrócić do życia.

— Jeśli więc mogą odżyć, po co im nasze ciała?

— Być może ich własna metoda wskrzeszenia zawiodła, albo może chcą uchodzić wśród nas za istoty naszego pokroju.

— Zawładnąć nami. — Bez trudu mogłem w to uwierzyć. Gdyby rzekomy Griss Sharvan ukrył swoją obcość, może udawał więźnia złodziei, dalibyśmy się oszukać, i przychodząc mu z pomocą, sami sprowadzilibyśmy na siebie nieszczęście. Pomyślałem o ludziach, których zostawiłem na urwisku. Mieli do czynienia z czymś groźniejszym od miotaczy bandytów. Chciałem teraz uciec jak najszybciej, żeby ich ostrzec.

Znalazłem Maelen. Teraz musimy odszukać wyjście, wrócić na „Lydis” albo do oddziału naszych ludzi. Działy się tu rzeczy znacznie poważniejsze i gorsze niż pospolity rabunek!

— Masz rację — Maelen czytała w moich myślach. — Co się zaś tyczy trafienia do wyjścia, nie wiem, jak to zrobić. Czy potrafiłbyś odnaleźć drzwi, którymi wszedłeś?

— Oczywiście! — Wprawdzie nie widziałem żadnego otworu, ale nie miałem wątpliwości, którędy wszedłem na występ. Delikatnie odsunąłem Maelen od siebie i wstałem. Aby upewnić się, że nie przegapię wyjścia, gdyby okazało się zamaskowane, przyłożyłem dłoń do ściany i pomału ruszyłem w stronę miejsca, którędy wszedłem.

Dotarłem do skraju półki. Otworu nie było. Przekonany o swojej pomyłce, a jednocześnie równie pewny, że nie mogłem jej popełnić, powoli się cofnąłem, tym razem obmacując ścianę powyżej i poniżej miejsc, które poprzednio badałem. Wróciłem do Maelen. W litej ścianie nie było żadnego otworu.

— Przecież tędy wszedłem! — wykrzyknąłem i mój protest odbił się głuchym echem od ścian komnaty.

— To prawda. Ale którędy? — Jej pytanie wydawało się kpina z mojego wybuchu.

Potem dodała: — Takie rzeczy się zdarzają. Mnie samej przytrafiło się to dwukrotnie. Dlatego kompletnie straciłam orientację.

— Opowiedz mi o tym! — poprosiłem.

W ten sposób dowiedziałem się, jak wyruszyła z doliny, znalazła uśpionego kosmitę z nadajnikiem i stała się świadkiem okradania magazynu, zupełnie tak, jak się domyślałem. Reszta jej opowieści mówiła jednak o dziwnej podróży, o bitwie jej woli z wolą obcego, która po nią sięgała. Nie po nią osobiście, jak sądziła Maelen; miała wrażenie, że ktoś po prostu zarzuca sieć z nadzieją, że cokolwiek w nią wpadnie.

Owa siła nie działała jednak z jednakowym natężeniem i co jakiś czas mogła ją zwalczyć. Dotarła do miejsca, gdzie stał statek grabieżców, a potem przez jaskinię do głębiej położonych korytarzy. Tam jednak, oszołomiona przyływem i odpływem siły, która ją niewoliła, straciła orientację. Wtedy skontaktowała się ze mną i tym razem podążyła za wezwaniem mojego impulsu myślowego.

— Sądziłam, że Thassowie są odporniejsi na obce wpływy — wyznała szczerze. — Wiele razy mnie ostrzegano, żebym się zbytnio nie pyszniła swoją mocą. Jeśli jednak kiedyś było to prawdą, teraz jest inaczej. Tutaj byłam zabawką w rękach jakiejś nieskończenie potężnej siły, która pozwalała mi się odrobinę oddalić, a potem znów krępowała. Co jednak jest najdziwniejsze w tym wszystkim, przysięgam na Słowo Molastera, że ta potęga, ta

energia, czy cokolwiek to jest, nie uświadamiała sobie mojego istnienia tak, jak ja uświadamiałam sobie jej istnienie. Wydawało mi się, że trenuje tylko, aby przygotować się do użycia całej swej siły kiedyś w przyszłości.

— Tych czworo w środkowej komnacie? — zasugerowałem.

— Być może. Ale mogą być też tylko przedłużeniem jakiejś innej, niewyobrażalnie większej siły. Są bez wątpienia adeptami i to bardzo potężnymi. Jednak nawet mistrz uznaje istnienie czegoś ponad sobą. My wymieniamy w swych prośbach imię Molastera. Jest to jednakże tylko miano, jakie nadajemy czemuś, czego nie potrafimy opisać, lecz co stanowi jądro naszej wiary. Tamci są...

Przerwała domysły w pół słowa. Żółte kule z gadzimi łbami, które ostatnio świeciły coraz jaśniej, zaczęły wydawać niski, brzęczący dźwięk. Wprawdzie był stłumiony, wprawił nas jednak w taki popłoch, że zastygliśmy w bezruchu. Przyczailiśmy się, oddychając płytko i obracając głowy w prawo i w lewo, mając się na baczności przed tym, co mogła zapowiadać ta zmiana.

— Gdzie jest wyjście? — spytałem.

— Może ty będziesz umiał lepiej to odgadnąć niż ja. Podobnie jak ty, przesłama z mroku w jasność i znalazłam tę półkę, lecz nie drogę powrotną. Kiedy odebrałam twą myśl, miałam nadzieję, że poprowadzi mnie w kierunku wyjścia. Stało się jednak inaczej. Ty przyszedłeś do mnie.

— Którędy weszłaś?

Nosem wskazała drugi koniec występu, sporo oddalony od miejsca, gdzie, jak wciąż byłem przekonany, znajdowały się moje drzwi. Podeszedłem tam i znów zacząłem gładzić ścianę palcami, szukając najmniejszego choćby otworu. Nadal miałem nóż, którym Maelen rozcięła moje więzy. Może nim albo którymś z innych narzędzi, jakie nosiłem przy pasku, uda mi się otworzyć zamek, jeśli go tylko znajdę. Żłudna to była nadzieja, lecz człowiek chwyta się nawet takiej.

Brzęczenie kul, które rozlegało się teraz nieprzerwanie, wywierało pewien wpływ na mój słuch. A może na mój proces myślenia wpłynęły jakieś subtelniejsze dźwięki powyżej granicy słyszalności? Dwukrotnie, zaniechawszy poszukiwań, stałem i patrzyłem na globy w dole, a w głowie miałem zupełną pustkę. Trwało to chyba sekundę lub dwie, niemniej jednak budziło przerażenie.

Teraz wydawało mi się, że kule wydzielają jakiś opar. Przerażające rysunki na ich powierzchni rozplywały się. Pomimo to ich zniknięcie wywarło dziwny skutek, dokładnie odwrotny od tego, jakiego można by się spodziewać. Nie widać już było potworów, ich lekko

rozwartych, wydłużonych pysków ani obnażonych potężnych kłów, jednak doznałem uczucia, że tak ukryte bestie były jeszcze bardziej żywe!

— Krip! — Myślowy okrzyk Maelen wyrwał mnie ze stanu, w jakim się pogrążałem. Zdołałem oderwać wzrok, odwrócić głowę ku ścianie. Teraz jednak zdjął mnie strach, że grozi nam niebezpieczeństwo gorsze od tego, jakie podszeptowała nam wyobraźnia.

Lita ściana. Biłem w nią pięścią, zasypując ją gradem coraz szybszych i wścieklejszych ciosów. Jedyne ich skutkiem były sińce i ból. Aż nagle — tak wyraźnie błysnęła mi myśl o drzwiach, tak bardzo ich pragnąłem — że moja pięść przeszła na wylot!

Wzrok mi mówił, że mam przed sobą lity kamień, niezmiennie twardy. Moja ręka zapadła się jednak w nim po nadgarstek.

— Maelen!

Nie musiałem jej wołać, już szła do mnie. Skąd się wzięły te niewidzialne drzwi?

— Myśl o drzwiach — myśl o nich! Wyobraź je sobie! Posłuchałem jej. Drzwi... tu gdzieś były drzwi... jasne, że były. Włożyłem rękę do otworu. Złudzenie mogło mamicić wzrok, lecz nic już nie stanowiło przeszkody dla dotyku. Położyłem drugą rękę na łbie Maelen i zdecydowanym krokiem razem zanurzyliśmy się w ścianie z pozornie litego, zwartego kamienia.

Znów nastąpiło raptowne przejście z jasności w mrok. Jednocześnie brzęczenie natychmiast ucichło, jakby zatrzasnęły się wrota. Wydałem westchnienie ulgi.

— Czy to twoja droga? — spytałem. Co prawda, nie miałem pojęcia, jak miała to poznać po ciemku.

— Nie mam pewności. Zawsze to jednak jakaś droga. Musimy trzymać się razem.

Nie oderwałem dłoni od jej łba, gdy przycisnęła się do mnie. Tak połączeni, szliśmy bardzo powoli i ostrożnie. Drugą rękę trzymałem wysuniętą przed siebie, aby wymacać przeszkody, które mogły się pojawić przed nami.

Wkrótce potem natknąłem się na ścianę i poszedłem wzdłuż niej, póki nie znalazłem kolejnego przejścia po lewej stronie. Dawno już straciłem poczucie kierunku i Maelen zwierzyła mi się, że z nią jest podobnie. Niewiele mogliśmy zrobić, póki nie znajdziemy jakiegoś oświetlonego tunelu. Na samą myśl, że mogłoby to nigdy nie nastąpić, ogarniała nas zgroza.

Nie wiedziałem, czy Thassowie dzielili z moją rasą odwieczny lęk przed ciemnością. Znów ogarnęło mnie uczucie zgniatania i zapierającego dech w piersi ucisku. Tym razem jednak więzy nie przyciskały mi rąk do tułowia.

— Teraz w lewo...



— Dlaczego? Skąd wiesz?

— Wyczuwam z tego kierunku siłę witalną.

Sam spróbowałem zapuścić myślową sondę. Miała rację, skądś biła energia. Nie płynęła silnym strumieniem, jaki kojarzyłem z obcymi istotami, lecz przypominała bardziej emanację, którą wyczuwałem w pobliżu innego członka załogi. A po lewej stronie znajdowały się drzwi.

Nie potrafiłem ustalić, jak daleko byliśmy od komnaty z globami. Światło w korytarzu dodało nam jednak otuchy, a w dodatku stale się nasilało.

Teraz jednak słyhać było jakieś dźwięki. Nie szmery rozmów, lecz raczej brzęk metalu. Maelen przycisnęła się do mnie.

— Przed nami jest ten, który nosi ciało Grissa!

Nie próbowałem użyć psychopolacji. Żałowałem, że nie mogę wręcz zrobić czegoś odwrotnego, tak bardzo zmniejszyć aktywności umysłu, żeby z kolei on nas nie wyczuł. Nie zapomniałem, jak łatwo odkrył moją obecność, kiedy szpiegowałem rabusiów.

— Myśli teraz tylko o jednym — poinformowała mnie Maelen — i używa całej swej mocy po to, aby osiągnąć coś, na czym mu bardzo zależy. Nie musimy się go obawiać, gdyż jest skupiony na realizacji jednego celu.

— Którym jest?

Nie odpowiedziała natychmiast. Potem...

— Użycz mi swojej mocy...

Teraz ja się zawahałem. Każde wzmocnienie impulsu psychicznego, który zamierzała wysłać, mogło nas zdradzić. Mimo to miałem do niej wystarczające zaufania, aby wiedzieć, że nie proponowałyby takiego posunięcia, gdyby nie sądziła, że ma dużą szansę powodzenia. Wyraziłem więc zgodę.

Wysłała sondę, a ja zasilłem ją własną energią. Nieczęsto tak łączyliśmy siły, więc było to dla mnie stosunkowo nowe doświadczenie. Doznałem dziwnego uczucia, że porwał mnie nurt, któremu nie mogłem się oprzeć, a potem pojawił się zamazany obraz myślowy.

Z pozoru unosiliśmy się w powietrzu nad przepaścią, lub raczej znajdowaliśmy się u wierzchołka jednej z komnat w kształcie piramid. Pod nami robot wybijał dziurę u podnóża jednej ze ścian. Ciemna jama ziała tam wcześniej, maszyna ją tylko powiększała.

Za nią stał Griss. Nie miał w rękę tablicy kontrolnej, najwyraźniej potrafił sterować robotem bez jej pośrednictwa. Był całkowicie pochłonięty tym, co robił, jednak gorączkowe pragnienie, które nim kierowało, promieniowało od niego niczym fale radiowe. Nie bronił się, lecz całą uwagę skupił na tym, czego szukał — na prastarym magazynie swojej rasy, który

przypuszczalnie zawierał maszyny albo broń. Jego pragnienie przypominało powiew ozonu. Podmuchał, mówię, gdyż poczułem je tylko przelotnie. Pod ścianą komnaty, sporo powyżej wysokości, na której pracował robot, biegł kolejny występ. Półka prowadziła od jednych drzwi do drugich. Nie potrzebowałem podpowiedzi, żeby się domyślić, że właśnie tędy powinniśmy pójść.

Zupełnie inną sprawą było, czy zdołamy to zrobić w taki sposób, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Do tego czasu otwór wybijany przez robota nabrał sporych rozmiarów. Maszyna odjechała do tyłu i znieruchomiła. Kosmita podszedł szybko do wyrwy i zniknął w jej wnętrzu.

— Teraz!

Puściliśmy się biegiem po oświetlonym korytarzu i już po chwili byliśmy na półce. Znajdowała się tak blisko wierzchołka piramidy, że przeciwległa ściana nachylała się pod bardzo ostrym kątem. Maelen łatwiej było iść tamtędy niż mnie, gdyż nie mogłem się wyprostować i musiałem posuwać się na czworakach.

Nie marnowałem czasu na oglądanie się w stronę dziury, jaką wybił robot. Chciałem tylko jak najszybciej dotrzeć do drzwi na drugim końcu występu i przestąpić ich próg.

— Udało nam się!

— Na razie — odpowiedziała Maelen. — Ale... Zwiesiła głowę i odwróciła się. Jej zakurczonym ciałem wstrząsały skurcze.

— Krip! Krip, obejmij mnie! — Było to wołanie o pomoc, tak nagłe i niespodziewane, że się wystraszyłem. Potem praktycznie rzuciłem się na nią, objąłem mocno i nie wypuszczałem z uścisku, chociaż usiłowała mi się wyrwać.

Nie Maelen trzymałem w ramionach, ale zwierzę, które warczało i kłapało zębami, drapało wysuniętymi pazurami. Tylko szczęśliwym trafem uniknąłem obrażeń. Potem zwiotczała w moich objęciach i dyszała ciężko. W kąciach jej pyska bieleły się krople piany.

— Maelen, co ci jest?

— To ten zew... tym razem silniejszy, znacznie silniejszy. Swój... swój wołał swego!

— Co masz na myśli? — Nadal ją obejmowałem, lecznic zamierzała mi się już wyrwać. Walka musiała ją wyczerpać, gdyż znajdowała się prawie w takim samym stanie, w jakim ją zastałem przedtem.

— Ten sen... kobieta w kociej koronie — myśli Maelen nie układały się w logiczny ciąg. — Ona jest... pokrewna Thassom...

Nie mogłem w to uwierzyć. Nie dostrzegałem podobieństwa między nią a znaną mi Maelen.

— Może nie z wyglądu — przyznała moja towarzyszka. — Masz jeszcze wodę? — Nadal zipała, wydając dźwięk podobny do ludzkiego szlochu. Znalazłem manierkę i wlałem jej odrobinę płynu do pyska. Musiałem jednak trochę zostawić, gdyż nie wiedzieliśmy, kiedy będziemy mogli uzupełnić ten mały zapas.

Piła chciwie, lecz nie domagała się więcej.

— To myślowe wezwanie... ten sen... znam podobne. Takie wysyłają Thassowie.

Doznałem olśnienia. — Czy można je regulować? To znaczy — czy kiedy cię odkryto, ich wzór nie mógł zostać zmieniony na znajomy, a więc taki, który miałby większe szansę cię usidlić?

— To możliwe — przyznała. — Jednak coś jest między mną i tą obcą istotą... Tylko że kiedy się znów spotkamy, to ja będę dyktować warunki, nie ona, jeśli użyczysz mi swojej siły, jak to zrobiłeś teraz, kiedy zawołała.

— Jesteś pewna, że to była ona? Nie ten, którego przed chwilą widzieliśmy?

— Jestem. Sama jednak zadecyduję, kiedy pójść. A ten czas jeszcze nie nadszedł.

Wypiłem łyk wody i wyciągnąłem tubkę skondensowanego prowiantu, którym podzieliliśmy się po połowie. Ten pokarm, przeznaczony do zaspokajania głodu w okresie wyczerpanego wysiłku, był bardzo pożywny i wystarczy nam na wiele godzin.

Żaden dźwięk nie dochodził z komnaty, w której robot niewątpliwie wciąż stał na czatach przy dziurze. Bardzo byłem ciekaw, czego obcy szukał za poszczerbionym murem. Maelen jednak nie wspomniała o tym po drodze. Wręcz przeciwnie, zadała pytanie tak odległe od bieżących spraw, że mnie zaskoczyła.

— Czy twoim zdaniem ona jest ładna?

Ona? Po chwili zdałem sobie sprawę, że musiała mieć na myśli tę nieludzką kobietę.

— Jest przepiękna — odpowiedziałem szczerze.

— Ciało bez skazy, chociaż dziwnego koloru. Doskonałe ciało...

— Jego umysł szuka wszakże innego odzienia. Istota, która chodzi w skórze Grissa, również miała z pozoru idealne ciało, a mimo to jego prawowity właściciel uznał za stosowne zamienić się z naszym towarzyszem. A mnie zabrano do tamtej komnaty, żeby dokonać wymiany z jeszcze innym obcym. Ciekawe, czy oni są zamrożeni?

— Tak — nie miała wątpliwości. — Ten drugi, którego postawili na szczycie urwiska...

— Lukas twierdził, że dawno umarł. Jestem jednak pewny, że tych czworo żyje. Ten w ciele Grissa musi być żywy!

— Być może po uwolnieniu ze stanu hibernacji ich ciała rzeczywiście umrą. Wątpię w to jednak. Sądzę, że z jakiegoś powodu chcą je zachować. Potrzebują naszych ciał, tak jak my gorszych ubrań, które można poplamić i wyrzucić po skończeniu brudnej roboty. Ale... ona jest bardzo piękna!

Usłyszałem w jej głosie żal; to był jeden z nieczęstych przejawów pozornie ludzkich uczuć Maelen. Tym głębiej zawsze mnie wzruszały, gdyż tak rzadko miały miejsce. Domyśliłem się więc, że w pewnym stopniu doznawała tych samych pragnień, co mój gatunek.

— Kim albo czym była — boginią, królową? — Zastanawiałem się na głos. — Nie potrafimy odgadnąć, jak naprawdę miała na imię.

— Tak, jej imię — Maelen powtórzyła część mojej myśli. — Nie chciałaby, żebyśmy je poznali.

— Dlaczego? Bo... — i wtedy przyszedł mi na myśl stary przesąd — to dałoby nam nad nią władzę? To wiara prymitywnych ludów! A ja bynajmniej nie zaliczałbym jej do prymitywów.

— Już ci mówiłam — Maelen traciła cierpliwość — że wiara jest ważna. Wiara porusza to, co niewzruszone, jeśli się ją odpowiednio zastosuje. Jeśli jakiś lud wierzy, że imię jest czymś tak osobistym, że poznanie go daje władzę nad innym człowiekiem, dla nich jest to prawdą. A poziom cywilizacji zmienia się w zależności od planety, nie mniej niż obyczaje i imiona bogów.

Podniosłem głowę i węszyłem, znów zaniepokojony raczej wonią niż dźwiękiem. Maelen szybko zwietrzyła ten sam słaby zapach.

— Ktoś jest przed nami. Może to ich obóz.

Tam, gdzie jest obóz, musi też istnieć możliwość skontaktowania się ze światem zewnętrznym. O niczym tak nie marzyłem, jak o tym, żeby wydostać się z tych lochów i wrócić na „Lydis”. Dzięki pobytowi w podziemiach dowiedziałem się dość, żeby ostrzec moich towarzyszy przed zagrożeniem, którego istnienia dotychczas nie podejrzewaliśmy. Skoro więc chcieliśmy wymknąć się z głębi wrogiego terytorium, musieliśmy nadal iść w stronę czegoś, co mogło być jawną pułapką.

Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że musieliśmy chodzić w kółko. Kiedy stanęliśmy w drzwiach, ujrzeliśmy przed sobą jaskinię z obozem grabieżców. Wokół piętrzyły się splądrowane skrzynie, a pod gołym niebem za drzwiami majaczyła część stateczników statku.

Po prawej stronie stał szereg nieczynnych robotów. W okolicy nie było śladu ludzi. Gdybyśmy schowali się za tymi skrzyniami, może udałoby nam się dotrzeć do wyjścia...

Wszystko jednak po kolei. Maelen czołgała się z brzuchem przy ziemi, ukryta za szeregiem pustych skrzyń. Schyliłem się najniżej jak mogłem i poszedłem w jej ślady. Nie rozlegał się żaden dźwięk; mogliśmy być zupełnie sami. Nie mieliśmy jednak odwagi uwierzyć w uśmiech losu. Dobrze, że tego nie zrobiliśmy, gdyż nagle z namiotu wyszedł mężczyzna.

Na jego widok zamarłem. To był Harkon i zupełnie nie sprawiał wrażenia jeńca. Nosił miotacz i oglądał się przez ramię, jakby na kogoś czekał. Czyżby drużyna z „Lydis” jakimś szczęśliwym trafem zajęła kwaterę główną rabusiów? Jeśli tak, trzeba ich szybko ostrzec przed tym, który nosi ciało Grissa. Nie miałem złudzeń co do tego, co nastąpi, jeśli stanie na ich drodze. Mogą mieć dziesięciokrotną przewagę liczebną, lecz on i tak wyjdzie ze starcia zwycięsko.

## MAELEN

Podobno cały wszechświat spoczywa w równowadze na niewidzialnych szalach Molastera, na których waży się dobro i zło, nikczemność i prawość. Kiedy sądzimy, że los się odmienił, wtedy tym bardziej trzeba się mieć na baczności. Zetknęłam się z wieloma nowymi rzeczami, odkąd wstąpiłam w ciało Vors i dołączyłam do grona tych istot, które nie były ludźmi. Mimo to zawsze zakładałam, że istota pozostaje zawsze ta sama, zmieniają się jedynie zewnętrzne kształty.

Podczas pobytu w podziemnych tunelach ominęłam jednak przeszkody i poznałam rzeczy wykraczające tak daleko poza zasięg mojej dotychczasowej wiedzy, że wiele razy mogłam dokonywać wyboru tylko na ślepo. A dla Księżycowej Śpiewaczki Thassów wybór na ślepo to zniewaga i klęska.

Dwukrotnie śniłam prawdę — co do tego nie mogłam się mylić — o kobiecie, którą Krip ujrział na własne oczy. Dlaczego wydawała mi się tak znajoma, skoro nigdy jej nie widziałam? Na „Lydis” nie było kobiet, a te spotkane na trzech planetach, jakie odwiedziliśmy, odkąd opuściłam Yiktor, nie różniły się od niewiast ludu z nizin — były zaledwie bladymi odbiciami pragnień swoich mężczyzn, istotami pozbawionymi praw i głębszych myśli.

Ona jednakże wzbudzała we mnie taką tęsknotę, taką nieodpartą chęć, aby pójść i ujrzeć ją na własne oczy, tak jak to uczyniłam we śnie, że musiałam zwalczać to pragnienie ze wszystkich sił. Nie zdradziłam się też z nim w całości przed Kripem. Fakt, że śnił ze mną drugi sen, był dowodem, że stawienie się przed jej obliczem groziło niebezpieczeństwem, i że nie wolno mi jeszcze narażać się na konfrontację. To, co Krip powiedział mi o losie, jaki mu gotowano, było dla mnie przestrogą. To chyba ta pozostałość Thassy, która tkwi w jego świadomości, pomogła mu oprzeć się planowanej zamianie.

Podczas miesięcy wspólnej podróży uświadomiłam sobie, że Krip jest już potężniejszym telepatą niż wówczas, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Przyszło mi wtedy do głowy, że to powolne przebudzenie mocy, ten rozkwit talentu, mogły być skutkiem oddziaływania ciała Maquada. Nie wiem wprawdzie, jak to możliwe, ani dlaczego tak się stało. Co z kolei skłoniło mnie do zastanowienia się nad tym, jaki wpływ na mnie może wyrzucić długi pobyt w obecnym ciele!

Wiedziałam, że obcy nie byli w stanie usunąć Kripa z jego ciała, że istota w piramidzie rozkazała go zabrać, gdyż stanowił potencjalne zagrożenie. Ten mało znaczący

fakt był jedyną nadzieją, jakiej mogłam się uchwycić — nie licząc tego, że znów byliśmy razem i znaleźliśmy wyjście na zewnątrz.

Miło mi było widzieć, że na widok człowieka z Patrolu Krip nie wyszedł od razu na otwartą przestrzeń. Jego chęć do pozostania w ukryciu i brak bezpodstawnego zaufania do czegokolwiek i kogokolwiek dodała mi otuchy. Leżeliśmy więc za skrzyniami i obserwowaliśmy. Żadne z nas nie użyło też psychopolacji. Gdyby bowiem ów człowiek nie okazał się tym, na kogo wyglądał, narazilibyśmy się na większe niebezpieczeństwo niż to, które nam ostatnio groziło.

Harkon oddalił się od namiotu, z którego wyszedł następny mężczyzna, Juhel Lidj z „Lydis”. On również nosił miotacz; pomimo to obaj nie okazywali, że obawiają się jakiegoś nieprzyjaciela. Zachowywali się stanowczo za swobodnie. A jednak obaj byli ludźmi, którzy nie raz znajdowali się w obliczu niebezpieczeństwa, a nie porywczymi zabijakami.

Minęli nas, zmierzając w głąb jaskini w stronę jednego z tych ciemnych tuneli. Pomimo to Krip nie ruszył się z miejsca ani nie próbował ich zatrzymać, a ja czekałam na jego decyzję. Wychylił się ostrożnie zza krawędzi skrzyni, żeby odprowadzić ich wzrokiem. Kiedy był już pewny, że zniknęli mu z oczu, położył dłoń na mojej głowie, aby nawiązać bezgłośnie rozmowę.

— Oni... mam przeczucie, że coś jest nie w porządku... stało się coś złego.

— Ja też to czuję — odparłam szybko.

— Czyżby zawładnięto również ich umysłami? Najlepiej będzie, jeśli spróbujemy dotrzeć do „Lydis”. Jeśli jednak się mylę i zdążają wprost ku temu, co się tam znajduje... — Poczułam, jak się wzdrygnął, jego palce spoczywające na mojej głowie zadrżały lekko.

— Jeśli twoje obawy są słuszne, teraz oni są tu panami, i gdyby nas znaleźli... Jeśli jednak pozostali nie padli jeszcze ofiarą tej zarazy, trzeba ich ostrzec. Miejmy nadzieję, że dotychczas jej zasięg ogranicza się do Sekhmet. Czy pomyślałeś, co się może stać, jeśli ich statek odleci z istotami, które potrafią zmieniać ciała tak łatwo, jak ty zmieniasz ubranie, i rozproszą się po innych planetach?

— Takie nieszczęście, jakiego dotychczas nie znano. A z chwilą, gdy opuszczą tę planetę, wszelki ślad po nich zaginie!

— Zatem zanieś im wiadomość, póki jeszcze możesz. — Tymi słowami nakłaniałam go do tego, co uznałam za lepsze rozwiązanie. Jeden człowiek i jedna glassia nie mogli w tych podziemiach zrobić niczego, aby odnieść zwycięstwo nad tak potężnymi wrogami, lecz mogliśmy wiele zdziałać gdzie indziej.

— Oni mogli już zacząć — oznajmił wtedy. — Skąd mamy wiedzieć, ilu ich jest, ile podróży już odbył ten ich statek?

— Tym lepszy powód, aby ogłosić alarm.

Znów ruszyliśmy w drogę, chowając się za splądrowanymi skrzyniami najdłużej, jak mogliśmy. Potem stanęliśmy w bladym świetle słońca przed wejściem do jaskini.

Włazy towarowe statku zamknięto, lecz trap dla pasażerów wciąż był wysunięty. Krip podniósł głowę i zmierzył spojrzeniem pojazd. Na takich sprawach znał się dużo lepiej ode mnie. Mnie statek wydawał się tylko większy od „Lydis” i tak też mu powiedziałam.

— To prawda. Nasz statek jest jednostką klasy D; to jest statek klasy C, również frachtowiec — przerobiony frachtowiec Kompanii. Jest powolny, ale ładowność ma znacznie większą niż „Lydis”. Nie ma oznakowań, co świadczy, że jest statkiem grabieżców.

Wprawdzie nigdzie nie było widać wartowników, nie wychylaliśmy się jednak zza osłony. Surowy, skalisty teren wydawał się stworzony do tego, aby ułatwiać chodzenie ukradkiem. Sprzyjał nam również fakt, że niebo zaciągnęły bardzo ciężkie chmury i spadł zimny, lodowaty deszcz. Drżąc od jego smagnięć, znaleźliśmy ścieżkę, którą mogliśmy się wspiąć na urwisko. Przezorność nakazywała nam skorzystać raczej z tego wyjścia, a nie z wyboistej drogi, którą wyjeżdżało wiele maszyn.

Po wspięciu się na szczyt mogłam zawierzyć jednemu z wrodzonych zmysłów Vors i ruszyliśmy w kierunku, który moim zdaniem prowadził do „Lydis”. Była to koszmarna podróż, w ulewnym deszczu ze śniegiem i wśród gęstniejącej ciemności. Wlekleśmy się, zamiast pędzić, z obawy przed nieostrożnym krokiem, który skończyłby się upadkiem w przepaść.

Wiatr się nasilał. Wysunęłam pazury, aby wczepić się nimi w grunt, i czołgałam się brzuchem przy ziemi, smagana wichrem i zamarzającym deszczem.

— Krip? — Z takimi przeszkodami mogą się uporać cztery pazurzaste łapy, ale nie byłam pewna, czy dwie obute stopy poradzą sobie równie dobrze. Również siła tej burzy nie mogła się równać z niczym, co dotychczas znałam. Miałam wrażenie, że siły przyrody tej posepnej planety opowiedziały się po stronie grabieżców.

— Trzymaj się! — W jego tonie nie usłyszałam słabości. Doszłam do stromego zbocza, po którym spływały strugi wody, a ja obracałam się na wszystkie strony, aby zasłonić się od najsilniejszych ich uderzeń. W drodze zaczęłam bardzo poważnie wątpić, czy zdołamy iść dalej w stronę „Lydis”, i zastanawiałam się, czy nie rozsądniej byłoby poszukać schronienia i przeczekać najgorszą burzę. Zamierzałam właśnie rozejrzeć się za takim miejscem, gdy kamienie, w które wczepiałam pazury, obsunęły się i pociągnęły mnie ze sobą.



Runęłam w pustkę! Błysk zrozumienia, że spadam... a potem eksplozja bólu i ciemność.

Ciemność ta jednak nie była całkowita i na ułamek sekundy błysnęła mi w głowie potworna i przerażająca myśl, że to nie był zwykły fałszywy krok, nie zbieg okoliczności spowodował mój upadek. Wpadłam w pułapkę, której się nie spodziewałam.

Kiedy to rozumiałam, wiedziałam już, dlaczego tak się stało, i uświadomiłam sobie w pełni grozę tego, co może nastąpić.

Sharvan jednak, podobnie jak przedtem Krip na Yiktorze, wymienił się ciałami. Dlaczego moja obecna powłoka musiała zostać unicestwiona... dlaczego?

Czyż istnieje lepszy sposób zniewolenia jaźni niż zniszczenie ciała, które zamieszkuje?

Ból! Cierpienie, jakiego istnienia nie podejrzewałam w normalnym świecie. A moje ciało absolutnie odmawiało posłuszeństwa.

— Niemożliwe... nie mogę teraz...

Docierały do mnie tylko strzępy komunikatu, jakby na linii występowały jakieś zakłócenia.

— Odejdź... chodź... chodź... chodź!

— Gdzie? Po co?

— Siła witalna... siła witalna! Żyj znowu... chodź! Dokonałam niewyobrażalnego wysiłku, próbując odciąć się psychicznie od bólu, skupić całą swoją energię i wolę na tym, co stanowiło jądro mojej osobowości.

— Chodź... twoje ciało umiera... chodź!

Tu właśnie wołająca mnie kobieta popełniła poważny błąd. Wszystkie żywe stworzenia odczuwają strach przed zgaśnięciem, przed nieistnieniem. To część naszego pancerza, abyśmy zawsze mieli się na baczności przed złem, świadomi faktu, że mamy do przejścia pewną drogę i od tego, jak ją przejdziemy, zależy osąd wagi Molastera. Nie poddajemy się łatwo. Jednakże Thassowie nie obawiają się również Białej Drogi, kiedy nadchodzi czas, aby na nią wstąpić. Ta, która mnie usidliła, odwołała się do lęku przed nieistnieniem, jakby ci, z którymi wcześniej miała do czynienia, nie potrafili sobie wyobrazić innego życia po tym, co ludzie nazywają śmiercią. Tym sposobem łatwo osiągała swój cel, szybko proponując przedłużenie życia w chwili, gdy zbliżał się zgon.

— Chodź! — nalegała. — Chcesz rozpuścić się w nicości? Wtedy poznałam jej palącą potrzebę. Nie miała ochoty wchłonąć mojej osobowości ani też nie potrzebowała cudzego ciała. Ceniła bowiem swoją postać jak największy skarb. Nie, ona pożądała mojej siły

witalnej jako swoistego paliwa, aby po wchłonięciu tej energii znów żyć na własnych warunkach.

— Maelen! Maelen, gdzie jesteś?

— Chodź!

— Maelen!

Dwa głosy w mojej głowie, a ból znów się nasilał! Molasterze! Sama wołałam o pomoc, starając się nie słuchać żadnego z tamtych wezwań. I odpowiedź nadeszła — nie Biała Droga, nie. Mogłam nią pójść, gdybym tylko chciała. Taki wybór jednak zniweczyłby ten drugi plan. Pojęłam to tak jasno, jakbym znów wzniosła się na szczyt urwiska i przede mną rozciągała się rozległa scena wydarzeń. Tego, co tam zobaczyłam, nie mogłam zapamiętać, chociaż przed oczami wciąż miałam jego obraz. Wiedziałam jednak, że tak być musiało. Zrozumiałam również, że muszę walczyć, aby odegrać swoją rolę w tym planie.

— Chodź! — Teraz nie było już kuszenia ani obietnic, tylko rozkaz wydany nie znoszącym sprzeciwu tonem. — Chodź natychmiast!

Ja jednak odpowiedziałam temu, który wołał mnie po imieniu, i wezwałam go na pomoc.

— Tutaj... śpiesz się! — Nie wiedziałam, jak mam osiągnąć to, co było niezbędne. Wiele będzie teraz zależało od zdolności i siły kogoś innego.

Nie mogłam zmusić ciała glassi do posłuszeństwa ani nawet do tego, by odzyskało wzrok. Aby zachować jasność umysłu, musiałam odłączyć wszystkie pięć zmysłów, gdyż inaczej ból zupełnie by mnie obezwładnił. Byłam jednakże panią swojego umysłu — przynajmniej na razie.

— Krip! — Nie potrafiłam ustalić, czy wciąż jest na szczycie skał, czy przy mnie. Wiedziałam tylko, że muszę się z nim skontaktować i przekazać mu tę ostatnią wiadomość, inaczej wszystko pójdzie na marne. — Krip... to ciało... wydaje mi się, że obrażenia są zbyt ciężkie... ono umiera. Nie wolno mu jednak jeszcze skonać. Gdybyś zdołał wprowadzić je w stan hibernacji... Musisz! Ten pojemnik ze śpiącym... zanieś mnie tam...

Nie mogłam nawet poczekać na odpowiedź. Muszę tylko trwać uporczywie, najdłużej jak zdołam. A jak długo będzie to możliwe... tylko Molaster może wyznaczyć temu kres.

Dziwne było to ukryte miejsce, gdzie moje prawdziwe „ja” — Maelen z Thassów, kiedyś Księżycowa Śpiewaczka, kiedyś glassia — chroniło się i czerpało z zapasów wewnętrznej siły. Czy tamta istota wciąż uderzała w moje bariery obronne, wołając: „Chodź, chodź... żyj”? Nie wiedziałam. Nie miałam odwagi myśleć o niczym innym niż o utrzymaniu się w tej małej, obleganej twierdzy. Moja obrona słabła z każdą chwilą, więc czasami

przeszywał mnie ostry, obezwładniający ból. Wtedy spróbowałam wymówić jedynie słowa śpiewu, czego nie robiłam od chwili, gdy odebrano mi różdżkę. Słowa przypominały gasnące, ledwo żarzące się węgielki, podczas gdy kiedyś były wielkimi, roztańczonymi płomieniami. Mimo to wciąż się tliły i utrzymywały mnie przy życiu, tłumiąc ból.

W tym miejscu nie było czasu, albo może było go zbyt wiele. Dodawałam sobie otuchy słowami: „Wytrzymam jeszcze chwilę, jeszcze chwilę” i tak to trwało. Czy Krip zdoła wypełnić zadanie, które ma mnie ocalić, i czy to mnie rzeczywiście ocali... Nie wolno mi jednak myśleć o niczym, z wyjątkiem konieczności wytrwania, obrony świadomości w tym ukrytym miejscu. Muszę się trzymać z całych sił!

Jednak dłużej już nie mogłam... Molasterze! Wielka była moc, jaką mi niegdyś nadano, i znacznie ją powiększyłam przez naukę. Wszystko ma jednak swój kres, a mój już nadciąga. Przegrałam, nie potrafię sobie przypomnieć wzoru życia, jaki mi pokazano. Wiem jednakże, jak jest ważny, i zdaję sobie sprawę, że to nie z woli Wielkiego Planu przerwano w nim mój wątek. Wygląda jednak na to, że nie mam siły wypełnić swojej roli. Nie... mogę... wytrzymać...

Uderzyła we mnie szkarłatna, spiętrzona fala bólu.

— Maelen!

Już tylko jeden głos. Czyżby ten drugi zrezygnował? Byłam jednak przekonana, że nawet teraz, gdybym mu uległa, omotałby mnie swą pajęczyną.

— Maelen!

— Hibernacja... — Zdołałam wysłać tylko tę ostatnią prośbę, tak daremną, tak beznadziejną. Odpowiedź nie nadeszła.

Nie nadeszła, aczkolwiek ból zelżał i stał się niemal znośny. I nie zostałam uwolniona z więzów tego ciała. Co...

— Maelen!

Wciąż przebywałam w ciele. Wprawdzie nie miałam nad nim władzy, służyło mi jednak za kotwicę. Nie odczuwałam też już żadnej presji. Miałam wrażenie, że proces mojej „śmierci” został powstrzymany i dano mi chwilę wytchnienia.

— Maelen! — Odebrałam rozkazujący, błagalny impuls myślowy.

Wyteżyłam ostatnie resztki sił.

— Krip... zamroź...

— Tak, jesteś już w pojemniku... tej obcej istoty. Maelen... co...

Więc... udało mu się. Wykorzystał tę ostatnią, maleńką szansę i okazało się, że podjął właściwą decyzję. Nie miałam jednak czasu na świętowanie, jeszcze nie teraz. Muszę mu zdradzić ostateczne rozwiązanie.

— Utrzymuj hibernację... Starsi... Yiktor...

Straciłam przytomność, jeśli ten stan rozpaczliwej obrony można było nazwać „przytomnością”. Czy stapałam już po Białej Drodze? A może nadal było dla mnie miejsce w tym wielkim wzorze?

## KRIP VORLUND

Podmuchy wiatru tu nie dochodziły, lecz mimo to ręce mi zgrabiały. Przyglądałem się pojemnikowi. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób udało mi się zwolnić zatrzaski, unosić pokrywę wystarczająco długo, żeby wyciągnąć spoczywające w nim ciało i na jego miejsce włożyć poraniony, bezwładny, broczący krwią kłębek futra. Dygotałem bardziej ze zdenerwowania niż z zimna, wyczerpany niesieniem rannej Maelen po skalistych ścieżkach, przekonany, że ona... że żadne żywe stworzenie nie mogło przeżyć takiego traktowania w stanie, w jakim ją znalazłem po tym strasznym upadku. Pomimo to żyła i była teraz zahibernowana. Złożyłem obietnicę, że zabiorę ją na Yiktor, do Starszych, że nie umrze! Nie wiedziałem wprawdzie, jak tego dokonam.

Wyrzałem zza skały. Daleko w dole stała „Lydis” i dwa ślizgacze. Wokół nich nie było widać żywego ducha. Coś leżało wśród kamieni. Spojrzałem tam i zacząłem dygotać jeszcze silniej. Obcy, którego tak pośpiesznie wywlokłem ze skrzyni...

Nie było już ciała, jedynie rozsypująca się masa. Zasłoniłem oczy. Lukas powiedział, że kosmita nie żył, i jego słowa znalazły teraz potwierdzenie. Nie obchodziło mnie to zresztą — nic mnie nie obchodziło, z wyjątkiem Maelen. I ostrzeżenia, które musiałem zanieść towarzyszom. Czy Harkon i Lidj nadal byli ludźmi, czy może... I kto jeszcze uległ tej przerażającej metamorfozie? Wszyscy, którzy wyruszyli przeciwko wrogowi znacznie silniejszemu, niż się spodziewaliśmy?

Dotknąłem pudła hibernatora tak delikatnym gestem, jakbym gładził puszysty łeb.

— Nie mogę cię teraz zabrać ze sobą — pomyślałem. Może nadal mnie słyszała, a może nie. Musiałem jednak spróbować wytłumaczyć, że jej nie opuszczam. — Wrócę po ciebie, ujrysz Yiktor i Starszych, będziesz żyć. Obiecuję!

Potem zaklinałem skrzynię mocniej między skałami, upewniając się, że nie przewrócą jej podmuchy wiatru ani strugi deszczu. Pojemnik musi wytrzymać, dopóki nie będę mógł spełnić obietnicy.

Kiedy zrobiłem już wszystko, co mogłem, aby zapewnić jej bezpieczeństwo, zszedłem na dno doliny w zacinającym wietrze i deszczu ze śniegiem. Kiedy już tam się znalazłem, wystukałem na swoim komunikatorze szyfr, który otwierał włącz „Lydis”, i z niepokojem oczekiwałem znaku, że na pokładzie statku usłyszano mój sygnał.

Odpowiedź nadeszła nie z wnętrza statku, lecz z mroku nocy. Snop światła rozdarł ciemność, przybił mnie do skalnej ściany urwiska. Złodzieje — przybyli tu przede mną!

Tak mnie oślepił ten promień, że nie widziałem, kto się za nim krył, chociaż wydawało mi się, że już się zbliża. Nie miałem broni. Wtedy ktoś wszedł w wiązkę światła i dostrzegłem mundur. Patrol! To już jednak o niczym nie świadczyło. Przynajmniej, odkąd ujrzałem w jaskini Harkona i Lidja i zrozumiałem, kto chodzi w ciele Grissa.

Próbowałem wyczytać z jego twarzy, czy był tym, na kogo wyglądał, czy jednym z nieprzyjaciół, lecz ani jego oczy, ani wyraz twarzy niczego nie zdradzały. Ruchem ręki dał mi znać, żebym szedł za nim. Świsł wichru zagłuszał wszelkie słowa, lecz mężczyzna wskazywał „Lydis”. Potem krąg światła padł na ziemię, oświetlając drogę do statku i powoli opuszczający się trap. Ruszyłem przed siebie.

„Lydis” od lat była moim domem i czułem się z tego powodu uprzywilejowany. Teraz jednak, kiedy wchodziłem po trapie, trzymając się poręczy, żeby nie ulec podmuchom wiatru, poczułem się tak, jakbym zbliżał się do jakiegoś obcego miejsca, w którym kryła się pułapka. I mogło tak być, jeśli obcy dotarli aż tutaj.

Złapałem się na tym, że kiedy przechodziłem z mężczyzną z Patrolu przez śluzę, pociągnąłem nosem, jakbym rzeczywiście mógł zwietrzyć zapach obcego zła, które obawiałem się tu zastać. Poczułem jednak tylko zwykłą woń gwiazdnego statku. Zacząłem się wspinać po drabince do kabiny sterowniczej. Co tam zastanę?

— Vorlund!

Kapitan Foss. Za nim stał oficer Patrolu z przedstawiającą miecz i gwiazdę odznaką komendanta. Pozostali... Całą uwagę skupiłem jednak na Fossie. Jeśli to rzeczywiście był Foss. Skąd mogłem mieć pewność? Co tu mogło zajść podczas mojej ciągnącej się bez końca wędrówki w podziemiach? Nie odpowiedziałem, lecz szukałem na jego twarzy śladów wskazujących, że nie jest tym, za kogo się podaje.

Wtedy jeden z oficerów Patrolu, którzy weszli za mną po drabinie, chwycił mnie za ramię, odwrócił lekko, jakbym był zupełnie bezradny, i pchnął na fotel astrogatora, który zakołysał się pod moim ciężarem. Odważyłem się spróbować penetracji myśli, gdyż musiałem się dowiedzieć, czy jeszcze mam czas.

— Pan jest Fossem! — powiedziałem słabym głosem, prawie szeptem.

Wtedy dostrzegłem zmianę na jego twarzy — poznałem to lekkie uniesienie jednej brwi — coś, co widziałem wiele razy w przeszłości.

— Spodziewałeś się kogoś innego? — zdziwił się.

— Jednego z nich — prawie bredziłem, czując nagle ogromne zmęczenie. — Jak Griss... jeden z nich... w pańskim ciele.

Nikt się nie odezwał. Czy ja to w ogóle powiedziałem, czy tylko pomyślałem?

Potem kapitan zbliżył się do podajnika w ścianie, pokręcił jego tarczą i wyjął tubkę z płynem regeneracyjnym. Podeszedł do mnie. Usiłowałem podnieść rękę, żeby wziąć od niego środek wzmacniający, lecz ciało odmawiało mi posłuszeństwa. Kapitan przysunął tubkę do moich warg i upiłem z niej łyk. Gorący napój rozchodził się ciepłem po moim ciele, łagodząc dreszcze i zmęczenie.

— Jeden z nich w moim ciele? — rzekł, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. — Może byś to wyjaśnił?

— Tam — machnąłem ręką w stronę burty „Lydis”, mając nadzieję, że podziemne korytarze leżą we wskazanym przeze mnie kierunku. — Kosmici. Potrafią zawładnąć naszymi ciałami. Zrobili to z Grissem. Przebywa teraz... w ciele nieludzkiej istoty... za ścianą. On... — Staralem się nie myśleć o Grissie uwięzionym w nieruchomym ciele z jaszczurczą koroną na czole. — Podejrzewam, że to samo spotkało Lidja i Harkona. Zachowywali się w tej grocie tak swobodnie, jakby nie mieli powodów do obaw. Reszta pewnie też nie jest sobą... Ze mną chcieli zrobić to samo... nie udało się. Obcy wpadł w gniew, powiedział, że jestem niebezpieczny... kazał mnie zostawić w ciemności... Wtedy znalazłem Maelen.

Maelen! W pojemniku hibernacyjnym... na urwisku. Maelen!

— Co z Maelen? — Foss siadł na fotelu pilota, tak że teraz nasze oczy znajdowały się na tej samej wysokości. Nachylił się do przodu, wziął moje bezwładne dłonie, ścisnął je mocno, serdecznie. — Co się stało z Maelen?

Wyczułem jakiś ruch, jakby oficer Patrołu przysunął się bliżej. Foss spojrzał nieprzychylnie, ale nie na mnie.

— Krip, co z Maelen?

— Spadła w przepaść... na skały... ma liczne złamania. Umierała... była bliska śmierci! Powiedziała, że muszę... ją zamrozić... zamrozić do czasu, kiedy będę ją mógł zabrać do domu, na Yiktor. Wziąłem ją... była tak poraniona... strasznie poraniona... — Staralem się unikać jego wzroku, który mnie przygwoździł, zapomnieć o tej koszmarnej podróży, ale on mi nie pozwalał. — Zaniósłem ją do tego kosmity... otworzyłem pojemnik... wywlokłem tamto ciało... włożyłem ją na jego miejsce. Jeszcze żyła... wtedy.

— Ci obcy. — Foss mówił spokojnie i wyraźnie. Jego głos przykuwał mnie do miejsca równie mocno jak jego uścisk, w którymi tkwiły moje dłonie i nadgarstki. — Czy wiesz, kim są?

— Lukas twierdził, że nie żyją... od dawna. Są jednak telepatami. A ci w koronach nie są martwi. Ciała... oni pragną ciał! Griss na pewno, może też inni. Jest ich czworo... widziałem... w tym kobieta.

— On bredzi! — przerwał mi zniecierpliwiony głos. Foss znów ostrzegawczo zmarszczył brwi. — Gdzie są te ciała?

— W podziemiach... tunele... komnaty. Złodzieje mają obóz... w jaskini... na zewnątrz jest statek. Plądrowali... sale ze skrzyniami. — Przed oczami stanęły mi mętne, wirujące obrazy. Czułem w ustach gorzki smak, jakby podrażniony środkiem regenerującym żołądek podjeżdżał mi pod gardło.

— Gdzie?

— Za skrytką. Dostałem się do środka przez koci pysk — próbowałem opanować mdłości i mówić do rzeczy. — Tam jest tunel. Ale oni... Griss... potrafi paraliżować ludzi samą myślą. Jeśli pozostali są do niego podobni, nie macie szans. Nigdy przedtem nie spotkałem tak potężnego telepaty, nawet wśród Thassów. Maelen uważała, że nie mogli mną zawładnąć, ponieważ jestem teraz częściowo Thassem. Pojmali mnie jednak... Griss to zrobił... samą siłą woli. Później posłużyli się oplątywaczem.

— Korde! — Foss szybko wydał rozkaz. — Nastaw zagłuszanie na najwyższą częstotliwość!

— Tak jest!

Zagłuszanie, pomyślałem z trudem — zagłuszanie? Ach, tak, dla ochrony przed sondami. Czy poskutkuje jednak na kosmitę w ciele Grissa?

— Skoro mowa o pozostałych — komendant Patrolu wysunął się zza pleców Fossa. — Gdzie oni są... moi i wasi ludzie?

— Nie wiem. Widziałem tylko Grissa, Harkona. Lidja...

— I sądzisz, że Harkon i Lidj również zostali zniewoleni przez tę siłę?

— Widziałem, jak spacerowali po obozie grabieżców bez żadnych środków ostrożności. Zachowywali się tak, jakby nie mieli powodów obawiać się ujawnienia.

— Wysondowałeś ich umysły?

— Nie odważyłem się. Gdybym zapuścił sondę i okazałoby się, że to nie oni, zgubiłbym Maelen i siebie. Griss wiedział o mojej obecności, zanim jeszcze mnie zobaczył. Zmusił mnie, żebym wyszedł i oddał się w ich ręce. Oni zachowywali się tak, jakby ich miejsce było w tym obozie. Poza tym nie zauważyłem śladu pozostałych.

Zobaczyłem, że Foss pokiwał głową. — Przypuszczalnie był to trafny domysł. Potrafisz przecież wyczuć niebezpieczeństwo.

— Zawładną wami — powtórzyłem. Środek regenerujący przestał działać. Traciłem świadomość, nie mogłem powstrzymać opadających powiek. — Maelen... — Muszą pomóc Maelen!





## KRIP VORLUND

Na pokładzie „Lydis” nie było nocy ani dnia, lecz czułem otępienie typowe dla kogoś, kto spał bardzo głęboko i długo. Podniosłem rękę, żeby jak co dzień zapukać na powitanie w bok górnej koi. Jeśli Maelen też spała...

Maelen! Jej imię przywróciło mi pełną świadomość. Zerwałem się gwałtownie, uderzając boleśnie głową o nisko wiszące górne łóżko. Maelen wciąż leżała w pojemniku hibernatora! Trzeba ją przynieść, umieścić pod najlepszą opieką, jaka była możliwa na statku. Jak to się mogło stać, że o niej zapomniałem?

Byłem już na nogach i sięgałem po wybrudzone ciepłe ubranie, którego sterta leżała na podłodze, kiedy rozsunęły się drzwi do kabiny. Obejrawszy się, zobaczyłem kapitana.

Foss nigdy nie miał zwyczaju pokazywać po sobie, co myśli. Dobry Kupiec wcześniej uczy się udawać i nakładać maski. Istnieją jednak niewielkie oznaki, czytelne dla osób blisko zżytych ze sobą, które zdradzają silne uczucia. Na twarzy Fossa dostrzegłem teraz okiełznany gniew, taki, jaki widziałem tylko raz, może dwa, odkąd zaciągnąłem się na „Lydis”.

Rozmyślnie wszedł do mojej kabiny bez pytania. Już samo to świadczyło o powadze sytuacji. Na pokładzie statku bowiem prywatność jest tak ograniczona, że każdy członek załogi skrupulatnie przestrzega cudzego do niej prawa. Kapitan wyciągnął ze ściany krzeselko i siadł na nim, wciąż nic odzywając się słowem.

Nie byłem jednak w nastroju do rozmawiania, jeśli z takim zamiarem przyszedł. Chciałem zrobić wszystko, co było możliwe, aby zapewnić Maelen bezpieczeństwo. Nie miałem pojęcia, jak długo spałem, zostawiając ją bez opieki.

Ponieważ kapitanowi najwyraźniej nie śpieszyło się wyjaśnić, z jaką sprawą przyszedł do mnie, pierwszy przerwałem milczenie.

— Muszę sprowadzić Maelen. Leży w pojemniku hibernacyjnym na szczycie urwiska. Muszę ją przenieść do naszej zamrażarki... — mówiąc to, zapiąłem ciepłą kurtkę. Foss jednak nie uczynił nic, żeby zejść mi z drogi.

— Maelen — kapitan powtórzył jej imię; jego głos brzmiał tak dziwnie, że przyciągnął moją uwagę, chociaż śpieszyło mi się.

— Vorlund, jak to się stało, że nie byłeś z pozostałymi — że sam znalazłeś wejście do tego ciągu podziemnych tuneli? Wyszedłeś w towarzystwie. — Mierzył mnie badawczym spojrzeniem. Gdyby mojego umysłu nie zaprzętało przede wszystkim pragnienie dotarcia do

Maelen, pewnie poczułbym się nieswojo, albo jego pytanie i postawa wzbudziłyby we mnie podejrzenia.

— Zostawiłem ich na urwisku. Maelen mnie wzywała — była w opałach.

— Rozumiem. — Wciąż lustrował mnie wzrokiem, jakbym był towarem, co do którego zaczynał żywić podejrzenia, że jest wybrakowany. — Vorlund... — Niespodziewanie uniósł rękę i nacisnął guzik. Otworzyły się drzwiczki małej szafki. Ponieważ na ich wewnętrznej stronie znajdowało się lustro, zobaczyłem swoją twarz.

Ujrzenie w ten sposób własnego odbicia zawsze robiło na mnie wstrząsające wrażenie. Po tylu latach oglądania własnej twarzy trzeba czasu, aby się oswoić z inną. Byłem teraz trochę bardziej ogorzały niż na Yiktor. W żaden sposób jednak moja cera nie dorównywała ciemnej kosmicznej opaleniznie, jaką szczylicili się wszyscy pozostali członkowie załogi, i którą sam kiedyś uznawałem za właściwy kolor karnacji. Moje srebrzyste brwi, które wyginały się tak wysoko w górę, że łączyły się z włosami na skroniach, oraz bardzo białe, krótko ostrzyżone kędziory, które je porastały, zupełnie nie przypominały mojego poprzedniego wyglądu. Teraz miałem twarz Thassa o delikatnych rysach i szpiczastym podbródku.

— Thassa — słowo wypowiedziane przez Fossa potwierdziło to, co dostrzegłem w lustrze. — Powiedziałeś nam na Yiktor, że ciała nie są ważne, że nadal jesteś Kripem Yorlundem.

— Tak — odparłem, kiedy przerwał, jakby w jego słowach kryło się głębokie znaczenie, nad którym należało się poważnie zastanowić. — Jestem Kripem Vorlundem. Czyżbym tego nie udowodnił?

Czyżby naprawdę sądził, że jestem Thassem? Że przez tyle miesięcy udawało mi się wprowadzać w błąd ludzi, którzy tak dobrze mnie znali?

— Czyżby? Krip Vorlund, Wolny Kupiec, którego znaliśmy, nie przedłożyłby dobra istoty nie należącej do ludzkiej natury ponad dobro swojego statku — ani ponad swoje obowiązki!

Byłem wstrząśnięty. Nie tylko dlatego, że powiedział i pomyślał coś takiego o mnie, lecz dlatego, że z jego słów przebijała prawda. Krip Vorlund nie zostawiłby drużyny na szczycie urwiska, nie pośpieszył na pomoc Maelen. A może tak? Ale Krip to przecież ja. A może prawdą było to niejasne, budzące lęk przeczucie, że rządziła mną jakaś część Maquada?

— Widzisz — dokończył Foss — sam zaczynasz rozumieć. Nie jesteś, jak zaręczałeś, Kripem Vorlundem. Jesteś kimś innym. A jeśli to prawda...

Odwrociłem się od lustra i spojrzałem mu prosto w oczy. — Myśli pan, że zawiodłem naszych ludzi? Mówiłem już przecież, że nie odważyłbym się użyć zdolności telepatycznych, znajdując się w pobliżu tego, kto włada Grissem Sharvanem. Tylko ktoś taki jak Maelen mógłby się na to zdobyć. A za jego przemianę z pewnością nie jestem odpowiedzialny. Gdybym postąpił inaczej, kto by pana ostrzegł?

— Tylko, że nie oddaliłeś się na własną rękę z myślą o nas, nie poszedłeś na zwiady dla naszego dobra.

Milczałem, ponieważ znów miał rację. Potem dodał:

— Jeśli zostało w tobie dość z Kripa, aby pamiętać o naszych tradycjach, wiesz, że nie postąpiłeś zgodnie z obyczajem Kupców. Jesteś już po części tym, na kogo wyglądasz.

Myśl ta była nie mniej potworna od strachu, który czułem w podziemiach. Jeśli Foss widział we mnie nieludzką istotę, co mi zostało? Nie mogłem jednak pozwolić sobie na to, aby się tym przejmować. Przytoczyłem więc kapitanowi najlepszy argument, na jaki mogłem się zdobyć.

— Maelen należy do naszego systemu obrony. Mało który statek może korzystać z usług telepaty o takich zdolnościach, jakie ona posiada.

Proszę pamiętać, że to ona rozbiła ten wzmacniacz w górach, który paraliżował nas wszystkich podczas pańskiej nieobecności. Jeśli będziemy zmuszeni walczyć z tymi kosmitami, być może właśnie Maelen zdecyduje o naszej wygranej. Ona należy do załogi! Była w niebezpieczeństwie i prosiła o pomoc. A ponieważ ja najlepiej potrafię nawiązać z nią kontakt, usłyszałem ją i poszedłem.

— Logiczny argument — Foss pokiwał głową. — Takiego się spodziewałem. Obaj jednak wiemy, że za tymi słowami kryje się jeszcze coś, o czym nie wspominałeś.

— Możemy o tym podyskutować później, kiedy opuścimy Sekhmet. — Bez względu na kodeks Kupców musiałem umieścić Maelen w bezpiecznym schronieniu, jakim była „Lydis”. — Maelen trzeba natychmiast przenieść do naszego hibernatora!

— Przychyliam się do twojej prośby — z olbrzymią ulgą zobaczyłem, że kapitan wstaje. Nie umiałem powiedzieć, czy zgodził się ze mną, że Maelen należała do załogi, i że jej talent przynosił nam korzyści. Na razie wystarczyło, że przyjdzie jej z pomocą.

Nie wiem, jakimi argumentami przekonał załogę Patrolu, aby nam pomogła, ponieważ zostawiłem go i wspinałem się na skały. Za wolną od szronu szybą pokrywy nie mającyla już twarz kosmity. Drobne ciało Maelen zajmowało tak niewielką przestrzeń w pudle, że było zupełnie niewidoczne. Szybko zbadałem zatrzaski i upewniłem się, że pojemnika nie tknięto

od chwili, gdy go zostawiłem. Miejsce, gdzie położyłem zwłoki obcego, było zupełnie puste. Wiatr musiał rozwiać ostatnie jego prochy godziny temu.

Spuszczenie skrzyni po ścianie wąwozu było niełatwym zadaniem, które musieliśmy wykonywać pomału. Wreszcie wnieśliśmy ją na pokład „Lydis”, własnoręcznie, nie powierzając jej robotom. Medyk Patrolu już czekał, żeby przenieść Maelen do hibernatora na statku.

Każda jednostka żeglugi międzygwiazdnej ma takie urządzenie, które służy do opieki nad ciężko rannymi, dopóki nie będzie ich można wyleczyć w jakimś ośrodku medycznym. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, nawet wtedy, gdy opiekowałem się Maelen, jak ciężko poranione było jej ciało glassi. Sądziłem, że medyk dał za wygraną, kiedy zobaczył ten krwawy kłębek posklejanego futra. Instrumenty wskazywały jednak, że żyła, i to mu wystarczyło, aby czym prędzej doprowadzić przeniesienie do końca.

Kiedy zatrzasnęły się klamry hibernatora, pogładziłem dłonią jego pokrywę. Wciąż tliła się w niej iskra życia; dotychczas jej wola triumfowała nad ciałem. Nie wiedziałem, jak długo jeszcze będzie w stanie walczyć, a przyszłość rysowała się w bardzo ponurych barwach. Czy uda mi się teraz zawieźć ją na Yiktor? Nawet gdybym odszukał Starszych wędrownego plemienia Thassów i zażądał nowego ciała dla Maelen, czy daliby mi je? Skąd wzięliby takie ciało? Czy byłaby to następna zwierzęca postać, w której dopełni się los, jaki jej przeznaczyli? A może obdarzyliby ją, podobnie jak niegdyś mnie, dając mi postać Maquada, jednym z ciał ze schroniska kapłanów Umphry, gdzie osoby z nieodwracalnymi urazami psychiki pielęgnowano tak długo, dopóki Molaster nie uznał za stosowne postać ich na Białą Drogę, która uwolni ich od cierpienia życia?

Wszystko po kolei. Nie wolno mi wypatrywać wszystkich cieni, które mogę spotkać na swojej drodze. Umieściłem Maelen w możliwie najbezpieczniejszym miejscu. W hibernatorze ta iskierka życia, która się w niej tliła, będzie podsycana z całą troskliwością, na jaką stać moich pobratymców. Zrzuciłem z siebie część brzemienia, lecz wiele jeszcze zostało do zrobienia. Wiedziałem, że zaciągnąłem następny dług — o czym przypomniał mi Foss. Gotów byłem dołożyć wszelkich starań, aby go spłacić. Udałem się do sterówki, żeby właśnie to zaproponować.

Zastałem Fossa, komendanta Patrolu Bortona i lekarza Thanela zgromadzonych wokół pudełka, z którego medyk wyjmował drucianą pętlę. Sterczała z niej bardzo delikatna plecionka z metalowych nitki, które tworzyły czepek. Obchodził się z nią ostrożnie, obracając w dłoniach tak, że światło odbiło się od włókien. Kiedy wszedłem po drabinie, kapitan Foss się obejrzał.

— Teraz możemy przeprowadzić próbę. Vorlund jest naszym najlepszym telepatą.

— Zgoda. Sam mam czwarty poziom. — Thanel nałożył sobie siateczkę na głowę; pętla dotykała skroni, delikatne nitki niknęły w jego jasnych włosach.

— Proszę wysłać impuls myślowy — rozkazał. — Pełna moc.

Spróbowałem. Odniosłem wrażenie, że uderzam w mur. Nie było to bolesne, wstrząsające doświadczenie jak napotkanie transmisji obcego albo walka z istotą w koronie; przypominało raczej testowanie kompletnej blokady. Tak też im powiedziałem.

Borton trzymał w ręku jakiś mały przyrząd. Przyjrzał mi się wnikliwie. Uwagę skierował jednak do Fossa.

— Czy wiedział pan, że on jest siódemką?

— Wiedzieliśmy, że jest silnym telepatą, ale trzy rejsy temu miał wynik zaledwie nieco powyżej pięciu.

Z pięciu na siedem! Nie wiedziałem o tym. Czyżby zmianę wywołało przebywanie w ciele Thassy? A może stałe komunikowanie się z Maelen wyostriżyło i wzmocniło moje zdolności?

— Sam spróbuj — Thanel podał mi druciany czepek. Nałożyłem go na głowę.

Wszyscy trzej przyglądali mi się uważnie i mogłem się domyślić, że medyk próbuje wysłać myślowy komunikat. Niczego jednak nie odbierałem. Doznałem dziwnego wrażenia, jakbym zatkał sobie uszy i ogłuchł na wszystko wokół.

— Więc na siódemkę skutkuje. Jednakże inne ciało z nadajnikiem albo ta obca istota, która potrafi dokonywać wymiany osobowości, mogą być silniejsze — Borton zamyślił się.

— Nie mamy lepszego zabezpieczenia. — Thanel nie sięgnął po czepiec, który nadał nosiłem. Wyjął natomiast cztery następne. — Są jeszcze w fazie eksperymentalnej. Sprawdziły się w badaniach laboratoryjnych, dlatego rozesłano je do przetestowania w warunkach polowych. To czysty przypadek, że w ogóle je mamy.

— O ile rozumiem — zauważył Borton — wybór jest ograniczony. Jedyłą alternatywą jest ściągnięcie ciężkiej broni i zmiecenie tej instalacji z powierzchni Sekhmet. Jeśli tak postąpimy, możemy stracić coś cenniejszego od tych skarbów, które padają łupem złodziei, mianowicie wiedzę. Nie możemy również czekać na wsparcie. Atak na ich twierdzę musi nastąpić szybko, zanim porywacze ciał zdołają opuścić planetę, aby użyć swoich sztuczek gdzie indziej.

— Do środka można wejść przez koci pysk. Może jeszcze o tym nie wiedzą. — Starłem się ze wszech miar być pomocny. — Znam tę drogę.

W końcu stwierdzono, że wejście przez pysk kota daje nam największą szansę na dostanie się na terytorium wroga. Przygotowaliśmy się na ryzyko. Miało iść pięciu mężczyzn, bo posiadaliśmy tylko pięć czepców ochronnych. Kapitan Foss reprezentował załośnie uszczuplone siły Kupców, ja byłem przewodnikiem, a w skład reszty drużyny wchodził medyk Thanel, komendant Borton i trzeci mężczyzna z Patrolu, specjalista od kontaktów z istotami pozaziemskimi.

Pierwszy raz widziałem na oczy tak wyrafinowaną broń jak ta, którą wydobyli członkowie Patrolu — wielofunkcyjne lasery, które mogły służyć jako oręż albo jako narzędzie. Zostały bardzo delikatnie wyregulowane przez specjalistę od elektroniki ze zwiadowczego statku Patrolu, tak że każdy egzemplarz reagował na nacisk palca wyłącznie tego człowieka, który miał prawo go nosić. Gdyby trafił w niepowołane ręce, wybuchłby przy pierwszym strzale.

Z czepcami na głowach, uzbrojeni i zaopatrzeni w świeży prowiant, wspięliśmy się na zbocze urwiska. Wprawdzie dopóki nosiłem czepkę, nie mogłem odkryć żadnego strażnika, posuwaliśmy się jednak ostrożnie, jak zwiadowcy na terytorium nieprzyjaciela. Długie chwile spędziliśmy też na szukaniu śladów, które świadczyłyby o tym, że trójkątny otwór kociego pyska został odkryty. Instrument wykrywający obecność osób, w który wyposażony był Patrol, nie wskazywał jednak, aby czekała tam na nas zasadzka.

Podszedłem pierwszy do otworu i znów wczołgałem się na brzuchu do wąskiego tunelu. Pełzną naprzód, wyteżalem wzrok i nadstawiałem uszu.

Kiedy odbywałem tę podróż po raz pierwszy, nie miałem możliwości zmierzyć długości korytarzy, teraz zaczynałem się nad tym zastanawiać. Wkrótce powinniśmy dotrzeć do przegrody, którą otworzyłem, żeby wejść do komnaty nad salą z ciałami. Tymczasem podczas czołgania się wcale jej nie zobaczyłem, chociaż tym razem niosłem latarkę. Narastało we mnie coraz większe zwątpienie we własną pamięć. Gdybym nie miał na głowie czepca, zacząłbym podejrzewać, że znalazłem się pod wpływem jakiejś podstępnej siły psychicznej.

Posuwałem się stale naprzód, lecz nie dotarłem do drzwi ani do sali za nimi. Ściany wydawały się zbliżać do siebie, chociaż nie musiałem naciskać na nie mocniej niż za pierwszym razem. Pomimo to wrażenie tkwienia w potrzasku nasilało się z każdą długością ciała, o jaką się posuwałem naprzód.

Wtedy snop światła latarki padł nie na drzwi, które znalazłem poprzednio, ale na ciąg wyżłobień w ścianach. Tunel, którym się czołgałem, prowadził ukośnie ku górze. To było rzeczywiście coś nowego, lecz w oryginalnych ścianach korytarza nie widziałem żadnych szczelin. Całkiem się pogubiłem, jednak mogłem tylko iść dalej. Mielibyśmy przy cofaniu się

wielkie trudności, gdyż pełzliśmy rozciągniętym szykiem w przestrzeni zbyt ciasnej, żeby wykonać obrót.

Występy w ścianie umożliwiły mi pokonywanie coraz większej stromizny korytarza. Wciąż nie rozumiałem, co się stało. Nasuwało mi się tylko jedno możliwe wytłumaczenie — byłem pod obcym wpływem za pierwszym razem, kiedy tu się zjawiłem. Po co jednak ta zmyłka? Chyba, że obcy zamierzali w ten sposób zniechęcić złodziei. Istniały przecież urządzenia wypaczające. Nie były czymś nieznanym; znaleziono takie na Atlasie, co prawda niewielkie, lecz nadal sprawne. Służyły do ukrywania przejść przed wzrokiem lub innymi zmysłami. Na innych planetach grobowce były chronione przez wszelkiego rodzaju przemysłne pułapki, których celem było zabić, okaleczyć lub uwięzić na zawsze tych, którzy odważyli się je badać, nie znając ich tajemnic.

Jeśli tak było również tutaj, co znajdowało się przed nami? Mogłem prowadzić naszą drużynę wprost w zasadzkę. Nie byłem jednak wystarczająco przekonany o trafności swoich przypuszczeń, żeby powiedzieć o tym towarzyszom. Nagle ktoś mocno szarpnął mnie za but, omal nie ściągając na dół.

— Gdzie jest ta sala z uspionymi obcymi, o których wspominałeś? — dobiegł z ciemności ostry szept.

Dobre pytanie; nie miałem na nie odpowiedzi. Zanim nie dowiem się czegoś więcej, mogłem się jedynie wykręcać.

— Odległości są mylące, sala wciąż musi być przed nami. — Starłem się przypomnieć sobie, czy dokładnie opisałem poprzednią trasę. Jeśli tak, z pewnością już zauważyli różnice. Spróbowałem przyspieszyć tempo swego robaczego pełzania.

W świetle latarki dostrzegłem ostry zakręt tunelu — prześlizgnąłem się tamtędy z wysiłkiem i wpadłem na taką przegrodę jak poprzednio. Z westchnieniem ulgi wsunąłem palce w otwór i pociągnięciem uchyliłem drzwiczki. Jednak kiedy precyzyjnie się na drugą stronę, moja nadzieja prysła. Nie byłem w komorze nad salą z pojemnikami hibernacyjnymi. Znalazłem się w znacznie szerszym korytarzu, w którym człowiek mógł chodzić wyprostowany, ale nie było tu żadnych innych drzwi. Wstałem i jeszcze raz spróbowałem porównać moje obecne otoczenie z tym, co widziałem poprzednio.

Gdybym za pierwszym razem pozostawał pod wpływem jakiejś sztuczki powodującej halucynacje, nie trafiłbym przecież wprost do jednego z ich magazynów zahibernowanych żołnierzy. Z pewnością byłoby to ostatnie miejsce, do którego chcieliby zaprowadzić intruza. Może czepece Patrolu, zamiast chronić, działały niekorzystnie na umysł — i właśnie to było złudzeniem?



Odsunąłem się od wejścia. Pozostali wchodzili teraz jeden po drugim i dołączali do mnie. Kapitan Foss i Borton wystąpili z pretensjami.

— Gdzie jesteśmy, Vorlund? — spytał Foss. Została tylko prawda. — Nie mam pojęcia...

— Gdzie jest komnata z zamkniętymi w pojemnikach kosmitami?

— Nie wiem. — Dotknąłem ciasnego czepca. Gdybym go zdjął... co bym zobaczył? Czy dotyk mylił się tak samo jak wzrok? Niektóre halucynacje mogły być tak silne, że oszukiwały wszystkie zmysły. Nieomal rozpaczliwie odwróciłem się ku kamiennej ścianie i zacząłem gładzić opuszkami palców jej powierzchnię, mając nadzieję, że dotykiem zdemaskuję fałsz, a tym samym będę mógł go pokonać.

Dano mi bardzo niewiele czasu na tę inspekcję. Mocny, bolesny uścisk ręki Fossa zmusił mnie do odwrócenia się twarzą do czterech mężczyzn, których ze sobą przyprowadziłem.

— Co robisz?

Czy zdołałbym ich przekonać, że byłem teraz ofiarą tak samo jak oni? Że naprawdę nie miałem pojęcia, co się stało ani dlaczego?

— Poprzednio szedłem inną drogą. To może być złudzenie. ..

Usłyszałem gwałtowny sprzeciw Thanela. — To niemożliwe! Czepiec by temu zapobiegł!

Burton przerwał medykowi. — Istnieje bardzo proste wyjaśnienie, panie kapitanie. Najwyraźniej zostaliśmy oszukani przez pańskiego człowieka. — Nie patrzył wcale na mnie, lecz na Fossa, jakby odpowiedzialnością za moje postępowanie obciążał właśnie jego.

Jednak to Foss szybko mnie rozbroił, wyszarpując broń zza mojego pasa. Wtedy zrozumiałem, że wszystkie lata naszej zażyłości przestały już przemawiać na moją korzyść.

— Nie wiem, kim teraz jesteś — rzekł, przyglądając mi się tak, jakby spodziewał się ujrzeć jednego z obcych. — Ale obiecuję, że kiedy twoja pułapka się zatrzaśnie, będziemy gotowi zająć się również tobą!

— Wracamy? — Drugi oficer Patrolu stał przy wejściu do tunelu.

— Nie sędzę — powiedział Borton. — Nie powinniśmy tkwić w ciasnym przejściu, jeśli mamy wpaść w kłopoty.

Foss schował moją broń pod kurtkę. Nagle wykonał raptowny ruch za moimi plecami i zanim przejrzałem jego zamiary, chwycił mnie za nadgarstki. Chwilę później miałem już ręce skrepowane do tyłu. Nawet wtedy nie mogłem uwierzyć, że kapitan wyrzekł się mnie, że Wolny Kupiec mógł dokonać takiej napaści na członka załogi, nie dając mu szans na obronę.

— Którędy? — syknął mi do ucha, sprawdzając wytrzymałość więzów. — Gdzie czekają na nas twoi kompani.

Vorlund? Tylko pamiętaj, że mamy twoją Maelen. Spisz się źle, a nigdy już jej nie zobaczysz. A może ta wielka troska o nią wcale nie była szczerą i służyła ci tylko za wymówkę?

— Nie wiem nic ponad to, co wam już powiedziałem — odparłem, chociaż nie miałem nadziei, że mi uwierzy. — Różnica w wyglądzie korytarzy jest dla mnie takim samym zaskoczeniem jak dla was. Stare legendy powiadają o grobowcach i skarbach, których strzegą wymyślne urządzenia. Jedno z nich mogło się tu znajdować — przypuszczalnie tym razem nasze czepce zakłóciły jego działanie...

— Spodziewasz się, że w to uwierzę? Powiedziałeś przecież, że w trakcie pierwszej wyprawy dotarłeś do grobowca, jeśli ta sala w ogóle była grobem — w głosie Fossa było aż nadto wyraźne niedowierzenie.

— Po co miałbym prowadzić was w pułapkę, skoro sam też bym w nią wpadł? — spróbowałem po raz ostatni.

— Może gdzieś po drodze przegapiliśmy spotkanie z komitetem powitalnym — warknął Foss. — Zadałem ci pytanie, Vorlund — którądy?

— Nie wiem.

Wtedy wtrącił się Thanel. — To może być prawda. Może opanowano go, podobnie jak według jego słów stało się to z innymi. Czepiec mógł ten wpływ zneutralizować — wzruszył ramionami. — Niech pan sam wybierze wytłumaczenie.

— I ścieżkę — powiedział Borton. — Powiedzmy, że pójdziemy w prawo.

Borton i oficer Patrolu poszli przodem, Foss kroczył obok mnie, Thanel zamykał pochód. Korytarz był ledwie na tyle szeroki, żebyśmy obaj mogli iść obok siebie. Podobnie jak wszędzie indziej, również i tu tłoczono jakimś przemyślnym sposobem nadające się do oddychania powietrze, chociaż nie widziałem przewodów, którymi mogłoby przepływać. Posadzkę zaścielał gruby dywan kurzu, którego nie naruszały żadne ślady — dowód, jak sądziłem, na to, że nie była to uczęszczana droga.

Korytarz kończył się raptownie przeczną, w której znajdowały się dwie pary drzwi, obie zamknięte. Nasze latarki rzucały na nie światło, w którym ukazały się namalowane wzory. Wszystkie już kiedyś widziałem i przypuszczalnie wydałem jakiś dźwięk, kiedy sobie to uświadomiłem.

— Ty je znasz! — powiedział Foss. W jego ustach zabrzmiało to bardziej jak oskarżenie niż jak pytanie.

Wizerunek, nakreślony śmiało wyraźnymi liniami, które wyłożono paskami metalu (a nie namalowano, jak w pierwszej chwili sądziłem), przedstawiał wąską mordkę kota ze ściany urwiska. Skośne oczy zwierzęcia były klejnotami, które skrzyły się w blasku naszych latarek. Na drugich drzwiach znajdowała się podobizna korony drugiej nie ludzkiej istoty — tej, która przypominała zwierzę o długim pysku i szpiczastych uszach.

— To są symbole koron obcych!

Thanel podszedł do drzwi z rysunkiem kota i przesunął dłoń po zarysie portalu.

— Moim zdaniem zamknięte. Użyjemy lasera? Borton sam obejrzał je ostrożnie. — Nie chcę uruchomić żadnych alarmów. Co ty na to, Vorlund? Tylko ty byłeś tu przedtem. Jak je otworzyć? — Spojrzał na mnie, jakby to był jakiś specjalny, wymyślony przez niego test.

Zamierzałem właśnie odpowiedzieć, że wiem nie więcej od niego, gdy Foss wydał okrzyk. Przycisnął ręce do czepca na głowie. Nie tylko on jeden doznał takiego wstrząsu. Thanel wykrzywił wargi. Mówił powoli, cedząc słowo po słowie, jakby powtarzał jakąś wiadomość przeznaczoną dla pozostałych.

— Oczy...

Borton, który stał najbliżej drzwi, nakrył jeden błyszczący kamień jedną dłoń, a drugi drugą. Chciałem go ostrzec; od daremnych prób wydania krzyku bolało mnie gardło. Z moich ust wydobywał się jednak tylko charkot.

Rzuciłem się do przodu, z całych sił uderzyłem go barkiem w ramię, starając się oderwać jego dłonie od drzwi. Potem Foss odciągnął mnie w tył, chociaż stawiałem opór.

Rozległ się zgrzyt. Borton opuścił ręce. Drzwi drgnęły, ruszyły w górę. Potem stanęły, zostawiając u dołu szczelinę, przez którą mógł przejść schylony człowiek.

— Nie wchodzi tam! — Jakimś cudem udało mi się ich ostrzec. Tak oczywista była dla mnie ta atmosfera zagrożenia, która płynęła z otworu jak jakaś niewidzialna, oplatająca nas sieć, że nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego oni jej nie czują. Za późno; Borton precyzyjnie się pod drzwiami, nawet nie oglądając się na mnie, tak uporczywie wbijając wzrok w to, co przed nim się znajdowało, jakby był pogrążony w hipnozie. Po nim wszedł Thanel i drugi mężczyzna z Patrolu. Foss stanowczym ruchem popchnął mnie do przodu. Nie mogłem z nim walczyć.

Przeszedłem więc przez szczelinę, czując zagrożenie każdym napiętym nerwem, zdając sobie sprawę, że jestem bezbronnym więźniem, który stanął w obliczu ogromnego, niezrozumiałego niebezpieczeństwa.

## KRIP VORLUND

Nie wiedziałem, czego mam się spodziewać, pominąwszy fakt, że miejsce to było przesycone taką atmosferą grozy, że mogło uchodzić za jaskinię potwora. Jednak to, co ujrzałem, wcale nie wyglądało groźnie, przynajmniej na pozór. Podejrzewam, że wszyscy byliśmy trochę oszołomieni cudownością naszego znaleziska. Tron Qura... tak, to wystarczało, aby nie tylko wzbudzić chciwość, ale i oczarować patrzącego. Jednakże w porównaniu z tym, co leżało teraz przed nami, sprzęt ten przypominał pospolitą ławę w karczmie. Wprawdzie nie widziałem świątynnych skarbów bez opakowania, byłem jednak w tym momencie pewny, że zgromadzone tu przedmioty przyćmiewały je swoim blaskiem.

Sala zalana była światłem, którego nie rzucały nasze latarki, a sprzęty w komnacie nie były ukryte w skrzyniach i pakach, chociaż pod ścianą stały dwa kufry. Sama ściana wyłożona była metalem i kamieniami. Jedna jej część składała się z niewielkich, okolonych ramkami scen, które dawały złudzenie spoglądania przez okno na miniaturowe pejzaże. Ktoś z naszej drużyny gwałtownie wciągnął powietrze. Potem Borton zbliżył się do środkowego obrazu.

Malowidło przedstawiało pustynny krajobraz. Pośrodku piaszczystego pustkowiec wznosiła się piramida, podobna kształtem do tych dwóch pokoi, które poprzednio widziałem. Tylko że ta stała na otwartej przestrzeni i była budowlą z gładzonego kamienia.

— To... to nie może być prawdą! — Komendant Patrołu przyglądał się obrazowi, jakby chciał, aby ktoś go zapewnił, że w rzeczywistości wcale nie widzi tego, co mu się wydaje. — To niemożliwe!

Chyba znał tę budowlę pośród piasków albo kiedyś widział ją na własne oczy, albo oglądał na jakiejś trójwymiarowej taśmie.

— To niewiarygodne! — Foss nie patrzył na malowidło, które pochłaniało uwagę komendanta. Wodził natomiast wzrokiem po skarbach, jakby nie mógł uwierzyć, że nie śni.

Jak już mówiłem, wszystkie przedmioty w tym pokoju były tak rozmieszczone, jakby komnata służyła komuś za mieszkanie. Malowane i inkrustowane skrzynie stały pod ścianami, na których niezwykle realistyczne obrazy przedzielone były zasłonami z barwnych, skrzących się tkanin. Ich powierzchnia posiadała taki połysk, że, nawet kiedy wbijało się w nie wzrok, nie miało się pewności, czy te przedziwne falujące cienie, które bezustannie się pojawiały i znikały, nie były rzeczywiście ledwo widzialnymi postaciami w ruchu. Same draperie zaś wisiały nieruchomo.

W komnacie stały dwa krzesła o wysokich oparciach. Przy jednym z nich znajdował się stół na trzech smukłych nogach. Na oparciu jednego mebla wyryto wizerunek kociej głowy, tym razem podkreślony srebrem na matowoczarnej powierzchni. Drugi fotel był barwy mglistego błękitu i miał na oparciu zawiły, śnieżnobiały ornament.

Posadzkę pod naszymi zakurzonymi stopami zdobiła mozaika z kostek czarnych jak jedno krzesło i błękitnych jak drugie. Pokrywały je dalsze srebrne symbole. Na trójnogim stole stały kryształowe talerzyki i puchar na nóżce.

Thanel podszedł do najbliższego kufra. Podważywszy palcami wystającą krawędź wieka, otworzył go bez wysiłku. Zobaczyliśmy, że skrzynia wypełniona jest po brzegi zwojami barwnych tkanin w kolorze zieleni, która jednocześnie była błękitem, i ciepłej żółci. Może były to ubrania. Nie wyjął żadnego z nich.

Kufry, dwa krzesła, stół i dokładnie naprzeciwko drzwi, zasłona z takiego samego materiału, co draperie na ścianach. Foss zrobił krok w jej stronę, a ja poszedłem w ślad za nim... za kurtyną była Ona... Nie wolno!

Spóźniłem się. Już znalazł ukryte rozcięcie, przez które można było przejść na drugą stronę. Deptałem mu po piętach, chociaż już się domyślałem, co się tam znajdowało. Domyślałem? Nie, ja wiedziałem!

Z tą świadomością oczekiwałem na podmuch lodowatego powietrza z hibernatora... A na dobrą sprawę, dlaczego nie czuliśmy go już w zewnętrznej komorze?

Kobieta leżała oparta na grubej poduszce, odwrócona twarzą w stronę kryształowej ściany. Czułki jej korony ruszały się bez przerwy, chwiały i splatały. Ich zwieńczenia w kształcie kocich głów nie tylko natychmiast skierowały się w naszą stronę, ale zaczęły także wykonywać ostre ruchy w przód i tył. Wyglądało to tak, jakby chciały zerwać więzy łączące je z obręczą na rudych włosach kobiety i rzucić się na nas.

Jeśli kobieta nie znajdowała się w stanie hibernacji, w jaki sposób się zachowa? Nie mogła być pogrążona we śnie, gdyż oczy miała otwarte. Nie dostrzegłem też, aby jej pierś choćby minimalnie podnosiła się i opadała.

— Thanel! — Foss nie wchodził dalej. Na dźwięk jego głosu kocie głowy zawirowały i szarpnęły się, wpadając w szaleńcze ożywienie.

Odepchnięto mnie na bok. Do pomieszczenia wszedł medyk.

— Czy ona żyje? — spytał Foss.

Thanel wyjął detektor siły vitalnej. Pokręcił trochę jego przyrządami i ruszył do przodu. Odniosłem wrażenie, że robił to niechętnie, co jakiś czas rzucając okiem na wijące się

czułki korony. Skierował aparat w stronę leżącej kobiety, przyjrzał się tarczy detektora z posępną miną, nacisnął jakiś guzik i powtórzył pomiar.

— Żyje? — dopytywał się kapitan.

— Nie. Ale nie jest też martwa.

— Co to ma znaczyć?

— Tylko to, co powiedziałem. — Thanel ponownie przycisnął guzik palcem wskazującym drugiej dłoni. — Aparat nie wskazuje ani jednego, ani drugiego, a nie zdarzyło mi się dotąd zetknąć z taką siłą vitalną. W takiej atmosferze nie utrzymałby się stan hibernacji. Jeśli jednak ona nie żyje, pierwszy raz widzę tak świetnie zachowane zwłoki.

— Kto nie żyje? — Borton wyszedł zza zasłony z drugim członkiem Patrolu i na widok kobiety stanął jak wryty.

Nie mogłem na nią dłużej patrzeć. Nieustanny ruch korony z kocimi głowami budził we mnie niepokój, jakby te wirujące bryłki metalu wielkości kciuka rzucały jakiś urok. Po raz ostatni spróbowałem ich ostrzec.

— Martwa czy żywa — mój głos zabrzmiał ostro, zbyt głośno w zamkniętym pomieszczeniu — chce was usidlić. Ostrzegam was, ona jest niebezpieczna!

Thanel spojrział na mnie. Pozostali wpatrywali się w kobietę z taką uwagą, jakby niczego nie słyszeli. Potem Thanel złapał Bortona za ramię i odwrócił go nagłym, szybkim ruchem, tak żeby przestał patrzeć zadziwiającej istocie prosto w oczy. Komendant zamrugał powiekami i grdyka mu drgnęła, jakby przełknął łyk mocnego trunku.

— Rusz się! — Medyk popchnął go jeszcze raz. Wciąż mrużąc oczy, Borton zrobił chwiejny krok do tyłu i wpadł na Fossa. Ja już stałem po drugiej stronie kapitana i popychałem go barkiem, stosując tę samą metodę, co Thanel, tylko nie tak zgrabnie. Z chwilą, gdy Foss przestał stać na wprost kobiety, również najwyraźniej się ocknął.

W końcu wróciliśmy wszyscy za kotarę i stanęliśmy trochę zdyszani, jak gdybyśmy ukończyli wyścig. Poczułem, że czepiec na mojej głowie jest rozgrzany, a drut dotykający skroni prawie parzył. Zobaczyłem, że Thanel dotknął własnej opaski i natychmiast oderwał palce.

Foss jednak podszedł do mnie.

— Odwróć się.

Posłusznie wykonałem polecenie. Poczułem, że manipuluje przy moich nadgarstkach i chwilę później miałem wolne ręce.

— Gotów jestem uwierzyć — rzekł kapitan — że tu się może wszystko wydarzyć. Po tym, co widziałem, gotów jestem uwierzyć! Twój opis kobiety dokładnie odpowiada rzeczywistości. I sądzę, że ona jest śmiertelnie groźna!

— Co z pozostałymi? — spytał Thanel.

— Jeden jest tutaj. — Potarłem lewy nadgarstek prawą dłonią, wskazując głową sąsiedni przedział. — Po dwóch kolejnych stronach następnemu dwaj. Kiedy trafiłem tu poprzednio, w ciele jednego z nich uwięziony był Griss.

Borton znów podszedł do malowidła przedstawiającego piramidę. — Czy wie pan, co to jest?

— Nie. Nietrudno jednak zgadnąć, że pan widział coś podobnego, i to nie na Sekhmet — odparł Foss. — Czy to ma teraz dla nas jakieś znaczenie?

— Być może. Tę budowlę wzniesiono na Terrze w przeszłości tak zamierzchłej, że sami nie potrafimy dokładnie określić jej wieku. Archeolodzy do dziś nie doszli do porozumienia w tej kwestii. Podobno zbudowano ją rękami niewolników w czasach, gdy człowiek nie udomowił jeszcze zwierząt pociągowych ani nie wynalazł koła. A było to przecież wspaniałe osiągnięcie niezwykle wyrafinowanej techniki budowlanej. Wiązano z tą piramidą niezliczone teorie, z których jedna głosiła, iż jej wymiary, z powodu swej zdumiewającej dokładności, zawierają jakieś przesłanie. Nie była również jedyną w swoim rodzaju, lecz jedną z wielu. Ta jednakże uchodzi za pierwszą i najwspanialszą. Przez długi czas twierdzono, że ten stos kamieni jest grobowcem władcy. Teorii tej nigdy jednak w pełni nie udowodniono, gdyż sam grobowiec mógł być późniejszym dodatkiem. Tak czy inaczej, zbudowano go tysiące lat przedtem, zanim nasz gatunek wyruszył w kosmos!

— Na Terrze nigdy nie znaleziono pozostałości po Pionierach — zaprotestował Thanel. — Żadne taśmy historyczne nie wspominają o takich odkryciach.

— Może nigdy nie rozpoznaliśmy takich pozostałości. Ale... — Borton pokręcił głową. — Co teraz wiadomo o Terrze, oprócz informacji z wielokrotnie kopiowanych taśm, w części już prawie legendarnych? Niemniej jednak — i jest to również zdumiewające — w krainie, gdzie stała ta piramida — wskazał na obraz — oddawano niegdyś cześć bogom, których przedstawiano w postaci istot z ludzkimi ciałami i głowami zwierząt lub ptaków. W rzeczy samej czczono tam kociogłową boginię Sekhmet, Thotha z głową ptaka, jaszczurczego Seta...

— Przecież pierwszy zwiadowca, nanosząc na mapę te planety, nazwał je zgodnie ze starym obyczajem, który nakazywał nadawać układom imiona starożytnych bogów! — wtrącił Foss.

— To prawda. Zwiadowcy nazywali planety tak, jak im przyszła fantazja, czerpiąc imiona z taśm, które zabierali ze sobą dla zabicia nudy kosmicznych podróży. A człowiek, który nazwał ten układ, zapewne lubił terrańską historię. Z drugiej strony, mógł pozostawać pod jakimś wpływem — Borton znów potrząsnął głową. — Może nigdy się nie dowiemy prawdy o przeszłości, niemniej jednak jest to odkrycie, które może mieć związek z tajemnicami bardzo zamierzchłych czasów, a może nawet naszych początków!

— Możemy nie mieć okazji dowiedzieć się czegokolwiek, jeśli natychmiast nie dotrzemy do sedna kilku współczesnych tajemnic! — odparł Foss.

Zauważyłem, że odwracał głowę od kotary, jakby czekająca za nią kobieta mogła go zmusić, aby znów przyszedł do niej. Druciki mojego czepca nie były już rozgrzane, czułem się jednak źle w tej komnacie i chciałem ją opuścić.

— Ta korona na jej czole... — Thanel przestąpił z nogi na nogę, jakby chciał znów rzucić okiem na tajemniczą istotę. Zobaczyłem, że Borton przecząco pokręcił głową. — Moim zdaniem to jakieś niezwykle czułe urządzenie komunikacyjne. Co o tym sądzisz, Laird?

— Niewątpliwie... — zaczął drugi oficer Patrolu. — Nie czuł pan reakcji swojej siatki ochronnej? Omal się nie przepaliła, powstrzymując taką energię. A co z koronami, które noszą pozostali? — Odwrócił się do mnie. — Też są żywe... poruszają się?

— Nie przypuszczam. Mają inny kształt.

— Chcę zobaczyć ciało obcego, w którym jest uwięziony Griss — wtrącił się Foss. — Jest w następnej komorze?

Potrząsnąłem głową. Nie miałem pojęcia, ani jak się wchodzi do wnętrza kryształowej piramidy, ani do pozostałych komnat za jej ścianami. Były jeszcze jedne drzwi obok tych ze znakiem kota. Aczkolwiek znajdowały się jedne obok drugich... podczas gdy sale stykały się narożnikami... jak...

Foss nie czekał na moje wskazówki i prześlizgnął się pod drzwiami wyjściowymi. Szybko poszliśmy w jego ślady. Thanel opuścił wrota, które zamknęły się znacznie łatwiej niż otworzyły. Foss manipulował już przy drugich drzwiach. Otwierały się równie niechętnie, co pierwsze, ale wreszcie się podniosły. Nie ujrzelśmy jednak komnaty wypełnionej skarbami, lecz bardzo wąskie przejście, tak ciasne, że można się było nim przeciskać tylko bokiem. Korytarz zakręcał w prawo, a dalej widać było drugie drzwi zasłonięte kotarą.

— Czy to te? — spytał Foss.

— Nie — wyteżądałem pamięć. — Chyba następne. Przepchnęliśmy się między ścianami do kolejnego ostrego zakrętu, aż dotarliśmy do miejsca, z którego niewątpliwie ujrzelibyśmy



dokładnie przed sobą komnatę kobiety kota, gdybyśmy mogli przeniknąć wzrokiem lite ściany. Znajdowały się tam kolejne drzwi, tym razem ze znakiem ptaka. Trzeci zakręt i znaleźliśmy się u celu poszukiwań — przy drzwiach z symbolem jaszczura.

— To tutaj!

Otworzenie tych drzwi było dwukrotnie trudniejsze, gdyż mieliśmy mało miejsca, aby się poruszać. Ja i Foss wyteżyliśmy jednak wszystkie siły i wreszcie wrota się uniosły.

Znów znaleźliśmy się w umeblowanym pokoju. Nie marnowaliśmy jednak czasu na oglądanie skarbów, lecz czym prędzej weszliśmy za zasłonę do drugiego pomieszczenia. Zobaczyłem głowę w koronie i nagie barki człowieka, który siedział na tronie, wbijając nieruchomy wzrok w przestrzeń za kryształową ścianą.

Foss obszedł siedzącego dookoła, żeby spojrzeć mu w twarz. Jego korona nie miała ruchomych części i nic nie wskazywało, abyśmy znaleźli coś więcej niż idealnie zachowane szczątki obcej formy życia. Zobaczyłem jednak, że twarz kapitana się zmieniła, i domyśliłem się, że rozumiał wyraz jej oczu i zdjęła go taka sama zgroza jak wcześniej mnie.

— Griss! — syknął cicho.

Nie miałem ochoty oglądać tego, na co Foss patrzył z tak ponurą zawziętością, wiedziałem jednak, że muszę. Okrążyłem pomału krzesło z drugiej strony i spojrzałem w te udręczone oczy. Tak, to był Griss... wciąż przytomny, wciąż świadomy tego, co się z nim dzieje! Sam dwukrotnie doświadczyłem zamiany ciał, lecz obydwie odbyły się za moją zgodą i miały na celu dobro. Gdyby jednak dokonano takiej zamiany wbrew mojej woli... czy mógłbym o tym pamiętać i nie postradać zmysłów? Sam nie wiedziałem.

— Musimy coś zrobić! — Foss wyrzucił z siebie te słowa z siłą strzału z miotacza. Wiedziałem, że kryła się za nimi ta sama stanowczość, jaką okazywał w obliczu każdego niebezpieczeństwa, które zagrażało „Lydis” i tym, dla których była domem. — Ty — zwrócił się bezpośrednio do mnie — już próbowałaś takiej zamiany ciał. Co możesz dla niego zrobić?

W takich sprawach zawsze byłem stroną bierną, osobą poddawaną zabiegowi, a nie tym, który go wykonywał. Maelen śpiewem przeniosła mnie do ciała barska, kiedy Trzy Pierścienie Sotratha wieńczyły księżyc nad naszymi głowami, a tajemne moce Thassów osiągały najwyższy poziom. A skórę Maquada nałożyłem w schronisku Umphry, gdzie kapłani tego łagodnego i opiekuńczego zakonu mogli udzielić Maelen wszelkiej pomocy, jakiej potrzebowała.

Tylko raz byłem świadkiem przemiany innej osoby, a był to czas strachu i smutku, kiedy Maelen konała i pewna istota z jej małego ludku, Vors, podpełzła do niej i zgodziła się oddać swoje puszyste ciało duchowi Thassy, aby miał się gdzie schronić. Ujrzałem wtedy, jak

dwoje Thassów, siostra Maelen i jej krewny, śpiewem dokonali zamiany. Złapałem się na tym, że także śpiewam słowa, których nie rozumiem. Ale żebym sam miał dokonać takiej zamiany... nie.

— Mogę zrobić... — chciałem dodać: „niewiele”, kiedy przyszło mi na myśl coś, co sam przeżyłem. Biegałem jak barsk Jorth; teraz chodziłem jak Maquad. Czy to możliwe, żeby... Gdyby Griss spróbował, pokonał swoją trwogę i strach wywołany tym, co się z nim stało, czy nie mógłby przejąć kontroli nad nowym ciałem i władać nim, dopóki nie odzyskałby własnego? Musiałbym jednak najpierw dotrzeć do niego. A to oznaczało zdjęcie ochronnego czepca.

Wyłożyłem swój pomysł, nie mając całkowitej pewności, czy da się przeprowadzić, nawet gdybym odważył się przełamać naszą obronę i narazić wszystkich na niebezpieczeństwo. Kiedy ich o tym uprzedziłem, Foss dotknął rękojeści lasera.

— Mamy się czym bronić. Wiesz, co mam na myśli... odważysz się również na takie ryzyko?

Dać się zastrzelić, gdybym został opanowany — nie, nie chciałem narażać się na takie ryzyko, lecz w życiu człowieka chęci i obowiązki często nie mają ze sobą nic wspólnego. Już raz uchyliłem się od tego, co Kupcy uważali za mój obowiązek, tutaj na Sekhmet. Wyglądało na to, że dostałem drugą szansę, aby spłacić stare długi. Przypomniałem sobie, że Maelen została skazana na wygnanie w ciele obcego stworzenia, ponieważ zaciągnęła dług.

— Być może to jego jedyna szansa.

Prędko, zanim zdołałbym zmienić zdanie, sięgnąłem po siateczkę na głowie. Pozostali otoczyli mnie kręgiem, mierząc do mnie z broni. Wszyscy przyglądali mi się podejrzliwie, jakbym zmienił się w nieprzyjaciela. Zdjąłem czepiec.

Doznałem ulgi, poczułem się tak swobodny, jakbym zrzucił jakieś ciężkie brzemie, z którego istnienia nie zdawałem sobie sprawy. Przez chwilę wahałem się jak człowiek, który wchodzi na arenę podobną do tych na Sparcie, gdzie ludzie walczą z dzikimi bestiami. Z której strony może nadejść atak? Najwyraźniej również otaczający mnie towarzysze oczekiwali w napięciu na chwilę, gdy zajdzie we mnie jakaś ohydna przemiana.

— Griss? — Miałem przecucie, że zostało niewiele czasu, i to skłoniło mnie do natychmiastowego działania. — Griss! — Nie byłem bliskim przyjacielem nieszczęsnego więźnia. Należeliśmy jednak do tej samej załogi, wiele razy zdarzało nam się wylosować tę samą wartę, wspólnie wychodziliśmy na przepustki. Dzięki niemu pierwszy raz spotkałem Maelen i dowiedziałem się, kim ona jest. Teraz świadomie odwołałem się do tych wspomnień, żeby wzmocnić sygnał przekazu.

— Griss! — I tym razem...

— Krip... czy... czy ty mnie słyszysz? — Pełne niedowierzania uczucie ulgi.

— Tak — natychmiast przeszedłem do sedna sprawy. — Griss, potrafisz kontrolować to ciało? Nagiać je do swojej woli? — Nie znałem lepszego sposobu niż to pytanie, aby nakłonić go do rozbicia bariery, którą być może zbudował jego własny strach. Teraz musi spróbować pokierować tą obcą skorupą, tak jak za pomocą tabliczki kontrolnej steruje się robotem.

Przeżyłem ciężkie chwile, przystosowując się do postaci zwierzęcia. Grissowi los przynajmniej tego oszczędził; obcy był z wyglądu istotą człekokształtną.

— Potrafisz władać tym ciałem?

Bez trudu odebrałem jego zaskoczenie. Wiedziałem, że nawet mu to nie przeszło przez myśl. Pod wpływem potwornych przeżyć od samego początku nabrał przekonania, że jest bezsilny. Mnie ułatwił transformację fakt, iż zostałem o niej wcześniej uprzedzony, a także pomoc Maelen, która dobrze się znała na takich przemianach, natomiast Grissa brutalnie wzięto do niewoli w taki sposób, że nawet jego procesy myślowe uległy na jakiś czas porażeniu. Największy strach, zwłaszcza mojego gatunku, wzbudza zawsze to co nieznanne.

— Czy ja potrafię? — spytał jak dziecko.

— Spróbuj, skup się! — wydałem mu zdecydowane polecenie. — Ręka, twoja prawa ręka, Griss. Podnieś ją, każ jej się poruszyć!

Jego dłonie leżały na poręczach fotela, na którym siedział. Nie poruszył głową ani trochę, lecz oderwał wzrok od moich oczu, wyraźnie starając się zobaczyć swoje ręce.

— Porusz nią!

Zdobył się na nadludzki wysiłek. Prędko wspomogłem go swoją siłą. Jego palce drgnęły...

— Rusz się!

Ręka uniosła się drżącym gestem, jakby od tak dawna leżała nieruchomo, że mięśnie i kości ledwo potrafiły wypełnić wolę mózgu. Podniosła się jednak, odsunęła trochę od poręczy krzesła, potem zadrżała i opadła bezwładnie na kolano. Ale jednak Griss nią poruszył!

— Udało... mi się! Ale... jestem słaby... bardzo... słaby...

Spojrzałem na Thanela. — On chyba potrzebuje środków pobudzających, być może takich, jakie podaje się po wyjściu ze stanu hibernacji.

Lekarz zasepił się. — Nie mam aparatury do takiego zabiegu.

— Musisz mieć przecież coś w polowej apteczce, jakiś zwykły zastrzyk wzmacniający.

— Obcy metabolizm — mruknął Thanel, ale otworzył apteczkę. — Nie możemy przewidzieć reakcji jego organizmu.

— Powiedz mu... — w myślach Grissa pobrzmiwała desperacja. — Próbujcie wszystkiego! Wolę śmierć od życia w takim stanie!

— Daleko ci jeszcze do śmierci — odparłem.

Thanel wyjął sześcian iniekcyjny, wciąż w sterylnym opakowaniu. Nachylił się nad siedzącym i przyłożył kostkę do jego nagiej klatki piersiowej w miejscu, w którym u człowieka znajdowałoby się serce. Przynajmniej się przykleiła, nie została natychmiast odrzucona.

Ciało podskoczyło, kończynami szarpnęły wyraźne skurcze.

— Griss?

— Ahhh... — brak komunikatu, jedynie przeniesione doznanie cierpienia i strachu. A jeśli Thanel miał rację i środek pobudzający przeznaczony dla naszego gatunku okaże się groźny dla niego?

— Griss! — Chwyciłem tę rękę, którą poruszył z takim trudem, ścisnąłem ją w obu dłoniach. Tylko dzięki temu mocnemu uściskowi nie wstrząsały nią gwałtowne dreszcze. Druga ręka uniosła się znad poręczy krzesła, wykonywała nieskoordynowane ruchy. Nogi kopały, całe ciało skręcało się, jakby próbowało wstać, lecz nie mogło ukończyć ruchu.

Potem ożyła nieruchoma, pozbawiona wyrazu twarz. Usta otwierały się i zamykały, jakby mężczyzna krzychał, chociaż z jego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Wargi uniosły się, odsłaniając zęby, co upodobniło go do zapędzonej w ciasny kąt bestii.

— To go zabije! — Foss zrobił gest, jakby chciał oderwać sześcian, ale medyk złapał go za nadgarstek.

— Proszę tego nie ruszać! Przerwanie w tej chwili zabije go z pewnością!

Złapałem Grissa za drugą rękę i trzymałem obie jego dłonie, usiłując dotrzeć do jego umysłu.

— Griss!

— Jestem... tutaj... —tak powoli odpowiadał mi myślami, że jego komunikat przypominał bardzo bełkotliwą mowę. — Wciąż... jestem... tutaj...

Wyczułem w jego odpowiedzi pewne zdumienie, jakby był zaskoczony tym faktem.

— Griss, możesz poruszyć rękami? — Rozluźniłem uścisk, w którym trzymałem jego dłonie, i położyłem je na jego kolanach.

Nie trzęsły się już ani nie podrygiwały gwałtownie. Powoli uniosły się na wysokość jego klatki piersiowej. Dłonie zacisnęły się w pięści i ponownie rozprostowały, palce poruszały się jeden po drugim, jakby poddawane próbie.

— Mogę! — Nie było już śladu po ospałości, jaką słyszałem w jego głosie jeszcze przed chwilą. — Pomóż mi... pomóż mi wstać!

Zacisnął dłonie na poręczach fotela. Widziałem, jaki wysiłek wkładał w to, żeby się na nich oprzeć i unieść w górę. Potem udało mu się i stanął prosto, chociaż słaniał się na nogach i trzymał krzesła. Thanel szybko wziął go pod jedną rękę, ja pod drugą. Griss zrobił kilka chwiejnych kroków, lecz następne stawiał coraz pewniej.

Po zużyciu ładunku kostka stymulująca odkleiła się i odpadła od jego piersi, która unosiła się teraz w głębokim oddechu. Znowu mogłem podziwiać imponujące kształty jego ciała. Doprawdy, wyglądał jak ożywiony posąg jakiejś wyidealizowanej ludzkiej postaci. Był wyższy o dobre dwie dłonie od nas obu, którzy szliśmy obok niego, a pod jego bladą skórą mięśnie grały coraz swobodniej.

— Pozwólcie, że sam spróbuję — nie wyraził już tego myślami, ale słowami. Jego głos miał dziwnie matową barwę i pobrzmiwało w nim lekkie wahanie, lecz rozumieliśmy go bez trudu. Rozluźniliśmy uścisk, chociaż byliśmy gotowi w każdej chwili go podtrzymać w razie potrzeby.

Chodził tam i z powrotem, pewnymi już i mocnymi krokami. Zatrzymał się wreszcie przy krześle, obydwojma rękami zdjął z głowy groteskową koronę i cisnął ją z impetem. Diadem spadł z brzękiem na siedzisko mebla.

Jego obnażona głowa była łyśa jak u tego obcego w pojemniku hibernatora. Griss pogładził się jednak kilka razy po czaszce, jakby chciał nabrać pewności, że korony już nie ma. — Udało mi się! — w jego głosie słychać było triumf. — Całkiem tak, jak myślałeś', Krip. A jeśli ja mogłem — to oni też!

Krip Vorlund

— Jacy oni? — zdziwił się Foss.

— Lidj i oficer Patrolu — tam i tam! — Odwrócił się twarzą do przezroczystej zewnętrznej ściany, wskazał na lewo i prawo na pozostałych dwóch obcych. — Widziałem, jak ich przyprowadzono i zmuszono do wymiany ciał. Mnie spotkało to samo!

— Ciekawe, dlaczego takie zamiany są konieczne — zastanowił się Thanel. — Jeśli my mogliśmy przywrócić do życia ciało, dlaczego im miałyby się nie udać ożywić swoich? Po co zadawać sobie tyle trudu i zabierać ciała innym?

Griss pocierał czoło dłonią. — Czasami... czasami wiem coś... o czym oni wiedzieli. Wydaje mi się, że za bardzo cenią własne ciała, żeby je narażać na ryzyko.

— To część ich bogactwa! — zaśmiał się zgryźliwie Foss. — Używają cudzych ciał do pracy, zachowując pewność, że mają dokąd wrócić, gdyby opakowanie zastępcze zostało uszkodzone. Są bezwzględni jak nocne demony-harpie! Zobaczmy, czy uda nam się wydostać z pułapki Lidja i tego waszego człowieka.

Borton nachylił się nad oparciem krzesła, sięgając po diadem, który rzucił tam Griss.

— Nie! — Jednym skokiem Griss przebył dzielącą ich odległość i stracił koronę na posadzkę. — To jest w pewnym sensie komunikator, który zawiadamia ich, co się dzieje z ciałem ...

— Skoro więc więź została zerwana — zauważyłem — ten obcy nabierze podejrzeń i przyjdzie sprawdzić, co się stało...

— Lepsze już to niż miałyby znienacka znów zawładnąć moim umysłem! — odparł Griss.

Jeśli zagrożenie, w które najwyraźniej wierzył, rzeczywiście istniało, miał rację. Mogło nam zostać bardzo niewiele czasu.

Borton pierwszy przerwał milczenie. — Tym bardziej powinniśmy spróbować uwolnić pozostałych.

— Który to Lidj? — Foss już szedł w stronę wyjścia.

— Ten po lewej stronie.

Wróciliśmy do przedsionka. Griss otworzył jedną ze skrzyń, jakby doskonale wiedział, czego szuka. Wydobył jakieś zawiniątko i rozłożył je jednym strzepnięciem, po czym naciągnął na nagie ciało matowoczarny, obcisły kombinezon. Był to jednoczęściowy strój z butami, a nawet rękawicami — w tej chwili wywiniętymi na nadgarstkach, oraz kapturem, który wisiał luźno na plecach. Naciśnięcie czubkiem palca zamykało rozcięcia, nie zostawiając po nich nawet śladu.

Było coś dziwnego w tym ubraniu. Matowa czerń wydawała się rozmywać kontury, tak że widać było wyraźnie tylko głowę i gołe dłonie Grissa. Niewątpliwie był to skutek złudzenia optycznego, lecz podejrzewałem, że po nałożeniu kaptura i rękawic trudno byłoby go zauważyć.

— Skąd wiedziałeś, gdzie go szukać? — Borton przyglądał się badawczo mężczyźnie.

Griss, który zapinał ostatnie rozcięcie ubrania, znieruchomiał z palcem przyciśniętym do szwu. Na jego przystojnej twarzy odbiło się lekkie zaskoczenie.

— Nie mam pojęcia... po prostu wiedziałem, że jest tutaj i muszę je nałożyć.

Z nas wszystkich tylko ja go rozumiałem. Odwiecznym zjawiskiem towarzyszącym zmianie postaci był fakt. iż. pewna (oby jak najmniejsza) część poprzedniej świadomości dawała o sobie znać przy niektórych czynnościach. W nim jednakże tkwiła groźna pozostałość. Zastanawiałem się. Czy Griss wie o tym, czy może będziemy zmuszeni obserwować, czy nie przejawia cech kosmity w jakiś istotniejszy sposób.

Thanelowi musiało to samo chodzić po głowie, gdyż zapytał: — Co zapamiętałeś z wiedzy tych obcych?

W zaskoczonym głosie Grissa przebijał niepokój.

— Nic! Nawet nie myślałem... potrzebowałem tylko ubrania. Wiedziałem, gdzie go szukać. Ja... po prostu wiedziałem... to wszystko!

— Ciekaw jestem, ile jeszcze będzie „po prostu wiedział”? — Borton obejrzał się na Thanela zamiast na Grissa, jakby lepszych wyjaśnień spodziewał się po medyku.

— Marnujecie czas! — Foss stał przy drzwiach. — Musimy uwolnić Lidja i Harkona! I uciec stąd, zanim ktokolwiek przyjdzie sprawdzić, co się stało z Grissem.

— Co z moim czepcem? — spytałem.

Thanel poprzednio przekazał go drugiemu oficerowi Patrolu. Tutaj była mi jednak potrzebna każda dostępna osłona. Podano mi siateczkę i nałożyłem ją na głowę z westchnieniem ulgi, chociaż natychmiast doznałem uczucia, jakby przygniatał mnie nieznośny ciężar.

Przeszliśmy wąziutkim korytarzem do następnej komnaty, gdzie na leżance spoczywał w pozycji półsiedzącej obcy w ptasiej koronie. Mając za sobą uwolnienie jednego więźnia, nabrałem pewności siebie. Tym razem poszło mi łatwiej, gdyż Juhel Lidj miał większe zdolności telepatyczne.

Potem zawróciliśmy i oswobodziliśmy również Harkona. Odnosiłem jednak wrażenie, że Bortonowi nie podobali się za bardzo nowi członkowie naszej małej ekipy. Odrzucili korony i okazywali wyraźną chęć wystąpienia przeciwko tym, którzy zabrali im ciała. Nie mogliśmy jednak być pewni, czy w razie gdyby doszło do walki, będzie można na nich polegać.

Wróciliśmy do drzwi z rysunkiem kota. Przez chwilę zwlekałem z odejściem, przyglądając się uważnie symbolowi. Trzej mężczyźni, jedna kobieta — kim byli? Władcami, kapłanami, naukowcami z innego czasu i miejsca? Dlaczego ich tu zostawiono? Czy była to przechowalnia w rodzaju naszych medycznych chłodni, czy może przygotowana ze względów politycznych kryjówka, w której władcy postanowili przeczekać jakąś rewolucję, słusznie budzącą ich obawy? Albo...

Wydawało mi się, że wykonane z klejnotów oczy kota błyszcząły złośliwie, że malowało się w nich poczucie wyższości i rozbawienie. Miałem wrażenie, że ktoś zna dokładnie rozmiary mojej niewiedzy i z tego powodu nie traktuje mnie serio. Zapłonęła we mnie iskra tajonego gniewu. Nic lekceważyłem jednak tej istoty, która przebywała za tymi drzwiami i przypuszczalnie tylko czekała na okazję, aby objąć władzę.

— Gdzie teraz? — Borlon rozglądał się, jakby oczekiwał, że zaświeci się jakiś drogowskaz.

— Do reszty naszych ludzi — odparł zdecydowanie Lidj. — Uwięziono ich gdzieś tutaj...

Pomyślałem, że „gdzieś tutaj” to żadna wskazówka w tych podziemiach. Najwyraźniej Fossowi przyszło do głowy to samo, gdyż spytał: — Nie masz pojęcia gdzie?

Odpowiedzi udzielił mu Harkon. — Nie wiemy, gdzie są. Ale to, gdzie znajdują się ciała, to już zupełnie inna sprawa.

— Chcesz powiedzieć, że potrafiłbyś je znaleźć? — spytał Thanel.

— Owszem. Chociaż czy samo zetknięcie wywoła kolejną zamianę...

— Skąd o tym wiesz? — Medyk uparcie wracał do pierwszej części jego odpowiedzi.

— Nie potrafię tego wyjaśnić. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Potrafię jednak ustalić, że ten, kto chodzi teraz w ciele Harkona, znajduje się tam. — Bez wahania wskazał prawą ścianę tunelu.

Nic wiedziałem wprawdzie, co nam przyjdzie z tej wiedzy, skoro nie jesteśmy w stanie przedostać się przez litą skałę. Po drodze nic odkryliśmy żadnego innego przejścia (nadal głęboko zastanawiały mnie różnice między moją pierwszą wyprawą w głąb labiryntu a tą, którą teraz odbywaliśmy).

Harkon stał zwrócony twarzą do pustej ściany. Był zasepiony. Tak uważnie wpatrywał się w gładki kamień, jakby dostrzegał jakiś niewidzialny dla nas wzór.

Po chwili potrząsnął głową. — Nie tutaj, trochę dalej — mruknął. Nic rozwinął tematu, lecz poszedł wzdłuż, ściany, co jakiś czas muskając ją opuszkami palców, jakby dotykiem potrafił zlokalizować to, czego nic mógł znaleźć wzrokiem. Tak bardzo był tym pochłonięty, że jego skupienie udzieliło się również nam, chociaż nie sądziłem, aby te poszukiwania przyniosły jakieś rezultaty. Potem zatrzymał się i mocno klepnął kamień otwartą dłonią.

— Dokładnie tutaj... jeśli zdołamy przebić się przez ścianę.



— Odsuńcie się. — Niezależnie od tego, czy Borton zaakceptował przewodnictwo Harkona czy nie, najwyraźniej zamierzał posłuchać jego sugestii. Wymierzył z broni do wskazanego miejsca na ścianie i wypalił.

Siła broni była niesamowita, przypuszczalnie tym większa jeszcze, że znajdowaliśmy się w bardzo ciasnym pomieszczeniu. Już po chwili w litej skale ziała ciemna dziura. Harkon wskoczył do środka, zanim zdążyliśmy go powstrzymać.

Rzeczywiście wyszliśmy na drugi korytarz. Świeciło w nim szare światło. Harkon bez wahania ruszył przed siebie tak szybkimi krokami, że ledwo mogliśmy za nim nadążyć.

Tunel był krótki i wkrótce wyszliśmy na balkon w pobliżu wierzchołka kolejnej komnaty w kształcie piramidy. Miała trzykrotnie większe rozmiary od tych, które dotychczas oglądałem. Z góry widzieliśmy, że na dole wrze praca. Roboty wyjmowały ze skrzyń i kontenerów ogromne ilości maszyn i jakiegoś rodzaju instalacji. Dźwigi unosiły części urządzeń i ładowały je na transportery. Jednakże pojazdy te nie poruszały się ani na kołach, ani...

— Antygrawy! — Borton przysunął się bliżej do krawędzi. — Mają antygrawy w małych transporterach.

Znaliśmy zasadę antygravitacji. Nie umieliśmy jednak jej zastosować w jednostkach ruchomych, lecz tylko w budynkach, gdzie służyła do przemieszczania się z jednego piętra na drugie. Tutaj równe kolumny pojazdów wypełnionych ciężkimi skrzyniami ciągnęły w stronę ciemnej bramy w przeciwległej ścianie.

— Gdzie nadzorca? — Drugi oficer patrolu wyjrzał przez barierkę.

— Moim zdaniem są zdalnie sterowane. — Foss wstał.

Kiedy dostrzeżliśmy to poruszenie, rzuciliśmy się wszyscy na podłogę. Najwyraźniej jednak teraz kapitan uważał, że nie mamy powodów do obaw. Chwilę później dodał: — To są zaprogramowane roboty.

Zaprogramowane roboty! Stopień komplikacji działań na Sekhmet okazywał się większy z każdym odkryciem, jakiego dokonywaliśmy. Programowane roboty nie przypominały zwykłych maszyn, jak na przykład sterowane jednostki, które widzieliśmy wcześniej i którymi sami się posługiwaliśmy. Odznaczały się znacznie bardziej skomplikowaną budową i wymagały starannej konserwacji, co czyniło je mało przydatnymi do pracy na prymitywnych planetach. Nie używano ich na pograniczu. Niemniej jednak te pracowały całe lata świetlne od cywilizacji, która je wyprodukowała. Samo ich dostarczenie na miejsce i przygotowanie do pracy było poważnym zadaniem.

— W kryjówce rabusiów? — zaprotestował Foss.

— Niech pan się przyjrzy uważniej! — Borton wciąż spoglądał na dół. — To jest systematycznie plądrowany magazyn. Przede wszystkim, kto mógłby umieścić tutaj taki skład...

— Pionierzy — odpowiedział Lidj. — Ale maszyny? To nie jest grobowiec ani...

— Ani cała masa innych rzeczy! — przerwał mu Borton. — Na Limbo znaleziono urządzenia Pionierów. Jedyna różnica polega na tym, że tamte były opuszczone, a nie złożone do magazynu. Tutaj być może zachowano całą cywilizację — ludzi i maszyny! Poza tym Pionierzy nie tworzyli jednej kultury, nie należeli nawet do jednego gatunku. Spytajcie Zakatian, oni mogą wam wyliczyć dowody istnienia przypuszczalnie dziesięciu cywilizacji, które zidentyfikowano w przybliżeniu, oraz fragmentów innych, wcześniejszych kultur, o których nic nie wiemy! Wszechświat jest cmentarzyskiem zaginionych ras, a niektóre z nich osiągnęły szczyty rozwoju, których dziś nie potrafimy ocenić. Gdyby można było uruchomić te maszyny, poznać ich przeznaczenie...

Sądzę, że wnioski płynące z tego, co powiedział, wprawiły nas w osłupienie. Oczywiście, wszyscy wiedzieliśmy o takich poszukiwaniach skarbów, jakie prowadzono na Thoth; było to pospolite zjawisko. Szczęśliwych odkryć dokonywano od czasu do czasu w całej galaktyce. Biblioteki Zakatian. prastarej, niezwykle uczonej jaszczurczej rasy miłośników wiedzy wypełniała mądrość dawno zaginionych gwiazdnych cywilizacji. Zakatianie prowadzili ekspedycje archeologiczne, przenosząc się z jednej planety na drugą w poszukiwaniu skarbu, którego wartość mierzyli nie wyposażeniem grobowców, nie tajnymi skrytkami odkrytymi w dawno opuszczonych ruinach, lecz wiedzą tych, którzy je stworzyli.

Wyprawy ludzi również natrafiały na podobne znaleziska. Wspomniano już o Limbo, gdzie dawno temu jednostka Wolnych Kupców dokonała zaskakującego odkrycia.

Pomimo to łupy zagrabione tutaj nie wypłynęły jeszcze na rynkach wewnętrznych planet, na których, logicznie rzecz biorąc, powinny zostać sprzedane. Ich wyjątkowość zostałyby natychmiast zauważona, gdyż plotki o takich znaleziskach rozchodzą się szybko.

— Przypuśćmy, że... — wyraźnie zafascynowany Foss nadal obserwował pojazdy antygravitacyjne, które w paradnym szyku opuszczały magazyn — tę akcję rozpoczęli rabusie, może nawet Gildia. Potem jednak kontrolę przejęli obcy.

— Właśnie — rzucił krótko Lidj. — Być może akcją dowodzą teraz pierwotni właściciele. — Podniósł obie ręce i pogłodził się po bezwłosej czaszce. Na jego czole wciąż widniał ślad odcisnięty przez ciężką koronę.

— Chcesz powiedzieć... — zaczął Borton.

Lidj odwrócił się do niego. — Czy to takie dziwne? Zamrażaliśmy ludzi na całe lata. Prawdę mówiąc, nie wiem, ile wynosił najdłuższy okres hibernacji zakończony pomyślnymżywieniem. Być może oni po obudzeniu podejmą życie w miejscu, w którym je przerwali, gotowi wprowadzić w czyn jakiś własny plan. Czy zaprzeczy pan, że już udowodnili, iż posiadają tajemnice, których my nie znamy? Niech pan spyta swojego człowieka, Harkona — jak wyjaśni to, co spotkało nas trzech?

— Przecież pozostali obcy, których tutaj złożono, a przynajmniej ten w pojemniku na szczycie urwiska, byli martwi — protestowałem bez większego przekonania, gdyż zbyt wiele dowodów wskazywało na to, że racja jest po stronie Lidja.

— Może większość rzeczywiście umarła, może dlatego potrzebują naszych ciał. Kto wie? Założę się jednak, że to oni — ci trzej, którzy przybrali naszą postać — dowodzą teraz tą akcją!

Harkon odalił się trochę, podchodząc niebezpiecznie blisko do krawędzi balkonu. Teraz odezwał się takim samym niskim głosem, jakim mówił nasz magazynier.

— Czy te lasery można nastawić na wiązkę zakłócającą?

— Nie pojmowałem, o co mu chodziło, ale Borton najwyraźniej zrozumiał pytanie i podszedł do niego.

— Stąd będzie trudno — zauważył komendant.

— Trudno czy nie, możemy spróbować. Proszę mi go podać...

Czy Borton zawahał się chwilę, zanim przekazał mu broń? Jeśli tak, potrafiłem go zrozumieć, gdyż sam w głębi duszy żywiłem co do tych trzech mężczyzn niejasne podejrzenia. Niełatwo jest pogodzić się z zamianą ciał, nawet jeśli zna się Thassów.

Borton jednak najwyraźniej zaufał pilotowi i podał mu laser. Harkon przykucnął pod mocno nachyloną ścianą, przez co zmuszony był garbić się nad bronią. Otworzył komorę ładowania, obejrzał zasilacz, zamknął wieczko i zmienił ustawienie mocy strzału.

Z bronią w ręku spojrział na dół, wybierając sobie cel. Po lewej stronie jeden z robotów ładował metalowy pojemnik na oczekujący pojazd. Harkon wymierzył broń i nacisnął guzik spustu.

Zygzak błyskawicy z trzaskiem przeszył powietrze, nic trafiając samego robota, lecz otaczając aureolą jego okrągłą głowę. Automat owinął giętką macką pojemnik, zamierzając przenieść go na transporter. Nie ukończył jednak tego manewru. Zamarł, wciąż trzymając pojemnik w górze.

— Na Kły Stanton Gore, udało ci się! — nieomal wrzasnął Borton.

Pilot nie marnował czasu na czekanie, aż mu ktoś pogratuluje celności strzału. Wymierzył w następnego robota i jego również unieruchomił.

— Więc potrafisz je wyłączyć — zauważył Lidj. — Co teraz... — przerwał nagle i złapał Bortona za ramię. — Czy istnieje szansa, aby je przeprogramować?

— Możemy mieć nadzieję.

Roboty, które znałem i którymi się zawsze posługiwałem, były automatami sterowanymi. Wolni Kupcy odwiedzali tylko zacofane światy, gdzie maszyny były proste, jeśli w ogóle ich używano. Nie miałem zielonego pojęcia o programowaniu skomplikowanych robotów. Wiedza ludzi z Patrolu była jednak rozległa. Najwyraźniej Borton i Harkon liczyli na to, że uda im się zmusić maszyny do wykonywania jakiejś pracy.

Zabrali się właśnie do ustalenia, czy będzie to możliwe. Kiedy wszystkie sześć robotów stanęło, zeszliśmy na dół z balkonu. Transportery antygravitacyjne wciąż sunęły powolnym i jednostajnym ruchem, chociaż odjeżdżające teraz pojazdy były tylko częściowo wyładowane. Foss i drugi oficer Patrolu zaczęli ostrzeliwać z laserów ich elementy napędowe, z mniejszą może precyzją, ale równie imponującym skutkiem. Transportery runęły na ziemię z głuchym łoskotem, od którego zatrzęsyły się kamienne ściany grotu.

Mężczyźni z Patrolu otoczyli najbliższego robota. Harkon już manipulował przy ochronnej obudowie jego „mózgu”. Mnie jednak bardziej ciekawiły same pojazdy. W gruncie rzeczy były to zaledwie jajowate metalowe pojemniki o niskich bocznych ściankach, które służyły do przytrzymywania ładunku. Skrzynia napędu znajdowała się z tyłu. Ich budowa nie przypominała niczego, z czym się wcześniej zetknąłem.

— Cos’ się zbliża! — Ostrzeżeni przez Grissa, wszyscy padliśmy na ziemię. W otworze tunelu zamajaczył jednak tylko pusty transporter, który wracał po kolejny ładunek. Foss uniósł już laser, żeby go unieruchomić, kiedy Lidj podbił mu rękę.

— Może nam się przydać! — Skoczył z biegu, złapał za krawędź ścianki pojazdu i wdrapał się do środka. Ten wciąż jechał naprzód, posuwając się jednostajnym ruchem wzdłuż rzędu pakunków. Wreszcie stanął przed nieruchomym robotem, który nadal trzymał skrzynię w zakończonych szczypcami wysięgnikach.

Kiedy wgramoliliśmy się do transportera, Lidj siedział w kucki przed przyrządami sterującymi, próbując zrozumieć zasadę ich działania. Pusty pojazd kołysał się lekko pod wpływem naszych ruchów i zmiennego obciążenia, więc musieliśmy się mieć na baczności.

— Mógł zostać ustawiony na jeden z dwóch sposobów — oznajmił magazynier. — Transporter ruszy albo kiedy na pokładzie znajdzie się określony ciężar, albo po upływie

ustalonego czasu. Jeśli jest to ta druga ewentualność, będziemy mieli kłopoty. Będziemy zmuszeni albo go unieruchomić, albo puścić wolno. Jeśli zaś jest to kwestia ciężaru...

Foss pokiwał głową. — Wtedy się nim posłużymy.

Domyślałem się, co zamierzali zrobić. Chcieli zbudować ścianę ze skrzynek wzdłuż brzegów transportera, następnie sięść pośrodku i odjechać bez obawy, że po drodze zabłądzimy. Oczywiście zmierzalibyśmy w stronę wroga, aczkolwiek element zaskoczenia działałby na naszą korzyść.

— Sprawdź, ile czasu upłynie, zanim ruszy — dokończył Foss.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Nadjeżdżał właśnie drugi pojazd. Nie kierował się jednak do miejsca, w którym czekaliśmy, lecz w stronę placu załadunku, gdzie załozce Patrolu udało się już zdjąć górną pokrywę robota.

— Uważajcie!

Ludzie się rozbiegli, kiedy podjechał transporter, o mało co nie uderzając w podniesione ramię maszyny ładowniczej. Potem platforma stanęła, czekając na załadunek. Mężczyźni wstali i przystąpili do holowania krępego robota, odciągając go na bok, gdzie mogliby spokojnie nad nim pracować bez obawy, że przejedzie ich jakiś pojazd.

Lidj wciąż klęczał przy skrzyni napędu. Przestał już szukać dźwigni czy guzików sterujących. Foss kazał nam liczyć i wszyscy zawzięcie odliczaliśmy ciągnące się minuty, z napiętymi nerwami czekając na pierwszy znak, że transporter zamierza ruszyć. Pojazd jednak nadal unosił się w powietrzu. Usłyszałem, jak kapitan westchnął z ulgą.

— Sto — powtórzył na głos. — Jeśli nie ruszy, zanim doliczę do pięciu...

Poruszał bezgłośnie wargami. Transporter nawet nie drgnął.

— Dotychczas idzie świetnie. Z pewnością uruchamia go ciężar.

W czasie, kiedy przeprowadzaliśmy ten prymitywny test, nadjechał trzeci pojazd. Razem z tymi trzema, które unieruchomiliśmy, było teraz sześć. Ile mogło być ich wszystkich? Ile czasu upłynie, zanim ktoś przyjdzie się rozejrzeć, jeśli nie wróca?

Foss i Lidj podeszli do jednego z obładowanych transporterów, które zatrzymaliśmy. Jedną z obowiązkowych umiejętności magazyniera jest szacowanie masy towaru, ustalanie na oko rozmiarów i ciężaru ładunku przeznaczonego do składowania. Lidj był w tej dziedzinie znawcą. Ja nie miałem jeszcze takiego doświadczenia, niemniej jednak odbyłem dość długie ogólne szkolenie pod jego surowym nadzorem, żeby ocenić w przybliżeniu wagę ładunku na wyłączanej platformie. Kiedy już to ustaliliśmy, przeszliśmy się wzdłuż stert wciąż leżących na stojakach skrzyń, żeby wybrać takie, które ochronią nas swoją masą, lecz nie będą zbyt wiele ważyły, gdyż do obciążenia trzeba doliczyć wagę naszych ciał.

Po dokonaniu wyboru rozpoczęliśmy ręczny załadunek. Była to męcząca praca, która nie miała nic wspólnego ze zwykłymi zajęciami na statku. Pod wpływem stresu człowiek jednak potrafi dokonać wielu rzeczy, które normalnie uznaliby za niemożliwe. Wznieśliśmy z wybranych pudeł i pojemników ściany wzdłuż krawędzi platformy, zostawiając pośrodku wolną przestrzeń. Borton przyszedł ocenić wyniki naszej pracy i pokiwał głową na znak zadowolenia.

— Pozwólcie nam tylko uruchomić jednego z tych chłopców — wskazał głową na roboty — i ruszamy w drogę.

Nie potrafiłem odgadnąć, co zamierzał zrobić z przeprogramowanym robotem załadunkowym. Byliśmy też zbyt zajęci własną pracą, żeby przyglądać się ich wysiłkom. Nagle rozległ się zgrzyt. Automat zniżył wyprostowane ramię i upuścił trzymaną w nim skrzynię. Odwrócił się na gąsienicach w stronę szerokich wrót.

— Teraz... — Harkon podszedł do drugiego robota, jakby nim również miał zamiar się posłużyć. Wtedy chwycił się obydwoma rękami za głowę.

— Czas właśnie dobiegł końca. — Znikło radosne uniesienie, jakie przebijało w jego głosie jeszcze przed sekundą. — Jeśli mamy coś zrobić, musimy to zrobić natychmiast!

## KRIP VORLUND

Od jakiegoś czasu nie wrócił żaden pojazd ciężarowy. Pomimo to Griss, Lidj i Harkon stali zwrócenii twarzami w stronę wrót, jakby słyszeli jakiś sygnał.

— Oni są zaniepokojeni — ci, którzy noszą nasze ciała — Harkon poinformował Bortona. — Jeśli chcemy zachować przewagę, musimy szybko przystąpić do działania.

Komendant włączył robota i maszyna ruszyła w kierunku drzwi. Traktując ją jako straż przednią, wsiedliśmy do transporterów. Kiedy pojazdy oddaliły się od miejsca załadunku, nabierając po drodze prędkości, miałem ochotę krzyknąć z radości. Nasze obliczenia dotychczas się sprawdzały. Ciężar uruchomił pojazdy.

Kiedy już znaleźliśmy się w powietrzu, zatęskniłem za szybkością ślizgacza. Nie mogliśmy jednak przyspieszyć tego powolnego tempa, podobnie jak nie sposób było pogonić robota, który włókł się na przedzie. Dobrze chyba jednak zrobiliśmy, że trzymaliśmy się z dala od niego. Po drodze bowiem automat ożył. Dotychczas posługiwał się dwoma długimi, wyposażonymi w przeguby ramionami, które zakończone były podobnymi do pazurów chwytakami. Miał również giętkie macki, dwie powyżej i dwie poniżej tych ramion. Teraz wywijał energicznie wszystkimi sześcioma, młóćąc nimi powietrze.

Wprawdzie ludzie korzystają z usług maszyn od tak wielu wieków i teraz chyba tylko Zakatianie znają dokładną ich liczbę, sądzę jednak, że w głębi serca każdego z nas tli się maleńka iskierka strachu, że pewnego dnia, w jakichś okolicznościach, maszyny zbuntują się i wywrą na nas swą bezrozumną zemstę. Dawno temu odkryto, że roboty o zbyt ludzkim wyglądzie nie mają zbytu. Nawet najmniejsze podobieństwo wyzwalalo uczucie odwiecznej odrazy.

Teraz, kiedy leżałem obok Fossa i Lidja w transporterze i obserwowałem gwałtownie wymachującego ramionami robota, który najwyraźniej zwariował, cieszyłem się, że nasz pojazd nie jechał za nim jako pierwszy, lecz jako drugi. Niech Patrol czerpie przyjemność — jeśli można to nazwać przyjemnością — z zaszczytu jechania na przedzie. Im dalej się znajdowałem od tego metalowego potwora, który najwyraźniej nosił się z zamiarem zniszczenia świata, tym lepiej.

— Są już niedaleko — słowa Lidja dotarły do mnie mimo zgrzytów robota.

— Ilu? — spytał Foss.

— Przykro mi, ale moje zdolności nie są tak wybiórcze — w tej odpowiedzi zabrzmiał cień dawnego zgryźliwego humoru Lidja. — Wiem tylko, że moje ciało znajduje się gdzieś

przed nami. Moje ciało! Powiedz mi, Krip — spojrzaj wtedy na mnie — czy kiedykolwiek stałeś z boku i patrzyłeś na siebie samego, wtedy na Yiktor?

Zapamiętałem to wrażenie — chociaż zmiana była na tyle duża, a przystosowanie się do życia w ciele zwierzęcia wymagało ode mnie takiego wysiłku, że znacznie bardziej byłem wtedy przejęty własnymi doznaniem niż tym, co się dzieje z ciałem, które porzuciłem.

— Tak, lecz nie długo. Ludzie Osokuna zabrali mnie — je — ze sobą. Poza tym wtedy... no cóż, uczyłem się, co to znaczy być barskiem.

— My przynajmniej nie mieliśmy tego problemu. I tak dość trudno jest przystosować się do tej powłoki — stwierdził Lidj. — Muszę jednak przyznać, że pod pewnymi względami jest lepsza od mojego poprzedniego ciała. Ustąpiły rozmaite bóle i dolegliwości. Aczkolwiek bynajmniej nie mam ochoty zostać w obecnej postaci dłużej niż to konieczne. Obawiam się, że w takich sprawach jestem konserwatystą.

Byłem pełen podziwu dla niemal stoickiego spokoju, z jakim mój przełożony przyjął sytuację, która mniej opanowanego człowieka mogłaby przyprawić o utratę zmysłów.

— Mam nadzieję — dokończył — że ten, który przejął moją postać nie ma skłonności do bohaterstwa. Byłbym rozzarowany — delikatnie mówiąc — gdyby uszkodził moje ciało, zanim je odzyskam!

Słowa te wskrzesiły moje własne zmartwienia. Maelen nie pożyje długo w swoim obecnym ciele, jeśli ją wyrwiemy z hibernacji. Czy nawet w tym stanie wytrzyma dość długo, abyśmy zdążyli ją zawieźć na Yiktor? Jak... Starłem się wymyślić bezpieczny sposób odbycia takiej podróży, lecz odrzucałem każdy pomysł, zdając sobie sprawę, że były to plany tak szalone, jakby zrodziły się we snach ludzi żujących grasz, i równie niemożliwe do zrealizowania.

Przed nami jaśniało coraz silniejsze światło. Automat ze zgrzytem kierował się teraz w stronę jego źródła. Pierwszy pojazd sunął tuż za robotem, a nasz wagonik sam podążał za nimi. Mieliśmy broń i ochronę w postaci ścian, które wznieśliśmy na obrzeżach platform. Bastion ten jednak sprawiał teraz wrażenie bardzo cienkiego pancerza.

Tutaj znajdowały się sterty skrzyń zabranych z magazynu. Wśród nich kręciły się pospolite sterowane roboty. Sortowały i przenosiły ładunek do windy towarowej, której łańcuchy zwisały z wjazdu statku. Na pierwszy rzut oka poznałem, że znajdujemy się w dolinie z lądowiskiem, i że jest to ten sam statek, który widzieliśmy z Maelen podczas ucieczki z podziemi. Kiedy to było? Jedliśmy skoncentrowane pożywienie i łykaliśmy tabletki pobudzające tak długo, że zatraciłem poczucie czasu. Człowiek może żyć długo na takich środkach dopingujących, nie zdając sobie nawet sprawy z konieczności odpoczynku.



Nasze pojazdy nadal poruszały się jednostajnym tempem, lecz robot nie zachowywał się tak spokojnie. Jechał wprost przed siebie, nie próbując omijać niczego na swojej drodze.

Wywijając mackami i zadając miażdżące ciosy ramionami, rozbijał towar oczekujący na załadunek, rozrzucał połamane i potrzaskane skrzynki, z których część zgniatał masywnymi gaśnienicami.

Zaskoczenie było kompletne. Usłyszałem krzyki — dostrzegłem błyskawice laserów, które niszczyły kolejne partie towaru, częściowo je topiąc. Wstrząs wywołany tymi falami energii zrobił swoje. Ludzie przewrócili się i leżeli na ziemi, wstrząsani słabymi skurczami, ogłuszeni na jakiś czas siłą wybuchów. Wyskoczyliśmy z transporterów i ukryliśmy się między skrzyniami.

Wydobyszy opłatywacze, oficerowie Patrołu ruszyli w stronę tych ledwo poruszających się rabusiów, podczas gdy my wysunęliśmy się naprzód, aby poszukać ludzi wśród pracujących robotów. Przeprogramowany automat siał zniszczenie, dopóki nie zderzył się wreszcie z jednym ze stateczników statku. Terkotał tam ponuro, nie cofając się i nie mogąc jechać dalej. Jednym ramieniem zahaczył o zwisające łańcuchy dźwigu. W tej samej chwili z trzaskiem zacisnął na nich szczypce. Zanim operator zdążył zareagować, dźwig uniósł robota w powietrze. Potem ciężar zrobił swoje i łańcuch pękł. Niemniej jednak ta niewielka zmiana pozycji wystarczyła, żeby automat oderwał się od statecznika. Upuszczony na ziemię robot nadal działał — chociaż na skutek zderzenia ze statkiem doznał uszkodzeń i poruszał się teraz z przeraźliwym zgrzytem, od którego puchły uszy. Jedno ramię zwisało bezwładnie, uderzając z brzękiem o zewnętrzny pancerz, lecz drugie zadawało ciosy z taką samą siłą jak dotychczas, kiedy rozklekotany robot ruszył nowym kursem.

Wychodząc zza sterty skrzyń, zobaczyłem Lidja. Zmierzał nie w stronę sceny wydarzeń, ale w kierunku przeciwnym. Schylał się nisko, jakby spodziewał się strzału z lasera. Zaintrygowany jego zachowaniem, poszedłem za nim. Chwilę później z lewej strony zbliżył się Harkon; jego czarny kombinezon rzucał się w oczy z daleka. Potem dołączyła kolejna ciemna postać — Griss. Biegli zygzakiem, trzymając puste ręce lekko wyciągnięte przed sobą w dziwny sposób, zakrzywiając palce na podobieństwo szponów robota, który wciąż szerzył bezsensowne zniszczenia w pobliżu statku. Nie oglądali się w prawo ani w lewo, lecz patrzyli prosto przed siebie, jakby ich cel był wyraźnie widoczny.

Na ich widok zdjął mnie dawny strach. Niewykluczone, że znów byli pod kontrolą tych obcych, którzy zabrali im ciała. Być może najlepiej dla nas wszystkich będzie, jeśli ogłuszę ich promieniem lasera.

Zacząłem celować, kiedy Griss nagle dał susa i wskoczył do jaskini, w której znajdował się obóz grabieżców. Dzięki temu zdołał się uchylić od błysku zielonkawego światła. Kolejne rozbłyski wykwitły tam, gdzie biegł skulony Harkon, lecz pilot miał niesamowicie szybki refleks. Wydawało mi się, że wyczuł niebezpieczeństwo, a strach wywołał natychmiastową teleportację. Pomimo to zobaczyłem go niedaleko od miejsca, w którym wybuchła kula zielonego światła.

Nie ulegało wątpliwości, że obcy znajdują się w pobliżu. Nie byłem tak zwinny jak ci trzej przede mną, jednak podążyłem za nimi. Nikt nie mógł przewidzieć skutków ich kontaktu z wrogami. Być może takie spotkanie zmieni naszych ludzi w marionetki. Gdyby tak się stało... cóż, miałem laser i wiedziałem, co robić.

Nie zdołałem wszakże dotrzymać im kroku, chociaż starałem się z całych sił. Zobaczyłem ich dopiero przy plastikowej bańce namiotu. Sterty łupów znacznie się zmniejszyły od czasu, kiedy ostatnio je widziałem, i nie dawały już dobrej osłony. Trzej mężczyźni nie starali się jednak chować. Przysunęli się natomiast do siebie; Harkon stanął pośrodku, moi koledzy po obu jego stronach. Czy byli pod kontrolą obcych? Nie umiałem tego stwierdzić i dopóki nie nabrałem pewności, nie mogłem podchodzić zbyt blisko. Czaiłem się w mroku przy wejściu, czyniąc sobie wyrzuty z powodu własnego niezdecydowania.

Ci, których szukała ta trójka, stali w głębszym mroku pod balkonem, na którym kiedyś pojmał mnie kosmita w ciele Grissa. Lidj, Harkon i Griss — nie byli to jednak ludzie, których znałem. Oni byli tymi trzema rzekomymi obcymi, którzy się do nich zbliżali. Znajdowali się tam także inni — ci, z którymi wyruszyłem na zwiady, ludzie z „Lydis” i oficerowie Patrolu.

Tkwili pod ścianą w kompletnym bezruchu, patrząc prosto przed siebie. Ich sztywne twarze nie wyrażały żadnych uczuć. Przywodzili na myśl roboty, kiedy tak czekali. Nie byli też sami. Po obu ich stronach stali inni mężczyźni, prawdopodobnie złodzieje. Wszyscy trzymali w rękach broń gotową do strzału, jakby ich nie należący do ludzkiej rasy przywódca nie musieli się obawiać buntu z ich strony.

Pomimo to nikt nie mierzyl do posuwającej się w szyku trójki. Powoli szyk zaczął się chwiać. Odziane na czarno ciała kosmitów zatrzymały się. Nosząc ochronny czepiec na głowie, odbierałem tylko słabe echo toczącej się bitwy. Widać było jednak wyraźnie, że obcy walczą o odzyskanie władzy nad własnymi ciałami.

Spośród tej trójki pierwszy odwrócił się Griss. Miał teraz twarz równie beznamiętną co mężczyźni opanowani przez obcych. Potem to samo zrobił Harkon i wreszcie Lidj. Takim samym równym krokiem, jakim weszli do jaskini, ruszyli do wyjścia, a reszta pozostającej pod obcym wpływem kompanii podążyła za nimi.

Może kosmici chcieli użyć ich jako zasłony, sposobu na dotarcie do nas. Jeśli jednak mieli takie zamiary, nie należeli do tych, którzy stają na czele swoich wojsk, gdyż sami nie odsunęli się od ściany.

Czy nie czekałem za długo? Czy zdołałem strzelić z lasera tak celnie jak oficerowie Patrołu? Tak czy inaczej, chyba nawet śmierć byłaby miłsza ludziom, którzy znaleźli się pod kontrolą, niż życie, na jakie skazali ich ci kosmici. Wycelowałem i strzeliłem ponad głowami trójki idącej na czele.

Trzask wyładowania brzmiał tu dwukrotnie efektowniej. Albo źle oceniłem sytuację i ustawiłem broń na zbyt dużą moc. Tak czy inaczej, ludzie, nad których głowami huknęła błyskawica, krzyknęli, upuścili broń, zachwiali się i padli na ziemię. Trójka na przedzie zrobiła jeszcze kilka kroków i już myślałem, że nie udało mi się ich ogłuszyć, lecz wkrótce ciała odmówiły im posłuszeństwa i osunęli się wpierw na kolana, potem na ziemię. Pomimo to wciąż drapali ją wyciągniętymi rękami, jakby nadal chcieli się czołgać.

Jednocześnie słabe echo owej siły, które poczułem pomimo czepca, nasiliło się. Nieprzyjaciele nie musieli mnie szukać! Znali moje położenie tak dobrze, jakbym stał na otwartej przestrzeni i krzykiem zwracał na siebie ich uwagę. Pomimo to wyszedłem z ukrycia wyłącznie z własnej woli i stąpałem pośród powalonych szeregów ich oddziału szturmowego, aby stanąć z nimi twarzą w twarz.

Ich arogancja, ich absolutna ufność w siebie i swoją moc, nie malowała się na tak dobrze mi niegdyś znanych obliczach, które kryły się teraz za woalką obcości, jakby terrańskie rysy były maską noszoną przez nieznanego. Nie, ich wiara w siebie i własne siły przejawiała się w postaci otaczającej ich aury.

Pomimo to nie zdołali mnie zmusić, abym się poddał. A może starali się zmienić mnie, podobnie jak tamtych, w broń niosącą zagładę moim pobratymcom. Ja jednak szedłem naprzód stanowczym krokiem.

Obcy tak bardzo wierzyli w swoje telepatyczne zdolności, że spóźnili się z uniesieniem materialnej broni. Pierwszy pociągnąłem za spust, posyłając w ich kierunku impuls paralizującej energii. Wystrzeliłem nad ich głowami, chociaż miałem ochotę wymierzyć prosto do nich.

Błyskawica trzasnęła i zgasła. Z niepokojem zdałem sobie sprawę, że właśnie wyczerpało się zasilanie lasera. Przy pasku miałem następną baterię, ale czy zdążę naładować broń...

Nigdy nie sądziłem, że mam szybszy refleks czy bardziej wyostrzone zmysły niż większość ludzi. Pomimo to prawie bez zastanowienia błyskawicznie skoczyłem w lewo. Nie

udało mi się jednak uniknąć ciosu nieprzyjaciela, który zaszedł mnie od tyłu. Wymach jego ręki omal mnie nie przewrócił. Zachwiałem się i tylko szczęśliwym trafem nie straciłem równowagi. Zobaczyłem, że Griss podczołgał się na czworakach, żeby mnie zaatakować. Wtedy jednak opuściły go ostatnie resztki ożywiającej energii. Mężczyzna powtórnie upadł i leżał twarzą do ziemi, chociaż jego nieludzkim ciałem wstrząsały skurcze i dreszcze, jakby mięśnie stawiały opór sile woli, a ta z kolei walczyła z ciałem i kośćmi.

Cofałem się pomału ukosem, żeby mieć na oku jednocześnie trójkę pod ścianą i tych, którymi zawładnęli. Ci ostatni skręcali się, jakby próbowali wstać, lecz brakowało im sił. Jeśli mnie wzrok nie mylił, istoty uważające się za panów nie zmieniły pozycji, chociaż nie trzymały już w górze okrągłych przedmiotów, które wydawały mi się bronią. Ich ręce zwisały teraz bezwładnie.

Potem ten, który nosił ciało Lidja, padł twarzą na twardą, kamienną posadzkę, nie próbując nawet powstrzymać upadku. To samo stało się z pozostałymi dwoma obcymi. W tej samej chwili ich podrygujący konwulsyjnie niewolnicy znieruchomieli. Miałem wrażenie, że stoję na pobojuwisku.

— Vorlund! — Foss i Borton jednocześnie zawołali moje imię, tak że zabrzmiało to jak jeden okrzyk.

Obejrzawszy się, zobaczyłem ich przy wejściu do jaskini. Oni chyba też pomyśleli, że stoczyłem śmiertelną walkę. Borton bowiem podbiegł do nieruchomego Harkona, przyklęknął przy nim i położywszy rękę na jego opiętym czarną tkaniną ramieniu, spojrzał na trójkę pod przeciwległą ścianą.

— Co zrobisz?

— Zastosowałem wstrząs laserowy. — Schowałem broń, którą wciąż ściskałem w ręku.

Foss klęczał przy magazynie. — Nie żyją? — spytał, ale nie spojrzał na mnie.

— Nie.

Podeszli do tych trzech pod ścianą i odwrócili ich na wznak. Ogłuszeni mężczyźni mieli oczy otwarte, lecz całkiem nieprzytomne, jakby esencja nieludzkich osobowości opuściła ich... albo...

Ja też poszedłem spojrzeć na nich. Teraz przyszło mi coś do głowy. Czy wstrząs mógł spowodować zamianę? Jeśli tak — albo na wszelki wypadek — powinniśmy obie grupy wziąć pod straż, zanim odzyskają przytomność. Tak też powiedziałem.

— On ma rację. — To Borton, nie Foss, poparł moją propozycję. Wydobył oplątywacz i zρέcznie się nim posłużył. Najpierw związał tych trzech pod ścianą, a potem

zajął się ludźmi w ciałach kosmitów, krępując również ich. Trzem obcym wstrzyknięto poza tym duże dawki środków usypiających, które miały uniemożliwić im odzyskanie przytomności — przynajmniej taką mieliśmy nadzieję.

Wprawdzie opanowaliśmy bazę grabieżców, wystawiliśmy jednak strażę i nie uważaliśmy zwycięstwa za ostateczne. Istniało zbyt wielkie prawdopodobieństwo, że inni złodzieje zaszli się na statku albo w podziemiach. Poza tym sam charakter tego miejsca sprawiał, że człowiek zaczynał się niezwykle bacznie rozglądać, skłonny był słyszeć dziwne dźwięki i wzdrygał się na sam widok cieni.

W plastikowym namiocie w jaskini urządziliśmy więzienie i umieściliśmy w nim nieprzytomnych jeńców. Borton posłużył się komunikatorem grabieżców, żeby ściągnąć resztę swoich ludzi z doliny. Siły, których dodały nam stymulatory i odżywki, zaczynały nas opuszczać. Tym razem nie staraliśmy się już nimi pokrzepić. Kładliśmy się po kolei spać i jedliśmy prowiant znaleziony w obozie.

Wszystko wskazywało na to, że złodzieje przebywali tu od dłuższego czasu. Po głębokich śladach wypalonych w dnie doliny poznaliśmy, że przez planetarny rok lub nawet dłużej miało tu miejsce niejedno lądowanie i start statku kosmicznego.

Kiedy jednak opanowaliśmy statek rabusiów przy pomocy kul z gazem usypiającym, nie dowiedzieliśmy się dużo więcej o układach, jakie poczyniono w celu sprzedaży łupów lub prowadzenia innych interesów na obcych planetach. Wskazówki, które mogły przydać się Patrolowi, były bardzo nikłe. Więźniowie nie wracali do przytomności, a Thanel był przeciwny stosowaniu środków medycznych. Zbyt mało wiadomo było o wstrząsach, jakie niedawno przeżyli. Złodziei było w sumie dwudziestu, do tego jeszcze nasi ludzie, którzy dostali się do niewoli — wśród nich Hunold. A jedynym bezpiecznym sposobem, w jaki mogliśmy sprawować kontrolę nad trzema kosmitami, było uniemożliwienie im posługiwania się zdolnościami telepatycznymi.

Thanel polecił przenieść wszystkich trzech, wraz z ich nieludzkimi ciałami, do osobnego przedziału w namiocie. Tam spędzał większą część dnia, trzymając ich pod obserwacją. Wszystkich sześciu nadal oddychało, a podczas badań detektor siły witalnej pokazywał oznaki życia. Pomimo to ich procesy życiowe przebiegały bardzo powoli, jak u osoby w stanie hibernacji. Medyk przyznawał, że nie wie, jak ich wyprowadzić ze śpiączki. Po upływie pewnego czasu spróbował nawet eksperymentu — zdjął swój czepiec ochronny (wyznaczywszy najpierw strażnika, który miał go obserwować i interweniować na pierwszy znak, że mógł zostać opanowany) i postarał się dotrzeć do nich telepatycznie. Metoda ta jednak nie odniosła skutku.

Zmorzył mnie sen. Nie wiem, jak długo spałem, dopóki nie zbudziło mnie szarpanie za ramię. Osobą, która tak raptownie przywróciła mnie do rzeczywistości, był Foss. — Thanel chce się z tobą widzieć — oznajmił oschle. Wyczołgałem się ze śpiwora, który znalazłem w obozie. Kapitan już wychodził na zewnątrz, gdzie stojący pod gołym niebem statek prawie niknął w mroku nocy.

Jednak to nie zimny wiatr, który co jakiś czas wpadał do jaskini, sprawił, że poczułem dreszcze, kiedy odprowadzałem go wzrokiem. Nie raz byłem w życiu samotny. Najgorszego poczucia osamotnienia doznałem chyba jednak na Yiktor, kiedy uświadomiłem sobie, że mogę już nie wrócić do swego ludzkiego ciała, że być może pozostanę przez lata uwięziony w postaci zwierzęcia. Wtedy dosłownie oszalałem, uciekłem do lasu i pozwoliłem, żeby resztki bestii w mojej duszy wzięły górę nad ludzką psychiką. Uciekałem, zabijałem, grasowałem... Dzisiaj nie pamiętam wszystkiego, co mnie spotkało, ani też tego nie pragnę pamiętać. To była samotność.

Teraz też czułem się osamotniony, choć była to samotność innego rodzaju. W chwili, gdy kapitan Foss się oddalił, ujrzałem mur, który wyrósł między nami. Czy to ja go zbudowałem? Być może, chociaż kiedy patrzę wstecz, nie mogę zaprzeczyć, że postawiony raz jeszcze przed takim samym wyborem nie postąpiłbym inaczej. Tak, moje miejsce nie było już na „Lydis”. Mogłem na niej latać, wykonywać dobrze swoje obowiązki, może nawet lepiej niż rok temu. Nie była jednak już dla mnie tym jedynym domem, jaki wolno mieć Wolnemu Kupcowi.

Co się stało? Czułem się tak zagubiony jak wtedy, gdy biegałem na czterech łapach po łąkach Yiktor. Jeśli nie byłem Kripem Vorlundem, Wolnym Kupcem z dziada pradziada, człowiekiem, któremu najbardziej zależało na stanowisku na „Lydis”, kim w takim razie byłem? Nie Maquadem — nie czułem się bliżej związany z Thassami niż z załogą; nawet jeszcze mniej.

Byłem zupełnie sam! Wzdragając się nawet na samą myśl o tym, wstałem i pośpieszyłem na wezwanie Thanela, łudząc się, że znajdę zapomnienie, choćby tylko na krótko.

Medyk czekał już na mnie w wewnętrznym przedziale namiotu, gdzie sześć bezwładnych ciał leżało na podłodze. Wyglądały tak samo jak wtedy, gdy pomagałem je tu przynieść. Thanel natomiast sprawiał wrażenie człowieka, który od dawna nie zaznał odpoczynku. Ku mojemu zaskoczeniu nie był sam.

Obok niego stał Lukas, którego po raz ostatni widziałem w sieci opłaty wacza. Pierwszy zabrał głos.

— Krip, jesteś jedynym z nas, który doświadczył zamiany ciał. Podobno Thassowie robią to regularnie.

— Nie wiem, czy regularnie. Robi to każdy, kto chce zostać Księżycowym Śpiewakiem. Tych jest jednak ograniczona liczba. Pozostali mogą więc mało o tym wiedzieć. Oni też mają swoje wady. — Moje obecne ciało stanowiło tego świadectwo, gdyby takowe było potrzebne.

— Problem w tym, jak oni to robią — Thanel od razu przeszedł do rzeczy. — Sam to przeżyłeś i widziałeś, jak poddano zamianie tę twoją Maelen. Czego używają — maszyny, narkotyku, jakiegoś rodzaju hipnozy?

— Oni śpiewają — powiedziałem prawdę.

— Śpiewają!

— Tak, oni o tym mówią. Najlepsze skutki osiągają wtedy, gdy Księżyc jest w fazie trzech pierścieni, co zdarza się jedynie raz na jakiś czas. Można tego dokonać o innej porze, lecz wtedy potrzeba połączonej mocy całkiem sporej liczby Śpiewaków. W dodatku kosztuje ich to tak wiele wysiłku, że próbuje się tego tylko w razie wielkiej potrzeby. Kiedy Maelen przenoszono do ciała Vors, pierścienie gasły, więc potrzeba było więcej Śpiewaków...

— Maelen była Księżycową Śpiewaczką... jest nią nadal — rzekł w zamyśleniu Lukas.

— Starsi ograniczyli jej zdolności, kiedy skazali ją na wygnanie — przypomniałem mu.

— Wszystkie? Faktem jest, że mamy tu do czynienia z zamianą ciał, a pozostałe znane przypadki miały miejsce na Yiktor. Moglibyśmy załadować ich — wskazał śpiących — na statek i zabrać na tę planetę. Nie mamy jednak gwarancji, że twoi Thassowie zechcą albo że będą potrafili dokonać zamiany. Maelen jednak jest tutaj, a jeśli wie, co trzeba zrobić...

Musiał wtedy zobaczyć moją twarz, zrozumieć w pełni moją reakcję na jego propozycję.

— Ona nie jest zwierzęciem! — natychmiast odrzuciłem pierwszy argument, na użycie którego mógłby się pokusić. Jak miałem to jednak wytłumaczyć człowiekowi, który nigdy nie widział Maelen, Księżycowej Śpiewaczki, w jej właściwej postaci, lecz jedynie jako zamieszkujące moją kabinę futrzaste zwierzątko, które cenił niżej niż jakąkolwiek istotę w ludzkiej skórze — rzecz, którą można było przeznaczyć na straty dla dobra załogi.

— Czy ktoś tak twierdzi? — Thanel mógł próbować mnie ułagodzić, ale miałem się na baczności. — Zwracamy tylko uwagę na fakt, że mamy na tej planecie stworzenie —

osobę, która zna się na tym problemie, i że powinniśmy się do niej zwrócić, z nadzieją, że znajdziemy jego rozwiązanie tutaj, a nie po drugiej stronie galaktyki.

Rozsądnosc tego argumentu pogarszała jednak tylko sytuację. Rzuciłem im prawdę w twarz.

— Jeśli wyjmiecie ją z hibernatora, umrze! — Zwróciłem się do Thanela. — Widziałeś, w jakim była stanie, sam ją zamrażałeś. Jak długo twoim zdaniem może pożyć, jeśli ją obudzisz?

— Istnieją nowe metody — jego cichy głos kontrastował z moimi coraz wścieklejszymi pytaniami. — Chyba mogę ci obiecać, że zdołam zapobiec wszelkim zmianom w jej organizmie, nawet jeśli jej umysł zostanie uwolniony.

— Chyba — skwapliwie skorzystałem ze słowa, które osłabiało wymowę tego zapewnienia. — Nie masz jednak pewności, prawda? — Nalegałem na odpowiedź i był dość szczery, żeby wyznać prawdę przeczącym ruchem głowy.

— Więc się nie zgadzam! Nie wolno jej odbierać szansy.

— A jak zamierzasz dać jej tę szansę? Zabierzesz ją na Yiktor? Co mogą tam dla niej zrobić, nawet jeśli zawieziesz ją tak daleko? Czy mają jakiś zapas ciał?



## MAELEN

Prawdą jest, że czasami potrafimy sobie przypomnieć (choć jest to wspomnienie tak blade jak mgła unosząca się wczesnym porankiem) życie doskonalsze od tego, które teraz wiemy, do którego mogą nas zaprowadzić sny albo pragnienie ucieczki. Gdzie wędrowałam w tym czasie, gdy przebywałam poza swoim poranionym ciałem? Nie pogrążyłam się bowiem w nicości głębokiego snu. Nie, wykonywałam jakieś zadania i oglądałam dziwne widoki, a potem wróciłam do bólu stanowiącego życie, niosąc ze sobą nagłą potrzebę działania, która miała mnie pobudzić do czynu, którego jeszcze nie rozumiałam.

Po powrocie nie patrzyłam oczami tego ciała, które teraz było dla mnie tak mizernym schronieniem. Być może ono już straciło wzrok. Raczej dotarła do mnie myśl Kripa i zrozumiałam wtedy, że to on mnie obudził i zrobił to z jakiejś bardzo ważnej przyczyny.

Jego niepokój przypomniał mi o zaciągniętym długi, więc wiedziałam, że muszę odpowiedzieć. Zobowiązani jesteśmy zawsze spłacać swoje długi, aby Szale Molastera pozostawały w równowadze.

Tylko że po tym wezwaniu moje ciało przeszył taki ból, że na czas jednego oddechu, albo czterech, albo sześciu, straciłam zdolność udzielenia odpowiedzi. Zerwałam kontakt, aby użyć swojej siły do odcięcia łączności między moim ciałem i umysłem. Zrobiłam to szybko, tak że ból przycichł do znośnego poziomu, zostawiając po sobie tylko odległe, smętne zawodzenie wichru, które nią miało nic wspólnego ze mną.

Tak uzbrojona, znów odszukałam Kripa.

— Czego pragniesz?

— ...zamiana... ciał...

Nie rozumiałam go dobrze. Zamiana ciał? Coś mi się zaczynało przypominać. Zamiana ciał! Znajdowałam się w rannym ciele, które nie miało szans na przeżycie. Nowe ciało? Jak długo przebywałam w tym innym miejscu? Czas jest zawsze rzeczą względną. Czyżbym wróciła na Yiktor i oczekiwało na mnie nowe ciało? Czyżby aż tyle czasu upłynęło w prawdziwym świecie? Teraz bowiem wydawało mi się, że nie jestem już ściśle związana ze światem Kripa, choć niegdyś była to rzeczywistość, którą również ja znałam najlepiej.

— Jaka zamiana ciał?

— Maelen! — Usłyszałam jeszcze silniejszy impuls myślowy. Odnosiłam wrażenie, jakby próbował obudzić kogoś śpiącego wołaniem na alarm, tak jak strażnik z rogiem na

murach fortu, gdzie wróg z mieczem może się zakraść pod osłoną nocy, jeśli bystrooki wartownik nie wypatrzy go wcześniej i nie wyśle ostrzeżenia.

— Jestem tutaj... — Najwyraźniej nie usłyszał mojej poprzedniej odpowiedzi. — Czego chcesz ode mnie?

— Tego... — Jego myśl nabrała jasności. Opowiedział mi o tym, co się stało z załogą „Lydis” i ich sprzymierzeńcami.

Część tej opowieści była dla mnie nowa. W miarę jak w moim umyśle ukazywały się przesyłane przez niego mentalne obrazy, wracała mi ostrość wspomnień. Jeszcze bardziej się oddaliłam od tej nieprzeniknionej mgły, w której ostatnio przebywałam duchem.

Wymiana ciał — trzech ludzi na trzech obcych. Ale przecież... była jeszcze czwarta nieludzka istota. Czwarta! Nagle wyraźnie stanęła przed moimi oczami, włosy spływały jej na ramiona jak płaszcz z ciemnego ognia, a na jej głowie... NIE!

Instynktownie zerwałam kontakt myślowy. Jej korona stanowiła niebezpieczeństwo, wiecznie obecne niebezpieczeństwo. Niemniej jednak ona tam była... czekała... wiecznie czekała. Nie mogła zawładnąć żadnym z pozostałych ani nawet wyssać ich siły witalnej, gdyż byli mężczyznami — żeby dokonać zamiany, potrzebowała istoty własnej płci. W tym rzecz! Zawołała mnie (teraz już wyraźnie pamiętałam). Aczkolwiek dopóki trzymałam się z dala od niej, nie mogła nade mną zapanować ani wymusić zamiany, tak jak to uczynili jej pobratymcy; wymusić zamiany? Nie, nie takie było jej pragnienie, kiedy ostatnio je odebrałam — ona pożałowała mojej siły witalnej, nie mojego ciała.

— Maelen? — Krip wyczuwał moje zainteresowanie kobietą, chociaż przypuszczalnie nie znał jego przyczyny. — Maelen, słyszysz mnie? Maelen ? — Z jego myśli odczytałam teraz nieskrywany strach.

— Słyszę cię. Czego chcesz?

— Zmieniłaś mnie. Czy możesz nam powiedzieć, jak odmienić ich?

— Czyż nadal jestem Księżycową Śpiewaczką? — spytałam z goryczą. Nie był to prawdziwy dług, gdyż nie byłam w stanie go spłacić. — Czy Sotrath świeci nad naszymi głowami w koronie z Trzech Pierścieni? Gdzie jest moja różdżka? I czy z tego zwierzęcego pyska i gardła mogą popłynąć Wielkie Pieśni? Nie mogę ci pomóc, Kripie Vorlundzie. Ci, do których musisz się zwrócić, dumnie spacerują na Yiktor.

— Co oznacza, że do nich nigdy nie dotrzemy. Posłuchaj mnie, Maelen... — Zaczął komunikat, śpiesząc się jak osoba, która ma do przekazania ważną wiadomość, lecz potem jego myśli się rozproszyły. Zrozumiałam jednak, co chciał mi powiedzieć. Może od samego początku wiedziałam, że nie uniknę swego przeznaczenia, pomimo wszelkich jego starań.

— Jeśli chcesz powiedzieć, że ciało, które teraz noszę, długo mi już nie posłuży, sama się tego domyślałam. Czy masz dla mnie jakąś odpowiedź, skoro udzieliłam ci takiej, z której nie masz pożytku?

— Ta kobieta w kociej koronie — ona jest ciałem! Znów posłużyłam się swoją mocą i sprawdziłam, czy to nie ona podsunęła mu podstępnie te słowa i zaszczerpiła tę myśl w jego głowie. Więc tak miał wyglądać jej atak? Chciała posłużyć się Kripem, żeby dotrzeć do mnie z pokusą. Jest bowiem niezaprzeczalną prawdą, że żywe stworzenia, postawione przed wyborem życia lub nieznanymi ścieżkami śmierci, wybiorą życie. Sądzę też, że ludzie, z którymi w przeszłości miała do czynienia, byli od niej dużo słabsi, dlatego stała się pyszna i arogancka.

Nie odkryłam jednak żadnych takich podszeptów w umyśle Kripa. Byłam również pewna, że nie potrafiłby zataić ich przede mną; znałam go zbyt dobrze i zbyt blisko. Wyczułam jedynie troskę i smutek, które wiązały się z jego psychicznym obrazem takiej Maelen, jaką widział mnie na Yiktor, kiedy tak bardzo wierzyłam w siebie i w swoje zdolności.

Upewniwszy się, że nie był to podsunięty pomysł, zaczęłam się zastanawiać. Mogłam poddać się mgle i ciemności, odrzucić wszystko, co mnie trzymało w tym ciele, którego nie można było uleczyć pomimo wszystkich osiągnięć nauki. Lud Molastera nie obawia się wejść na Białą Drogę, świadomy faktu, że jest ono zaledwie pierwszym, niezdarnym krokiem na długiej ścieżce wiodącej do cudów, których nie jesteśmy w stanie poznać tu i teraz.

Prawdą jest jednak także, że wiemy, kiedy nadchodzi czas odejścia, a ja nie dostałam takiego wezwania. Istniał natomiast ten nie dokończony wzór, którego byłam częścią i który ujrzałam przelotnie. Gdybym postanowiła wyruszyć teraz, powodowana cierpieniem lub lękiem, postąpiłabym niewłaściwie. Mój czas jeszcze nie nadszedł. Nie mogłam jednak zostać w tej postaci, a było tylko jedno ciało — to należące do kobiety, która czekała. Będę musiała z nią o nie walczyć i zmierzimy siły w uczciwej walce, najuczciwszej, jaką ona kiedykolwiek stoczyła.

Gdybym miała u swego boku choćby jednego ze Starszych, nie dręczyłby mnie tak wielki strach. Tę bitwę musiałam jednak stoczyć samotnie. Gdyby nawet cały ich szereg stał teraz za mną, nie mogłabym ich poprosić o pomoc. Lecz gdzie jest moja różdżka i kto zaśpiewa? Przypuśćmy, że wejdę do ciała tej czekającej obcej istoty i stanę się bezradnym jego mieszkańcem...

— Maelen. — Myśl Kripa brzmiała teraz pytająco, jakby mój towarzysz chciał się tylko upewnić, czy można do mnie jeszcze dotrzeć.

— Zabierz mnie do tej kobiety. Nie próbuj się ze mną kontaktować, dopóki nie dotrzemy na miejsce. Muszę oszczędzać siły.

Śpiewać? Ja nie mogłam śpiewać. Nie staliśmy pod Księżycem trzech pierścieni, którego poświęca zwiększyłaby moją moc. Nie było przy mnie nikogo z Thassów, kto służyłby mi wsparciem. Nikogo z Thassów — a Krip? On był Thassem tylko z wyglądu. Mimo to... zaczęłam obiektywnie rozważać problem, jakby wcale nie dotyczył mnie, lecz jakichś innych osób, z którymi nie łączyły mnie żadne uczucia.

Wymiana wymagała zespolenia mocy. Kiedy stawię czoło tej obcej kobiecie, stoczę z nią samotny bój, ale żeby ją pokonać, mam prawo wezwać pomoc. Pamiętałam o tym trupie — albo rzekomym trupie — który nadawał komunikat myślowy, żeby zawładnąć umysłami załogi „Lydis” i ludźmi z Patrolu. On albo wola, która nim kierowała, nie posłużyły się tradycyjnymi metodami Thassów, lecz jakąś maszyną. A gdyby postąpić tak samo?

Przez długie wieki, odkąd dawno temu opuściliśmy miasta i wyrzekliśmy się dóbr materialnych, obchodziliśmy się bez pomocy maszyn. Nie znam się na nich. Niemniej jednak powiedzieć w sytuacji kryzysowej: „Skoro nie znam się na tym, to mi nie pomoże”, oznaczałoby klęskę. A Thassowie nie są przecież ludźmi o ciasnych umysłach. Wprawdzie opuściliśmy strumień życia, do którego należy lud nizin i gwiazdni podróżnicy, nie wpadliśmy jednak w stagnację.

Zatem potrzebna mi pomoc maszyny. I to maszyny należącej do „Lydis” albo Patrolu, która będzie służyć mnie, a nie tej, która obserwuje i czeka. Poza tym, ta kobieta mnie nigdy nie widziała w mojej postaci. Niech mnie postawią przed jej obliczem. Wstrząs ma swoją wartość. A gdyby mój umysł był pozornie uspiomy — czy można byłoby ją w ten sposób wprowadzić z równowagi, uczynić podatniejszą na kontratak?

Po obmyśleniu planów znów skontaktowałam się z Kripem, powiadamiając go o swojej decyzji oraz o tym, czego będę potrzebowała. Potem równie szybko znów zaszyłam się w zaciszu milczenia, gdzie czekałam, zbierając resztki sił. Musiałam się również przygotować do tej nowej metody — nie będzie różdżki ani pieśni. Będę musiała natomiast całą swoją moc skierować do maszyny. Za mną stanie jednak Krip; wiedziałam, że na nim mogę polegać.

Wprawdzie zerwałam kontakt z Kripem, odebrałam jednak jakiś impuls myślowy. Nie nadszedł jawnie i śmiało, przypominał raczej przebiegłego, dzikiego barska, który krąży pod bramą zagrody, wciągając w nozdrza zapach niespokojnego stada i szukając sposobu, jakby najlepiej przedostać się przez barierę, która go odgradza od jego ofiar.

Chciałam się przyjrzeć temu, kto mnie śledził, lecz powstrzymał mnie od tego mój własny plan, który opierał się między innymi na elemencie zaskoczenia. Przed jak potężnym

adeptem teraz stałam? W porównaniu z niektórymi Starszymi byłam niczym małe dziecko. Czyżby tak samo miało być tutaj? Mogłam tylko czekać na ostateczne starcie i mieć nadzieję, że maszyna mi pomoże.

Nie byłam wprawdzie świadoma zmian w otoczeniu, jednak po narastającej presji umysłu niedoszłego intruza odgadłam, że musieliśmy się zbliżyć do jego kryjówki. Utrzymywanie bariery na dwóch poziomach świadomości jest bardzo trudne. Kiedy wpuszczałam intruza do mojego — powiedzmy zewnętrznego — umysłu, musiałam podczas reżyserowania tego najścia postępować tak ostrożnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Nieprzyjaciel musi bowiem uwierzyć, że proces zawładnięcia moim umysłem przebiega pomyślnie, że nie istnieje żadna kryjówka, w której gromadzę siły i szykuję kontratak.

Przypuszczalnie tego dnia — albo nocy — wspięłam się na wyżyny, których osiągnięcie dotychczas wydawało mi się niemożliwe nawet dla Księżycowego Śpiewaka. Jeśli jednak dokonałam takiego wyczynu, nie byłam tego świadoma. Całą uwagę skupiałam wyłącznie na utrzymywaniu delikatnej równowagi, usypianiu czujności mojej przeciwniczki i szykowaniu się na nadejście właściwej chwili.

Niespodziewanie w tej ostrożnej inwazji nastąpiła przerwa. Nie odwrót, lecz zaprzestanie dalszych badań. Wprawdzie widziałam jedynie oczami duszy, zobaczyłam jednak JA! Stała przed moimi oczami, dokładnie taka, jaką pokazał mi Krip, jaką ujrzałam w swoim śnie.

Wtedy obraz był zamazany, przefiltrowany przez jego reakcję na nią. Teraz widziałam tę kobietę ostro i wyraźnie jak kamienie Równiny Yolor, zalane okrutnym księżycem w środku zimy na Yiktor. Nie spoczywała jednak w pozycji półsiedzącej na leżance, tak jak to Krip opisywał. Siedziała na tronie, z płaszczem włosów odrzuconym do tyłu, aby obnażyć ciało, i głową lekko nachyloną w przód, jak gdyby chciała mi spojrzeć prosto w oczy. Ruchliwe kocie głowy jej diademem nie kręciły się, lecz stały sztywno na swych cienkich jak nici wtkach, również wbijając we mnie oczy — obserwując, czekając...

Diadem! Ja miałam niegdyś różdżkę, którą skupiałam swoją moc, kiedy śpiewem rzucałam zaklęcia małe i potężne. Nawet Starsi posiadali laski, które służyły im do koncentrowania i ogniskowania sił, którymi władali. Jej diadem spełniał tę samą funkcję.

Być może popełniłam wtedy błąd, ujawniając fakt, że się tego domyśliłam. Zobaczyłam jej zmrużone oczy. Cień okrutnego uśmiechu zniknął z jej warg. Włókna kocich głów zadrżały, zafalowały niczym łan zboża na wietrze.

— Maelen — gotowe!

Krip przedarł się przez tarczę, którą starałam się nie zasłaniać przed nim. Zobaczyłam kocie głowy, które obracały się, wirowały i wyginały w dzikich płasach. Odwróciłam się jednak od nich, aby podążyć za wskazującą drogę myślą Kripa.

Dzięki łasce Molastera udało mi się pójść jej śladem i „zobaczyłam” przed sobą maszynę. Nie obchodził mnie jej kształt ani charakter, jedynie fakt, że miała spełniać rolę mojej różdżki, mojego własnego diademu. Połączyć mnie z nią musiał Krip, gdyż maszyna ta była częścią jego dziedzictwa, nie mojego.

Połączyć i utrzymać kontakt — czy on to rozumiał? Z pewnością tak, gdyż psychiczny obraz maszyny był teraz ostry i wyraźny. Skierowałam do niej moc.

Ucieczka — raptowna ucieczka obcej istoty — spowodowana strachem!

Kiedy zaczęła się wycofywać, podążyłam za nią siłą woli i zdecydowaniem. Nie osiągnęłam jednak swego celu. Kobieta odzyskała pewność siebie i już nie ustępowała. Diadem dodawał jej siły...

Pomiędzy mną i moim myślowym obrazem skrzynki kocie głowy wykonywały dziki taniec. Prawie brakło mi sił, żeby odwrócić od nich wzrok i skupić się na skrzynce. Ból — znów zaczynał mnie szarpać ból. Nie mogłam jednocześnie utrzymywać blokad, jakie wzniosłam w poranionym ciele, bronić się przed urokiem kocich głów i koncentrować na wzmacniaczu!

Poczułam przypływ siły — to Krip. Nie mógł śpiewać bez wskazówek prawdziwego Thassy. Mógł tylko podtrzymywać moją łączność z maszyną. Potem nadeszła kolejna fala energii i odtąd sączyła się już niewielkim, lecz nieprzerwanym strumieniem. Nie miałam pojęcia, skąd się wzięła (dar Molastera?), cieszyłam się tylko, że ją miałam.

Kobieta odepchnęła mnie trochę od przyczółka, który zdobyłam. I tak jednak posunęłam się naprzód względem początkowej pozycji. Nie patrzeć na koty. Wzmacniacz — posłużyć się nim! Zasilić go energią swojej woli!

Niewyraźny obraz — to przebłysk spojrzenia prawdziwych oczu. Wyrzucić go z umysłu! Patrzeć tylko na to, co jest wewnątrz, nie na zewnątrz — bitwa toczy się wewnątrz! Zrozumiałam wtedy, że jej kres musi nastąpić szybko, bo inaczej przepadnę. Jeszcze raz... wzmacniacz, zebrać wszystkie siły... Uderzyć!

Przedarłam się przez jakąś niematerialną barierę, lecz nie pozwoliłam sobie na uczucie triumfu. Zwycięstwo w jednej potyczce nie oznacza wygranej bitwy. Co mnie teraz czekało? Mało brakowało, abym z kolei ja uciekła. Myślałam, że walczę z jakąś jaźnią, osobowością tak wyraźnie określoną jak moje własne wyobrażenie o sobie, Maelen z Thassów. Była to jednak tylko siła woli; nienawistna siła woli i mroczna żądza dominacji, czerep zła, który

jeszcze nie przestał funkcjonować — maszyna porzucona przez swego byłego właściciela, skazana na „życie” we mgle niezliczonych lat. Pod diademem nie było żadnej świadomości, jedynie strzępy woli i zapomnianego celu istnienia. Kiedy więc przedostałam się przez wzniesioną przez nie barierę, zastałam wewnątrz niespodziewaną pustkę. Wpłynęłam do tej przestrzeni i rozgościłam się w niej, po czym zabarykadowałam się od wewnątrz, żeby nie wypuścić pozostałości po tamtej istocie.

Byłam jeszcze daleka pokonania tej przypominającej robota istoty. Być może lata, przez które pozostawała u władzy, przemieniły ją w rodzaj pseudożycia. Ruszyła do ataku na mnie z całą wściekłością.

Koty! Nagle widziałam już tylko koty, ich wąskie pyszczki i zmrużone oczy, otaczające mnie ciasnym pierścieniem. Zaczęły wirować w tańcu wokół mnie... To one były soczewką, w której skupiała się siła tej istoty!

Pomimo ich wysiłków, aby odgradzić mnie od świata, dostrzegłam coś niewyraźnie i to nie oczami umysłu, lecz ciała. Widziałam jakieś kształty, chociaż trudno mi było się na nich skupić. Wtedy zrozumiałam, że nie patrzę oczami, jakie dawno temu dała mi Vors. Byłam w innym ciele. I uświadomiłam sobie, do kogo ono należało!

Ta presja, te fale wrogości, które atakowały bezbronne ciało niczym prawdziwe ciosy — ich źródłem były koty. Byłam w ciele, które miało ręce... dłonie... wyteżyłam całą swoją wolę. Przez cały czas tamta druga półświadomość walczyła ze mną. Nie czułam, czy się rzeczywiście poruszam; mogłam tylko bardzo tego pragnąć.

Czy uniosłam już ręce na wysokość głowy? Czy zacisnęłam palce na krawędzi diademu z kotami? Skupiłam cały mentalny wysiłek na tym, żeby zdjąć koronę z głowy i odrzucić ją od siebie...

Kocie głowy zniknęły. Mój wzrok, dotychczas zmacony, wyostrzył się raptownie. Wiedziałam, że mam ciało, że żyję, oddycham i nie czuję już bólu. Druga świadomość zniknęła, jakbym ją wyrzuciła razem z koroną.

Przede mną stali Krip, kapitan Foss i jacyś nieznajomi mężczyźni w mundurach Patrolu. Na podłodze leżało kilka skrępowanych osób: Lidj, Griss, pilot Patrolu... i trzech kosmitów.

Krip zbliżył się do mnie, wziął mnie za obie dłonie, spojrzał w moje nowe oczy. Musiał wyczytać z nich prawdę, gdyż twarz tak mu się rozpromieniła, że aż mnie to zaintrygowało. Nigdy przedtem nie widziałam takiej miny.

— Udało ci się! Maelen, Księżycowa Śpiewaczko, udało ci się!

— To prawda — usłyszałam swój własny głos, niski, nieznajomy. Przyjrzałam się nowemu odzieniu mojego ducha. To było dobre ciało, zgrabne, chociaż ta kaskada ciemnych włosów zdawała się taka niethassańska.

Krip wciąż trzymał mnie za ręce, jakby się obawiał, że się wyślizgnę, jeśli je wypuści. Kapitan Foss stanął obok niego i przyglądał mi się równie uważnie jak przedtem Krip.

— Maelen? — Wymówił moje imię pytającym tonem, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

— Jakiego dowodu życzy pan sobie, kapitanie? — Moje uniesienie nie miało granic. Nie czułam się tak od chwili, gdy nałożyłam futro i szpony na Yiktor.

Jeden z oficerów Patrolu przerwał nam jednak tę powitalną rozmowę. — Co z nimi? Czy możesz to samo zrobić dla nich? — Wskazał skrepowanych ludzi.

— Nie teraz! — krzyknął na niego Krip. — Dopiero co wygrała jedną bitwę. Daj jej czas...

— Zaczekaj... — uspokoiliam go, gdy tak gwałtownie stanął w mojej obronie. — Daj mi tylko chwilę, żebym mogła się oswoić z tym ciałem.

Wyłączyłam swoje zmysły w sposób, którego się nauczyłam jako Śpiewaczka, i rozpoczęłam wędrówkę po swoim wnętrzu. Miałam wrażenie, że zwiedzam puste pokoje dawno opuszczonej cytadeli. Siła, która częściowo ożywiała tę fortecę, zajmowała tylko niewielką jej część. W trakcie podróży poszerzyłam granice swojej wiedzy, Uwiadomiłam sobie, że mam w rękach nowe narzędzia, z których część była mi nie znana. Później jednak będzie czas, żeby poznać je dokładniej. Teraz najbardziej pragnęłam dowiedzieć się tego, jak najlepiej posłużyć się tym, co miałam.

— Maelen! — To wezwanie przywołało mnie do rzeczywistości. Znowu poczułam ciepło uścisku Kripa, usłyszałam zatroskanie w jego głosie.

— Jestem tutaj — zapewniłam go. — A teraz... — Objęłam w pełni władzę nad nowym ciałem. Początkowo poruszało się sztywno, jakby od dawna nie kierowano nim właściwie. Z pomocą Kripa wstałam jednak i podeszłam do tych, którzy leżeli skrepowani, kosmici obok Terran. Mój wzrok przenikał ich ciała, jakby były przezroczystymi opakowaniami. Widziałam prawdziwy kształt każdego z nich.

Podobnie jak w przypadku kobiety, której postać przybrałam, w ciałach Terran nie przebywały prawdziwe istoty, lecz jedynie siły napędowe. Dziwne to było — na Słowo Molastera, jakie to było dziwne! Nie mogłabym stawić czoła tym, którzy pierwotnie tam mieszkali. Wątpię, czy nawet Starsi byliby do tego zdolni. Kimkolwiek były te uśpione istoty,



niegdyś władały potężną mocą, nieskończenie potężniejszą niż ludzie, którymi zawładnęły ledwie blade cienie ich poprzednich świadomości.

Wiedząc, kim są naprawdę, mogłam je pokonać, wypędzić je z ciał, które skradły. Krip, wciąż trzymając mnie za rękę, zasilił mnie swoją energią. Po wygnaniu obcych sprowadzenie prawowitych właścicieli nie stanowiło już trudności. Terranie poruszyli się, otworzyli oczy, które miały przytomny i rozumny wyraz.

— Trzeba koniecznie zniszczyć korony — poinformowałam kapitana Fossa. — One spełniają rolę przekaźników ich mocy.

— Oczywiście. — Krip wypuścił moją dłoń i poszedł na drugi koniec komnaty. Nadepnął jakiś przedmiot, który tam leżał, zgniatał go magnetycznymi podeszwami swoich kosmicznych butów, jakby chciał zetrzeć tratowany obiekt na proch.

W moim umyśle rozległ się cienki, odległy skowyt, jakby gdzieś dobijano żywe istoty. Ciarki przeszły mi po plecach, lecz nie uniosłam ręki, żeby powstrzymać Kripa od mściwego ataku na łącznik między tą złowrogą siłą a ciałem, które zdobyłam.

To było dobre ciało, o czym wiedziałam od chwili, gdy po raz pierwszy je ujrzałam. W zewnętrznej części komnaty znalazłam ubranie, w które mogłam się odziać. Nie przypominało mojego stroju Thassy; składało się z krótkiej tuniki ściągniętej szerokim pasem z klejnotami oraz obuwia, które samo dopasowywało się do stóp.

Moje włosy były bardzo ciężkie i długie, a ja nie miałam szpilek ani grzebieni, żeby je upiąć na modłę Thassów. Zaplotłam więc warkocze.

Ciekawiło mnie, kim była kiedyś ta kobieta o tak doskonale zachowanej powierzchowności. Pewnie nigdy nie poznam jej imienia, wieku, ani nawet rasy czy gatunku, do którego należała. Była jednak piękna i niewątpliwie posiadała moc, chociaż inną niż Thassowie. Królowa, kapłanka... Kimkolwiek była, odeszła wieki temu, zostawiając po sobie tylko cień, który nadal wiódł pseudożycie. Może to, co zostawiła, było złem jej duszy. Chciałabym w to wierzyć. Wolałam myśleć, że nie była zupełnie taka, jak sugerował cień, z którym stoczyłam bitwę.

Po przepędzeniu jej cząstki oraz tych, które ożywiały trzech kosmitów rodzaju męskiego, otworzył się przebogaty skarbiec. Przedmioty, jakie tam znaleźliśmy, będą obiektem dociekań, przypuszczeń i badań jeszcze przez lata. Ponieważ działalność rabusiów (nad którą obcy tak szybko przejęli kontrolę) według prawa kosmicznego była nielegalna, załodze „Lydis” pozwolono zgłosić roszczenia do podziemnego kompleksu. Oznaczało to, że każdy członek załogi stał się panem własnego losu, człowiekiem wystarczająco bogatym, żeby pokierować swoim życiem według własnego uznania.

— Nieraz mówiłeś o skarbach. — Wróciłam do komnaty będącej własnością kobiety, w której ciele teraz mieszkalam, żeby zabrać należące do niej rzeczy (załoga przyznała, że mam do nich pełne prawo), i Krip poszedł ze mną. — O tym, że mogą przybierać wiele postaci. Powiedziałaś, że dla ciebie skarbem byłby statek. Czy nadal tak myślisz?

Usiadł na jednej ze skrzyń, patrząc, jak przeglądam zawartość innej. Znalazłam zwój błyszczącego, niebiesko-zielonego materiału, który nie przypominał żadnej tkaniny, jaką dotychczas widziałam. Zdobiał ją złoty wzór w kocie głowy. Teraz nie budziły już we mnie niepokoju.

— A co dla ciebie jest skarbem? — odparł pytaniem na moje pytanie. — To? — Wskazał przedmioty znajdujące się w tej komnacie.

— Wiele tu pięknych rzeczy; zachwycają oczy i cieszą ręce. — Wygładziłam tkaninę i znów ją złożyłam. — Jednak to nie jest mój skarb. Skarbem jest marzenie, po które sięgamy z woli Molastera. Yiktor jest bardzo daleko stąd. Czego można byłoby życzyć sobie na tej planecie... — Czego pragnęłam na Yiktor? Nie musiałam daleko sięgać pamięcią, żeby sobie to przypomnieć. Moich maleństw (choć teraz nie mogłam ich nazywać „swoimi”, gdyż dawno odesłałam je, aby wiodły samodzielne życie). Mając jednak inne maleństwa do nich podobne i własny statek... zew Yiktor już mnie nie naglił; zbyt daleką odbyłam podróż, nie tylko rzeczywistą, ale i duchową. Któregoś dnia chciałabym tam wrócić. Tak. Chciałam ujrzeć Trzy Pierścienie Sotrath świecące na nocnym niebie, chodzić wśród Thassów, ale jeszcze nie teraz. Zostały jeszcze maleństwa...

— Wciąż marzysz o statku ze zwierzętami — chcesz podróżować wśród gwiazd ze swoim małym ludkiem i pokazywać innym, jak bliska może się stać więź między człowiekiem a zwierzęciem — odparł za mnie Krip. — Kiedyś ci powiedziałem, że nie znalazłabyś dość skarbów, żeby zapłacić za takie marzenie. Myliłem się. Tych, które tu leżą, wystarczyłoby na zakup kilku takich pojazdów.

— Nie mogę jednak kupić statku i podróżować wśród gwiazd samotnie. — Odwróciłam się i spojrzałam mu prosto w oczy. — Powiedziałaś, że statek jest także twoim marzeniem. Teraz mógłbyś je spełnić...

Krip jednocześnie był i nie był Thassem. Przyglądając się jego twarzy, zobaczyłam w rysach Maquada cień smagłego, ciemnowłosego młodzieńca, którego spotkałam na wielkim jarmarku w Yrjarze.

— Nie chcesz wracać na Yiktor? — Znów nie odpowiedział mi wprost.

— Nie w tej chwili. Yiktor jest daleko, bardzo daleko w czasie i przestrzeni.

Nie wiem lub nie wiedziałam wtedy, co takiego usłyszał w moim głosie, że wstał i podszedł do mnie, wyciągając ręce, żeby mnie objąć.

— Maelen, nie jestem już tym, kim byłem niegdyś. Odkryłem, że dla własnego ludu stałem się obcy. Nie uwierzyłem w to, gdybym sam się o tym nie przekonał, tutaj na Sekhmet. Teraz już tylko jedna osoba zasługuje na to, abym był jej wierny.

— Dwoje wygnańców może odnaleźć wspólne szczęście. Przed nami są gwiazdy — statek może je odkryć. Myślę, że nasze marzenia płyną jednym nurtem.

Tym razem odpowiedział czynem i bardzo mi się to spodobało. Tak więc dwoje wędrowców kroczących dziwnymi ścieżkami postanowiło wejść na nową drogę ramię w ramię, a ja z głębi serca dziękowałam Molasterowi za jego wielką dobroć.

## KRIP VORLUND

Kiedy spojrzałem na kobietę, która przyszła do mnie, która darzyła mnie zaufaniem (nawet wtedy, gdy wyrwałem ją ze snu w przeświadczeniu, że ma pewną szansę, choć mogło się to zakończyć dla niej bolesną śmiercią), zrozumiałem, że to odpowiednie życie dla nas obojga.

— To nie wygnanie — powiedziałem. — Nie jest wygnaniem powrót do domu!

W końcu dom to nie statek ani planeta, ani podróżny wóz, który przemierza równiny Yiktor. To uczucie, którego jeśli raz się zazna, nigdy już o nim nie można zapomnieć. Oboje zostaliśmy odtrąceni, być może wygnani, przez tych, którzy kiedyś byli naszymi pobratymcami. Przed nami jednak są wszystkie gwiazdy, a w naszych sercach dom! I tak będzie już zawsze, dopóki starczy nam życia.